Na szlaku Kadrówek 1981-1989

Warszawa 2018

Publikacja objęta patronatem



Jak stwierdził Adam Skwarczyński,
„Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość,
lecz wrasta w glebę życia w jego organizm...”.
Tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny
nurtu niepodległościowego
im. Andrzeja Ostoja-Owsianego.
Nasze działania nie byłyby
możliwe bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców.
Dziękujemy!

Ta pozycja została dofinansowana
przez Sejmik Województwa Małopolskiego
Fundację Lotos

MAŁOPOLSKA

FUNDACJA LOTOS

Maciej Gawlikowski | Mirosław Lewandowski

Na szlaku Kadrówek 1981-1989

fotografie: Andrzej Stawiarski

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego nn
im. Andrzeja Ostoja-Owsianego

Projekt okładki:
Mariusz Front

Korekta:
Anna Strakowska

Skład i opracowanie graficzne:
Mariusz Front

Druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza i Reklamowa AKCES Sukces Sport

Wydawca:
Wydawnictwo Polskie IHOO
ihoo@o2.pl
www.ihoo.pl

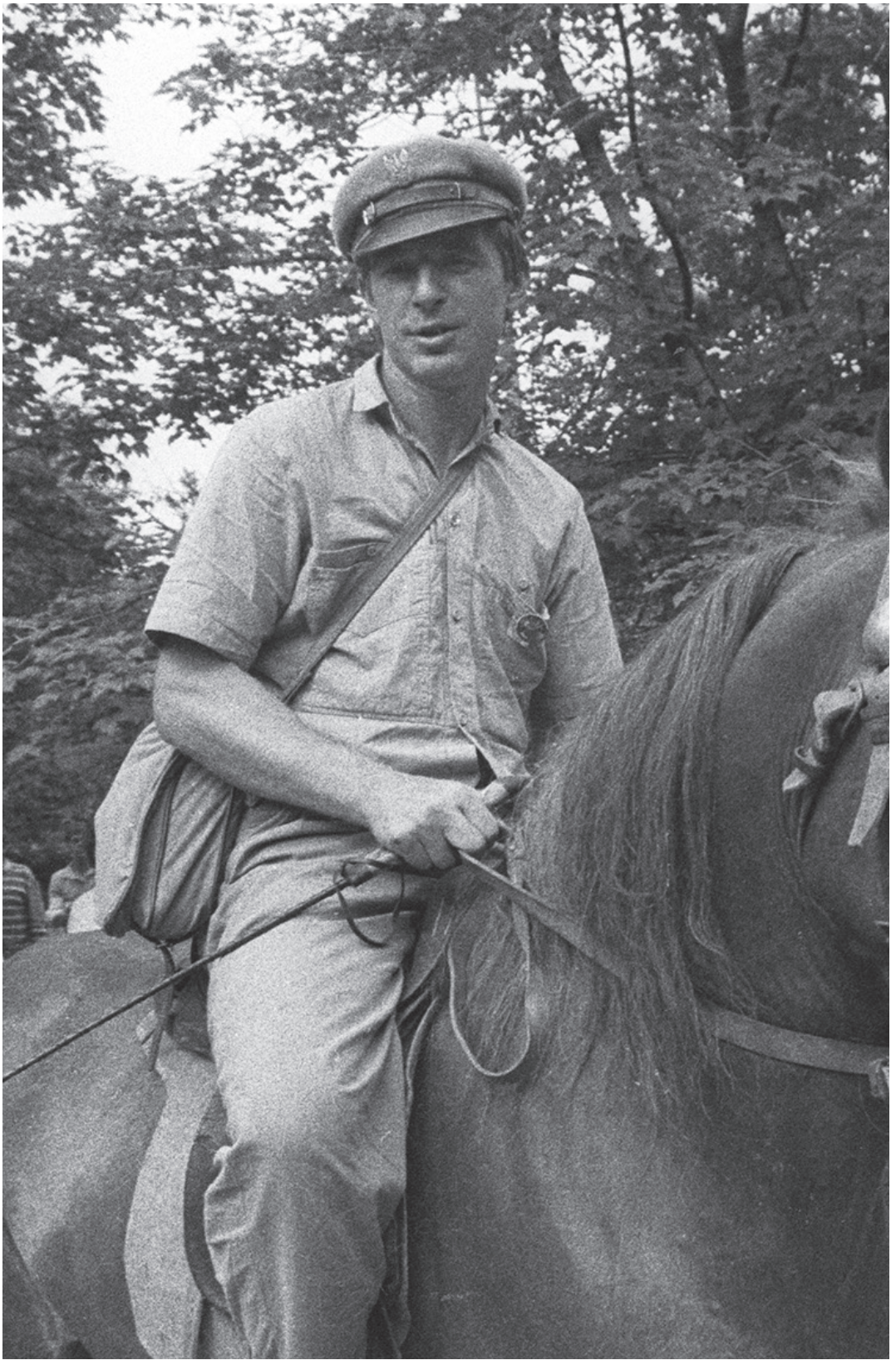
Copyright:
© Maciej Gawlikowski i Mirosław Lewandowski
© Instytut Historyczny nn im. Andrzeja Ostoja-Owsianego

**Książka złożona krojem pisma Brygada 1918,
powstałego na 10-lecie niepodległości Polski, niedawno odkrytego po latach
zapomnienia, zdigitalizowanego i udostępnionego w 100-lecie niepodległości.**

ISBN:
978-83-949058-1-1

Warszawa 2018

Wojtkowi Pęgielowi
(1955-2005)



Całe nasze życie jest marszem.
Każde pokolenie ma swoją kompanię kadrową
- pierwszą kolumnę żołnierzy niepodległości.
Od nas tylko zależy, aby nasz Marsz dotarł do celu,
abyśmy i my mieli nie tylko swój dzień 6 sierpnia,
ale i 11 listopada

Leszek Moczulski
do uczestników Kadrówki
sierpień 1986 r.

Strzępy wspomnień

Legioniści i akowcy

Wojciech Frazik: Legioniści to byli tacy strażnicy ogniska, którzy czuwali, żeby Święty Ogień nie zgasł. Tak to widzę z dzisiejszej perspektywy, bo wówczas tego jeszcze nie rozumiałem. Wiedziało się o KOR-ze, o ROPCiO, ale o legionistach, jako o istniejącym środowisku, to nikt nie mówił.

Zawsze w historii jest tak, że są grupki, które niosą idee. Jeżeli pojawią się odpowiednie warunki, to te idee odżywają. Polacy uważali, że komuna to syf, ale że nie da się z tym nic zrobić, więc o tym nie myślmy, tylko żyjmy. Ale jeśli tylko znalazł się ktoś, kto przekonał, że może być inaczej, to znajdowało się nagle sporo ludzi, którzy gotowi byli to podchwycić.

Krzysztof Nowakowski: Mój dziadek był legionistą I Brygady i zawsze chodził ze mną na msze związane z Marszałkiem. Związek Legionistów działał po wojnie, tyle że nielegalnie. Spotykali się u dominikanów w rozmównicy albo w refektarzu, bo ojciec Adam Studziński był ich kapelanem. Znałem ich już, kiedy miałem kilkanaście lat. Raz w roku przyjeżdżali koledzy dziadka – legioniści ze Śląska, np. płk „Bałagan" z żandarmerii. Dziadek miał pseudonim legionowy Bułgar. Jego najbliższym przyjacielem w Krakowie był Stefan Migdał. Razem byli na froncie włoskim i potem w czasie działań w Galicji przeciwko Ukraińcom. Płk. Herzoga traktowali jako lidera, przewodnika.

Znałem nieco bliżej Leszczyca-Przywarę – ułana z Rydułtów, z 1 pułku szwoleżerów. Korespondowałem z nim jeszcze w latach 80. To był taki fantazyjny staruszek, na wiele rzeczy patrzył z przymrużeniem oka. Zrównoważony, spokojny. Mocno przejęty ideą niepodległości i legionów aż do śmierci. Jak większość z nich. On dawał wskazówki, co trzeba jeszcze zrobić w Krakowie, żeby uczcić pamięć legionistów.

Wojciech Frazik: Od końca 1978 roku chodziłem na Wawel. O mszach wiedziałem z klepsydr w „Tygodniku Powszechnym" albo wywieszanych na kościelnych tablicach. Chodziłem, bo mój dziadek był legionistą. Zmarł, kiedy miałem 3 lata, ale zostały po nim zdjęcia, papiery, odznaczenia. I pozostał mit, który miał wpływ na mnie... Co jakiś czas otwierałem szafkę i przeglądałem te pamiątki po nim.



5 sierpnia 1981 r. Uroczysta msza w katedrze wawelskiej w przeddzień rocznicy wymarszu I Kadrowej i patriotyczny pochód, zgromadziły tłumy. Po raz pierwszy od dziesięcioleci czuć było atmosferę radosnego święta. Bardzo liczną wśród demonstrantów grupę stanowili kombatanci – akowcy i wielu legionistów.

Na pewno byłem 11 listopada 1978 roku i nie była to moja pierwsza taka msza. Musiałem być wcześniej na mszach za Marszałka – w marcu albo w maju. Była garstka ludzi, w tym może dziesięcioro młodych. Zapamiętałem Piotrka Boronia, który był bardzo charakterystyczny. W Krypcie byli już tylko sami starzy ludzie. Pamiętam próbę zejścia z Wawelu po mszy. Szedłem nawet nie w grupie legionistów, tylko obok. Nie czułem się wtajemniczony. Ich wiele łączyło, to było widać.

Artur Then: Pamiętam moje wrażenie, gdy pierwszy raz zobaczyłem pułkownika Herzoga (formalnie miał stopień majora, ale wszyscy w środowisku tytułowali go pułkownikiem). To było 11 listopada 1981 roku podczas demonstracji. Mówił dobitnie, z sensem, przez 40 minut. Stał wyprostowany, w mundurze, mówił ze swadą, bardzo przekonująco.

Jerzy Dobrowolski: 11 listopada 1980 roku z zapartym tchem słuchaliśmy na placu Matejki przemówienia starszego jegomościa w dziwnej czapce. To był zimny listopad, staliśmy w tłumie z moim serdecznym przyjacielem Pawłem Sabudą, zacinał mokry śnieg. Ludzie stali bez czapek, chłonęli skrzydlate słowa spod pomnika. Przemawiał Józef Herzog. Znaliśmy się z Pawłem już kilka lat – wspólne zainteresowania, świadomy wybór liceum. Czuliśmy, że przemówienie pułkownika Herzoga zmieni nasze życie.

Krzysztof Nowakowski: W latach 80. spotykałem się z Borutą-Spiechowiczem. On był inny niż Przywara-Laszczyc. To był dystyngowany starszy pan, znający swoją wartość. Miał taką angielską flegmę, był bardziej surowy, trzymający na dystans. Jeździliśmy do niego do Zakopanego, pomagaliśmy mu odśnieżać jego willę pod Krokwią, którą wystawił dla siebie i dla syna. Jeździliśmy tam z Wojtkiem Pęgielem, Andrzejem Marcinkiem, Robertem Kulakiem, Adamem Rolińskim.

Mojemu dziadkowi i jego kolegom nie podobało się, że Boruta nie był z I, tylko z II Brygady, która później jako Polski Korpus Posiłkowy złożyła przysięgę na wierność zaborcy. Oni odmówili, więc Królewiaków internowano, a tych z Galicji wcielono do pułków zgodnie z miejscem zamieszkania i wysłano na front włoski. Te kombatanckie spory sprzed lat były wśród nich żywe. Im się nie podobało, że Boruta coraz wyżej się nosi, a zapomniał, że był w grupie razem z Sikorskim, którego w ogóle nie to-

lerowali. Zarzucali mu też, że w czasie II wojny był w I Korpusie, który w zasadzie był internowany w Szkocji, nie walczył. W końcu jednak dali mu spokój. On był w swej starości dystyngowany, twardy. Budził respekt.

Spotykałem go w „Tygodniku Powszechnym", gdzie przyjeżdżał tu z Zakopanego do któregoś z redaktorów na prywatne spotkania.

Kombatanci mieli swoje główne centrum w klasztorze jasnogórskim i Boruta był tam traktowany jako dowódca tych żołnierzy II Rzeczypospolitej.

Przed Marszem w 1984 roku, jubileuszowym, poprosiliśmy go o protektorat i o honorową komendanturę. Wyraził zgodę.

Marek Bik: Kiedy w 1984 roku przed Marszem przyjechaliśmy do gen. Boruty-Spiechowicza do Zakopanego, jego żona powiedziała do nas po szkocku, że musimy zaczekać, bo generał biega po lesie. Miał wtedy... 90 lat!

Odwiedzając generała, uwielbiałem przebierać się w jego mundur, na co chętnie pozwalał.

Jednka najciekawsze były jego wspomnienia. Generał opowiadał nam o demonstracjach w roku 1905, które jako dziecko widział, a także o szarży pod Rarańczą, którą poprowadził w roku 1915. To był początek jego błyskotliwej kariery wojskowej. Opowiadał też o swojej niewoli w ZSRR. W 1939 roku, po kampanii wrześniowej, przedostał się do Lwowa, gdzie organizował antysowiecką konspirację i został aresztowany przez NKWD. Był trzymany na Łubiance, gdzie przesłuchiwał go sam Beria, który – jak to wspominał – „chciał zrobić go Berlingiem". Boruta miał wyższą rangę od Berlinga, więc Berii zależało, aby to on stanął na czele wiernej sowietom armii polskiej.

Generał Boruta podał mi, jaka jest jedyna skuteczna metoda na tortury w śledztwie:

– Pamiętaj! Jak cię będą bić – krzycz wniebogłosy! To deprymuje oprawców.

Kiedy w roku 1988 byłem zatrzymany w Stalowej Woli w czasie strajku, który wspieraliśmy, milicjanci rozebrali mnie do naga, jeden stanął przy oknie, mówiąc: „Przypilnuję, żeby nie wyskoczył", a trzech zaczęło mnie lać pałkami, rękami, nogami... czym popadnie. Przypomniałem sobie radę generała Boruty i zacząłem rzeczywiście krzyczeć wniebogłosy. Wtedy jeden z nich owinął mi głowę moją kurtką.



5 sierpnia 1981 r. Uroczystości na Oleandrach, przed Domem Józefa Piłsudskiego. Salutuje Józef Herzog, po prawej kolejno: Kazimierz Martyniak i Stanisław Zastawniak, po lewej, w maciejówce Stanisław Leszczyc-Przywara..

– Już się, kurwa, nie będziesz darł! – wycedził wściekły.
I cała rada generała na nic. Milicjanci okazali się sprytniejsi od Berii.

Artur Then: Wyraźnie rzucała się w oczy różnica między legionistami a akowcami, którzy – choćby z uwagi na wiek – nie służyli wcześniej w Legionach. U akowców widać było poczucie klęski. Legioniści też przecież zwykle byli potem w AK, też siedzieli po wojnie w więzieniach, ale byli inni – nieśli w sobie gen zwycięstwa. To było dla nas ważne, dawało energię do działania.

Marek Bik: Byliśmy pod wrażeniem determinacji legionistów. Oni za młodu podjęli pozornie beznadziejną walkę. Wygrali i do końca życia nie porzucili swoich ideałów. To był piękny wzorzec.

Maciej Gawlikowski: To była msza święta na Wawelu w przeddzień naszego wyruszenia na trasę Kadrówki. W 70. rocznicę 6 Sierpnia. Z inicjatywy Wojtka Pęgiela pomagaliśmy ostatnim legionistom Marszałka dostać się na uroczystości. Żyła już ich tylko garstka, większość ledwo się poruszała. Każdy z nas miał przydzielonego legionistę do opieki. Pomagałem majorowi, dr. Ferdynandowi Pawłowskiemu. Weteran był już bardzo słaby, dużą część drogi musiałem go podtrzymywać z obu stron, ale powiedział na początku: „Dam radę, choćbym jutro nie wstał!". Dał radę, wziął udział i w mszy, i w uroczystościach w Krypcie. Był bardzo wzruszony. To były chyba jego ostatnie odwiedziny u Komendanta.

Rok później, w 1985 roku, przed okrągłą rocznicą śmierci Marszałka, Wojtek Pęgiel wymyślił, że trzeba odnaleźć wszystkich żyjących jeszcze legionistów i pomóc im dotrzeć na Wawel, na uroczystości. Może nawet pomóc im później w życiu, jeśli będą tego potrzebowali, a damy radę coś zrobić. Część tych weteranów była w Związku Legionistów Polskich, właśnie opanowywanym całkowicie przez hochsztaplera Waksmundzkiego. Sytuacja w ZLP odstręczała wielu zasłużonych ludzi od kontaktów, nie chcieli mieć nic do czynienia z uzurpatorami, mówili, że szeregi związku nagle się wydłużają, mimo odchodzenia kolejnych – prawdziwych – legionistów.

Wojtek szukał przez różne osoby i środowiska kontaktu z weteranami, robił listy nazwisk, a potem szukaliśmy aktualnych adresów. Na koniec zostało jeżdżenie po mieście, pytanie sąsiadów, bo adresy, które mieli-

śmy, były czasem jeszcze sprzed wojny. I tak odhaczaliśmy kolejne osoby z listy, najczęściej z adnotacją „zmarł" lub „brak danych".

W poszukiwaniu kolejnej osoby – Tadeusza Karola Darowskiego, trafiłem na krakowski Kazimierz. Obskurna kamienica, zasikana klatka schodowa z łuszczącymi się warstwami burej olejnej farby, drewniane schody z wytartymi na środku stopniami, trzeszczące przy każdym kroku, do tego zapach starzyzny, gołębiego guana i kotów. Okazało się, że sędziwy legionista miał mieszkanie na samym poddaszu. Drzwi zamknięte, nikt nie otwierał, na dość nowej tabliczce inne nazwisko.

Jednak trzeba było zebrać informacje. Drzwi obok otworzyła starsza pani. Kiedy się dowiedziała, o co mi chodzi, wyraźnie się wzruszyła i mówiła nieprzerwanie, tak długo aż się w końcu rozpłakała:

„Nie żyje. Straszna tragedia! A taki był dobry człowiek... Od paru lat było gorzej – był już sam, miał problemy z wychodzeniem po tych schodach, z wnoszeniem zakupów. Nikt mu nie pomagał poza sąsiadami, nikogo z rodziny chyba nie miał albo się nie kontaktowali.

No i przyszedł 3 maja, w stanie wojennym. Pamiętam dobrze. Spotkałam go późnym popołudniem, schodził po schodach. Miał na sobie galowy mundur, medale pozapinane, wyglansowane buty, wojskową czapkę. Zapytałam, gdzie się wybiera. – Na Wawel – krzyknął – trzeba na mszę, dziś święto! Był już prawie głuchy, ciężko było się z nim porozumieć, ale trochę czytał z ruchu warg, troszkę jeszcze słyszał. Miał do przejścia stąd na przystanek tramwajowy przy Krakowskiej jakieś 100 metrów. I pech chciał, nie zauważył nadjeżdżającej z drugiej strony, od Stradomia, „ósemki". Motorniczy hamował i dzwonił, dzwonił... Świadkowie to potem mówili. Ale on nie słyszał. Nie było co zbierać, dostał się pod koła".

Sąsiadka pomyliła daty. Było to majowe święto, ale nie 3 maja, tylko 12 maja – rocznica śmierci Marszałka. Jego podkomendni do ostatnich swoich chwil pamiętali.

Robert Kulak (zapisek z kroniki pierwszego Marszu, 1981): W mojej pamięci pozostaną zawsze słowa wypowiedziane przez liczącego ponad osiemdziesiąt lat Pana: „Bardzo, bardzo dziękuję. Od lat sobie powtarzałem, że nie mogę umrzeć, dopóki nie będzie w pełni wolnej i niepodległej Polski. Jednym z jej symboli jest właśnie Marsz Kadrówki. Marsz już był, ale to nie wszystko...".

Jerzy Mohl: Atmosfera tego pierwszego od II wojny światowej Marszu Kadrówki była szczególna. Spotkały się trzy pokolenia. Pierwsze to legioniści Piłsudskiego, z którymi mieliśmy spotkanie w Prandocinie – bardzo sędziwi, ale jeszcze w świetnej formie. Drugie to pokolenie akowców i żołnierzy powojennego podziemia. I nasze pokolenie, urodzonych sporo po wojnie i od początku urabianych przez komunistyczną propagandę. Staraliśmy się różnymi sposobami zdobyć wiedzę o poprzednich ogniwach tego łańcucha pokoleń, do którego należeliśmy, aby dopiąć swoje, licząc, że będzie równie mocne.

Największe dla mnie znaczenie miało spotkanie z legionistami. Opowieści tych starych ludzi, którzy przeżyli tak wiele i byli świadkami tak niezwykłych wydarzeń w dziejach naszego kraju, a jednocześnie potrafili o tym mówić nie na koturnach, bez przygniatającego patosu, było jak antidotum na truciznę komunistycznej propagandy. To komunistyczne zakłamanie, pomimo trwającego Karnawału Solidarności, otaczało nas ze wszystkich stron. Opowieści legionistów były najwspanialszą lekcją historii, w której uczestniczyłem. Gdy spotkanie z legionistami w pierwszym dniu dobiegło końca, następne postoje wypełniały nam opowieści akowców, równie interesujące.

Kiedy dziś po latach wspominam te chwile, uświadamiam sobie, jak szybko nawiązywała się międzypokoleniowa nić porozumienia, która później pozwalała na wspólne działania, mimo często ogromnej różnicy wieku. To były inne czasy, inne wychowywanie młodych ludzi niż dziś. Ten nasz pazur młodości, nasz bunt, nie kłócił się z poczuciem szacunku dla starszych.

Marek Bik: Akowcy wtedy jeszcze byli w sile wieku i nawet chodzili z nami w Marszu. Pamiętam kpt. Jerzego Wesołowskiego z Miechowa, mjr. Antoniego Hedę czy płk. Józefa Teligę, który szedł na czele pierwszego Marszu aż do Michałowic. Oni wszyscy byli bardzo aktywni. My uważaliśmy się za radykałów, ale w zetknięciu z takimi osobami, jak „Szary", który był czterokrotnie skazany na karę śmierci, to nasz radykalizm topniał. Ci weterani nie tylko byli historią, oni tę historię ciągle tworzyli. Herzog był najstarszym internowanym w 1982 roku, a Teliga – najstarszym aresztowanym w 1983 roku (78. urodziny spędził w więzieniu).



5 sierpnia 1981. Uroczystości na Oleandrach, przed Domem Józefa Piłsudskiego. Od lewej: Stanisław Zastawniak, lekko cofnięty Jan Helfer, Tadeusz Karol Darowski.


MAJA

Wojciech Słowik: W tym czasie bardzo popularną lekturą wśród nas była książka „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”[351]. Na Kadrówce mogliśmy rozmawiać z ich towarzyszami broni.

Artur Then: W Marszu szli też ludzie dzisiaj nazywani Żołnierzami Wyklętymi, ci, którzy po II wojnie światowej nie złożyli broni. To był np. Mietek Majdzik. Słuchaliśmy ich opowieści, chłonęliśmy ich słowa. Byli wzorem, autorytetami. Niektórzy z nich mówili do nas, że jesteśmy kolejną zmianą w tej sztafecie, że musimy być gotowi robić to, co oni kiedyś robili. Gotowi do walki o niepodległość wszelkimi metodami. Czego więcej trzeba nastolatkom? Byliśmy w siódmym niebie! I czuliśmy nałożony na nas obowiązek.

Krzysztof Nowakowski: W 1984 roku wchodziliśmy do Kielc obok góry Telegraf ze skocznią narciarską. Tam czekała na nas grupa akowców, z którymi mieliśmy się spotkać i pójść dalej razem. Nie było ich, kiedy doszliśmy. Okazało się, że ich zwinęli esbecy. To się działo nie za Stalina, tylko w połowie lat 80.! Tak władze traktowały kombatantów AK.

Antoni Heda

Witold Tukałło: W czerwcu 1984 roku poszedłem na Wykus. Byłem z kimś z Kadrówki. Spotkałem się tam z Jurkiem Żebrowskim, który mi powiedział, że Andrzej Izdebski siedzi w więzieniu. Żebrowski był tam z „Korebką” – inżynierem Kazimierzem Czerniewskim ze Starachowic, który produkował steny u „Ponurego”. Tam spotkaliśmy Antoniego Hedę „Szarego”. Poprosiłem go, aby uświetnił nasze ogniska w czasie Marszu. Ustaliliśmy, że będzie to w Szewcach, przed samymi Kielcami, gdzie stoczył bitwę z Niemcami w czasie II wojny światowej.

„Szary” mieszkał pod Warszawą i miał nawyki z czasów konspiracji. Miałem do niego zadzwonić i szyfrem powiedzieć, że jestem szewc, a on miał mi podać godzinę i datę swojego przybycia. Był bardzo sprawny intelektualnie. Bardzo mocno podkreślał swoją religijność. Trudno się dzi-

[351] Cezary Chlebowski, *Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie*, wyd. 1 – 1968. Książka była bardzo popularna, jednak w środowisku wyższych oficerów AK (zarówno w kraju - np. Kazimierz Pluta-Czachowski, czy na emigracji - np. Tadeusz Żenczykowski) była oceniana krytycznie. Zarzucano jej, że dyskredytuje dowództwo Armii Krajowej.

wić jego bogobojności, bo po II wojnie światowej miał wielokrotną karę śmierci, spędził w celi śmierci kilka miesięcy i miał tam o czym myśleć... Dużo się wtedy modlił. Podkreślał, że przeżycie zawdzięczał Matce Boskiej.

Witold Tukałło: W czasie spotkania ciągnęliśmy go za język, bo najpierw nie był zbyt wylewny. Ale potem szczegółowo opowiedział nam o bitwie pod Szewcami i wreszcie o najsłynniejszej swojej akcji, o odbiciu kilkuset więźniów z rąk sowieckich w sierpniu 1945 roku. Sowieci aresztowali Antoniego Żółkiewskiego „Lina" – dowódcę kieleckiego okręgu AK „Jodła". Więzienie kieleckie było tuż przy katedrze, w samym centrum miasta. W Kielcach był garnizon wojsk polskich i sowieckich oraz placówka UB. Spore, dobrze uzbrojone siły. Ludzie Hedy zrobili pozorację. Odpalili w lesie silne ładunki i w ten sposób wyciągnęli z Kielc część wojska, które ruszyło w kierunku wybuchów. W tym czasie Heda wprowadził do Kielc około 600 umundurowanych partyzantów. Wcześniej zarekwirowali na drodze dwa auta. Jechali nimi jacyś ubecy, których rozwalili. Na skrzyżowaniach w Kielcach ustawili ckm-y. Garnizon sowiecki i posterunek UB nawet nie pisnął. Bronili się tylko trochę strażnicy w więzieniu. Akcja trwała kilka godzin. Heda został ranny w nogę i mało mu jej potem nie amputowali. „Lina" odbili, ale zmarł potem na zawał serca. W tej akcji jako sanitariuszka brała udział Teresa Fischer, mama naszego marszowego kolegi – Andrzeja. Była obecna przy śmierci „Lina".

Marek Bik: Słuchałem uważnie wspomnień „Szarego". Na przykład był przeciwnikiem palenia papierosów i wszelkich innych nałogów. Tłumaczył, że ułatwiają one przeciwnikowi złamanie nas. Opowiadał nam, jak siedział w celi śmierci i spowodował, że wszyscy jego współwięźniowie rzucili palenie. Znali procedurę wykonywania kary śmierci i umówili się, że kiedy będą któregoś z nich wyprowadzać na egzekucję, to każdy z nich złoży wtedy przysięgę na Matkę Boską Częstochowską, że nie skorzysta z prawa skazanego do ostatniego życzenia i nie zapali papierosa przed śmiercią. I „Szary" odbierał od kolejnych kolegów taką przysięgę przed ich wyprowadzeniem...

Pamiętam też taką scenę. Siedzieliśmy z kolegą na postoju przed jakimś domem. Obok był Heda. Przyplątał się kot. Kolega chciał go przegonić. Heda nic nie powiedział, ale popatrzył na niego takim wzrokiem,



6 sierpnia 1981 r. Michałowice. Pomnik upamiętniający obalenie słupów granicznych państw zaborczych przez I Kompanię Kadrową w 1914. Z tabliczką Marszu Wojciech Słowik, z flagą Wojciech Pęgiel, z proporczykiem Jerzy Żebrowski, dalej legioniści.

że uwierzyłem, iż mógł z zimną krwią zabijać ludzi. Wziął kota na ręce i pogłaskał. Powiedział tylko, że po stosunku do zwierząt można poznać człowieka.

Witold Tukałło: Heda potem był jeszcze kilka razy na Kadrówce. Chyba przez cztery kolejne lata.

Zygmunt Pęksyk: Spotkania z Hedą były ważne dla każdego z nas, ale też dla Marszu. To on nauczył nas np. wspólnego śpiewania „Modlitwy wieczornej Armii Krajowej".

Zbigniew Szmiel: Prosiliśmy „Szarego" wielokrotnie o to, aby nam opowiedział, jak to było z odbiciem więzienia w Kielcach. Długo się opierał. Dał się przekonać pewnego dnia, kiedy akurat na postoju korzystaliśmy z gościny ludzi, którzy mieli ogromną stodołę. Prawie cała Kadrówka

weszła do tej stodoły. Opowiadał bardzo długo, barwnie. Ludzie słuchali z takim zainteresowaniem, że była cisza jak makiem zasiał. Tłum ludzi, a słyszeliśmy latające muchy. To było wielkie przeżycie.

Maria Mansfeld: Opowiadał swobodnie, nie tylko o faktach, ale o swoim systemie wartości, przekonaniach. Nie na wszystkie pytania chciał odpowiadać. Kiedy historia dotyczyła walk powojennych, nie operował nazwiskami. Był nieufny. Wprost powiedział: „Nie mogę. Wśród was są na pewno jakieś wtyki SB, to więcej niż pewne". Mówił o tym zupełnie spokojnie, serdecznie. Nie pamiętam, żeby ktoś był oburzony. Nikt tego nie wziął do siebie.

Artur Then: „Szary" opowiadał w sposób barwny i niezwykle ciekawy. Słuchaliśmy z przejęciem, ale bywały też momenty, kiedy ledwo tłumiliśmy śmiech, bo nasz bohater tak już posunął się w religijnej gorliwości, że w wielu jego krwawych opowieściach pojawiały się postacie świętych i Matki Boskiej. Dawało to szokujący nieco efekt, bo opis kładzenia trupem kolejnych Niemców czy Sowietów zawierał takie zdania: „Najświętsza Panienka pokierowała moją dłonią. Trafiłem go w skroń i mózg bryznął na ścianę!". Mimo że podchodziliśmy do takich ludzi jak „Szary" z ogromną czcią i szacunkiem, mieliśmy w sobie sporo żartobliwego dystansu do świata, lekko anarchistycznego.

Krzysztof Nowakowski: Heda był partyzantem z krwi i kości. Podoficer Wojska Polskiego. Pracował przed wojna przy broni w Starachowicach. Podczas wojny razem z majorem „Korebką" robili steny dla partyzantów. Później poszedł w las i zbudował lokalną partyzantkę, która bardzo była mu wierna. Ludzie w rejonie Gór Świętokrzyskich bardzo go lubili i cenili. Miał w sobie coś z wojskowego, ale bardziej z partyzanta. Był bardzo konkretny, słowny. Otoczony był mirem wśród miejscowego ludu.

Mieczysław Majdzik

Marek Bik: Mietek otaczał się aurą tajemniczości. Wyróżniał się już samym wyglądem – to był wizerunek partyzanta, który dopiero co wyszedł z lasu. Był małomówny, ale z uwagą słuchał. Czasami gdzieś znikał i cho-

dził swoimi ścieżkami. Nie chciał nam odpowiedzieć na pytanie, czy chodził z „Ogniem", czy nie chodził... Nie chciał mówić, ile lat siedział: 7 czy 8. Jakby chciał nas nauczyć, że nie na wszystkie pytania trzeba odpowiadać i nie wszystko trzeba od razu mówić.

Przemysław Markiewicz: Ubrany w wojskową panterkę Mietek – żołnierz WiN skazany w 1949 roku na 12 lat więzienia. Walczył do końca życia, był aktywny jeszcze w III RP. Opowiadał mi kiedyś o swoim aresztowaniu w Skawinie, zaraz po wojnie. Wahał się, czy zerwać zawleczki z granatów schowanych w skrzyni, na której siedział, kiedy po niego przyszli.

Krzysztof Nowakowski: Z Mietkiem Majdzikiem spędziłem wiele czasu. Dyskutowaliśmy, słuchałem jego wspomnień z czasów więziennych. Zgadaliśmy się kiedyś na temat spraw ukraińskich. Podchodził z dużym szacunkiem do ukraińskich więźniów. Nie zgadzał się z metodami walki UPA, ale podziwiał ich za to, że choć nie mieli żadnych szans, walczyli do końca. Powiedział, że Polacy, którzy siedzieli z Ukraińcami, mieli dla nich duży podziw za to, że najczęściej nie dawali się złamać, byli wierni do śmierci swojej idei. Duży podziw Mietka wzbudzały systemy podziemnych bunkrów, które budowali w Bieszczadach i na Zamojszczyźnie. To była nauka dla naszych, jak można przetrwać w trudniejszych warunkach, przy obławach. Zespół bunkrów miał zbrojownie, wartownie, sale szpitalne, magazyny z bronią, sztab, nawet kanalizację – woda przepływała przez dolne poziomy i odprowadzała ścieki. Mietek to porównywał do wietnamskich systemów fortyfikacyjnych, ale one powstały dużo później.

Miał doświadczenie konspiracyjne i zawsze był bardzo czujny, taki przyczajony. Dlatego, jak nas na Marszu w 1984 roku zwinięto, to Mietek ze szwagrem zwiali, a my w większości wpadliśmy w kocioł.

Szwagrem Majdzika był Stanisław Florczyk. Miał również konspiracyjną i więzienną przeszłość. Przysłuchiwał się jego opowieściom, ale sam był bardzo mało rozmowny. Nie dało się z niego nic wyciągnąć. Trzymali się z Mietkiem na Marszach zawsze razem.

Przemysław Witek: Konspirator w WiN-ie. Razem z nim na Kadrówkę chodził Józef Zając, który był z nim w jednym oddziale. Gdzieś tak po trzech dniach Kadrówki to oni kłócili się o drobne szczegóły z czasów wojny i partyzantki. Majdzik odsiedział ładnych kilka lat w więzieniu za

tamte rzeczy. Nabawił się choroby wnętrzności, żołądka. Najlepiej się czuł, jak kucał, bo wtedy te wnętrzności go nie bolały. Bardzo zasłużony dla Marszu.

Andrzej Izdebski

Krzysztof Nowakowski: Andrzej Izdebski, podobnie jak Mietek, to był bardzo twardy facet. Podobnie też się nosił, po wojskowemu. Nie lubił rzucać słów na wiatr, konkretny i do przesady uczciwy. Miał szerokie horyzonty. Mocno był za ideą federacyjną. Założył Towarzystwo „Pomost", w którego piśmie publikował na tematy białoruskie i ukraińskie w kontekście polskim. Gawędziarzem nie był. Ale jeżeli zabierał głos, to w sposób przemyślany. Dużo uwagi poświęcał młodym, starał się krzewić idee piłsudczykowskie. Nawet Witek Tukałło, starszy od nas o 20 lat (urodzony w latach 40.), zawsze mówił nam, że Andrzej dla niego to jest gość. Miał duży autorytet nie tylko w KPN-ie.

Maria Mansfeld: Pamiętam życiową lekcję, którą udzielił mi Andrzej Izdebski. Chyba to w Wodzisławiu było, na wieczornym apelu. Wielki, oblepiony tłustymi resztkami gar i pytanie, kto go umyje? Cisza... wszyscy – w tym ja – wstrzymujemy oddech. Myślę o obtartych nogach i zmęczeniu. I po króciutkiej chwilce, tyle by dać czas na ewentualną odpowiedź młodszym, wystąpił do przodu żołnierz, pan Andrzej. W mundurze, jaki zawsze nosił. Starszy strzelec, ps. Szum, obwód „Obroża", a w cywilu niemłody już pan, magister inżynier, kierownik wielkich budów.

Muszę powiedzieć, że kiedy po latach byłam kucharką na obozie harcerskim ZHR, czasem wspominałam ten kocioł...

Powrót po 50 latach

Robert Kulak: Na pierwszym noclegu w 1981 roku złapał nas Jan Wierzbicki z Olsztyna, który o Marszu dowiedział się z Radia Wolna Europa. Przyjechał do Krakowa, a potem nas znalazł na polu namiotowym, na którym spaliśmy, tuż przy szosie.

Był uczestnikiem Marszu w 1935 roku jako Strzelec. Niewiele potrafił opowiedzieć o tej przedwojennej Kadrówce poza tym, że był to morderczy wysiłek fizyczny, trasę pokonywali w trzy dni, robili codziennie po kilkadziesiąt kilometrów, a jeszcze po drodze mieli zawody sportowe.

Andrzej Fischer: SB go zatrzymała w 1987 roku na dworcu w Kielcach, zaraz po Marszu. To było w czasie, kiedy już tak nie łapali. A pan Jan miał wtedy 80 lat.

Ludmiła Fastowicz: Pan Wierzbicki miał przepiękny głos operowy. Długo z nim rozmawiałam w drodze, on mi śpiewał różne arie. Ale bardzo narzekał, że w Marszu źle się śpiewa. Obiecał kiedyś, że w stodole, przed snem, zaśpiewa mi całą arię Jontka z „Halki". I oczywiście słowa dotrzymał!

Przemysław Witek: To był sopran. Znakomicie śpiewał. Kłócili się okropnie z Hnatowiczem. Nie mogli być obok siebie. Jak szliśmy spać, to się ich rozdzielało. Nie kłócili się o sprawy patriotyczne czy polityczne, bo tu akurat myśleli tak samo, ale nie mogli się dogadać w sprawach muzyki. Wierzbicki inaczej podchodził do melodii. Przestał z tego powodu przyjeżdżać na Kadrówkę. Ale korespondowaliśmy ze sobą.

Ludomir Olkuśnik: Był Wołyniakiem mieszkającym w Olsztynie. (...) Ten dziarski osiemdziesięciolatek, wyglądający co najmniej o kilka lat młodziej, przeszedł i tym razem [w 1987] całą trasę bez żadnej taryfy ulgowej i nigdy nie wyglądał na bardziej zmęczonego niż młodzi.

Komendant Wałęsa

Marek Bik: 1984 rok. Wieźliśmy z Wojtkiem Pęgielem pismo dla Wałęsy od komendanta Marszu, którym formalnie był gen. Boruta-Spiechowicz, odznakę z numerem 0 i dyplom. Mieliśmy poprosić przewodniczącego Solidarności, aby został honorowym komendantem Marszu, czyli żeby zgodził się firmować swoim nazwiskiem tę imprezę.

Poszliśmy do kościoła św. Brygidy w Gdańsku. Rano na plebanii u sekretarza Wałęsy zapisaliśmy się na określony termin.



6 sierpnia 1981 r. Goszyce. Dwór – miejsce pierwszego postoju patrolu konnego Władysława Beliny-Prażmowskiego, który w 1914 r. jako pierwszy przekroczył granicę zaboru. Do uczestników Kadrówki przemawia Józef Herzog.

Wałęsa wtedy pracował w stoczni. Po pracy (ok. 14.30) przyjechał na plebanię w kolumnie chyba z dziesięciu samochodów milicyjnych, które jeździły za nim stale. Z ks. Jankowskim przyjęli nas w eleganckim gabinecie z meblami gdańskimi. Wręczyliśmy Wałęsie tę odznakę. Od razu zgrzyt – ks. Jankowski poczuł się urażony, że on też nie dostał. Wałęsa nie zgodził się formalnie objąć patronatu nad Marszem, tylko powiedział: „Wy się poświęcajcie, róbcie i pamiętajcie, że wszystko co dobre, ma iść na moje konto!". Słuchający roześmiali się, bo chyba miał to być dowcip. Dla nas nie było w tym żadnego dowcipu, tylko pycha. Całe spotkanie trwało może 20 minut. Został niesmak.

Logistyka

Jerzy Mohl: Realia polityczne, w których odbywał się Marsz, wymuszał na jego organizatorach i uczestnikach konieczność stosowania metod niemal konspiracyjnych. Sama liczebność tego przedsięwzięcia była imponująca, jeśli się weźmie poprawkę na teoretyczny i faktyczny poziom potencjalnych represji, które mogły spotkać jego uczestników. W Marszu w 1984 roku szło ponad 100 osób! I trzeba było im zapewnić miejsce do spania, picie, jedzenie, wodę do mycia, toalety.

Wojciech Słowik: W 1982 roku plecaki nieśliśmy na grzbietach. Inaczej niż rok wcześniej, nie było szans na wynajęcie jakiegoś żuka, który podwoziłby nasze rzeczy. Trzeba pamiętać, że wtedy sprzęt turystyczny był dużo cięższy niż dziś, na dodatek trzeba było wziąć ze sobą jedzenie, bo w sklepach po drodze puste półki. Lekko nie było.

Krystyna Jędras: Mój kolega, Krzysztof Skulski, pracował w wypożyczalni namiotów i śpiworów. Dzięki niemu udało mi się kilkanaście namiotów wypożyczyć na Marsz w 1983 roku. To była ogromna pomoc, bo ludzie nie mieli swojego sprzętu, a w sklepie nie dało się, ot tak, kupić.

Paweł Sabuda: W 1986 roku ciężkie plecaki i namioty jechały chyba jakimiś żukami, a my mieliśmy lekkie, podręczne. Ale nie wszyscy! Jeden z uczestników, niemłody już pan spoza Krakowa, niósł cały czas swój główny plecak. Tłumaczył, że przecież w 1914 roku I Kadrowa żuków nie miała, więc i on nie będzie korzystał z takich udogodnień.

Witold Tukałło: W 1983 roku organizacja Marszu była bardzo skomplikowana, bo nie mieliśmy żadnej pomocy finansowej z zewnątrz. Musieliśmy koszty pokrywać z własnych środków, a część wydatków przecież trzeba było ponieść przed Marszem. Najczęściej organizowaliśmy transport ad hoc, każdego dnia trzeba było znaleźć inny gdzieś po wsiach. To utrudniało zadanie bezpiece, nie mogli tak łatwo pozbawić nas samochodu. Zwykle za te sprawy odpowiadali Jurek Dobrowolski i Maciek Gawlikowski. Nawet jeśli w danym roku nie byli formalnie w komendzie.

Jerzy Dobrowolski: Przyjęło się przez kilka lat z rzędu, że razem z Maćkiem Gawlikowskim przygotowywaliśmy logistykę Marszu. Wojtek Pęgiel wyznaczył nam funkcje – Maciek został kwatermistrzem, ja oboźnym. W praktyce wszystko robiliśmy wspólnie. Ważny był tzw. objazd trasy, zaklepanie noclegów. Pamiętam, że kiedyś do dyspozycji była ciężarówka – zabytkowy skrzyniowy horch. Ktoś przekonał właściciela do naszych spraw i jeździł z nami przez dużą część trasy.

To jest jedno z tych wspomnień, które wezmę ze sobą do grobu – jak przewozimy tym wielkim, ledwo sapiącym horchem bagaże Kadrówki. Po wielu dniach przygotowań, kombinowania, Marsz po raz kolejny rusza na trasę. A Maciek i ja, z czystym sumieniem, z radością, wrzucamy kilkadziesiąt plecaków, namioty i jakieś sprzęty na pakę. Ruszamy. Leżymy na pace w upalne sierpniowe popołudnie, patrzymy w niebo, a horch sprawnie, choć bez pośpiechu pokonuje serpentyny za Michałowicami. Chwila prawdziwego szczęścia – bez żadnych zmartwień, problemów. Beztroska drogi.

Potem musieliśmy tylko dograć sprawę noclegu, wyładować plecaki, rozstawić namioty, zorganizować wodę i jakieś palenisko, rozpalić ogień.

Maciej Gawlikowski: Od 1986 roku do naszej dwójki dołączył Tolek Piekałkiewicz. Odpowiadał za aprowizację i kuchnię. Zasłynął jako kontrowersyjny nieco kucharz, łączący w sposób niekonwencjonalny różne smaki. Potrafił zaskoczyć! Niezmienna była jedynie konsystencja tych posiłków – lekko półpłynna... Uczestnicząc w przygotowaniach i widząc kulisy tej kuchni, wybieraliśmy razem z Jurkiem raczej kanapki. Ale jedno trzeba powiedzieć – nie doszło nigdy do zatrucia nikogo. A tego nie mogą czasem zagwarantować nawet znane restauracje. Plus dla Tolka!



6 sierpnia 1981 r. Goszyce. Spotkanie z legionistami. W środku siedzą (od lewej) legioniści Stanisław Leszczyc-Przywara i Józef Herzog oraz kolejno Andrzej Izdebski – żołnierz AK, uczestnik Marszu i Stefan Melak (obaj działacze KPN).



Wojciech Frazik: Z 1983 roku pamiętam w menu jedynie kanapki, które przygotowywaliśmy rano i wieczorem. Zawsze ktoś nam dawał wrzątek i robiliśmy w kociołku herbatę. To wszystko było bardzo siermiężne. Ciepłe posiłki kupowaliśmy sobie w wiejskich knajpach po drodze, jeśli była okazja. Wtedy takie jedzenie nie było drogie, ale rzadko w ogóle było. Mieliśmy w kolejnych latach troszkę rzeczy z kościelnych darów – w tym słynny ser żółty z puszek. W większości jednak jedliśmy jakieś konserwy rybne, bo nic innego nie można było kupić. Mielonka była rarytasem. Gotowanie zaczęło się później.

Jerzy Dobrowolski: Zwykle magazynem prowiantu i rzeczy na Marsz był lokal Koła Naukowego Historyków Studentów UJ przy dzisiejszej ul. Studenckiej. Kiedyś przed Marszem podsunąłem Wojtkowi pomysł, aby pójść do Kurii, poprosić o aprowizację. Kardynał Franciszek Macharski przyjął nas bez ceregieli, krótko, w przelocie. Nie był wylewny, ale od razu się zgodził. Wojtek załatwił żuka z plandeką i pojechaliśmy na Franciszkańską. Dostaliśmy trochę dobrego jedzenia – najwięcej ketchupu i świetnego, amerykańskiego cheddaru. Też margarynę, parówki w słoikach i sporo różnych pojedynczych konserw. Zawieźliśmy te dobra do lokalu KNHS. Ketchupu było bardzo dużo. Nie znaliśmy za bardzo tej przyprawy, więc Tolek – jako kadrówkowy kuchmistrz – gotował z ketchupu... zupę pomidorową.

Maciej Gawlikowski: Koło Naukowe Historyków to był matecznik Wojtka Pęgiela. Ale nasze panoszenie się tam i robienie z ich ciasnych pomieszczeń magazynu marszowych gratów to wielka zasługa szefów koła – najpierw Piotra Boronia (nie mylić z Piotrem Marią Boroniem, współpracownikiem Waksmundzkiego – to dwie różne osoby) i Grześka Małachowskiego – związanego ze środowiskiem piłsudczykowskim od końca lat 70. Częstym gościem był tam też Marek Łoś, przyjaciel Wojtka, pomagający mu w sprawach marszowych. Studiował prawo, ale z zamiłowania był historykiem, zwłaszcza historykiem sztuki.

Antoni Piekałkiewicz: Wszyscy chętnie chodzili na Marsz, bo wiedzieli, że ja dobrze jeść gotowałem. Z jednej małej torebki zupy w proszku wychodziły mi średnio 4 litry. Bieda była to i dania były niskokaloryczne. Można się było odchudzić.

Ludmiła Fastowicz: Pamiętam, jak Tolka Piekałkiewicza ludzie chcieli wrzucić do kotła, bo pomieszał w tej swojej zupie konserwy mięsne z rybnymi.

Antoni Piekałkiewicz: Bywało i tak. Ale w niczym to nie przeszkadzało, bo się świetnie przegryzło i było całkiem smaczne.

Ludmiła Fastowicz: Długo uciekał przed pogonią. Następny posiłek mieliśmy za to jak w Wierzynku!

Andrzej Albiniak: Dziś wspominamy to ze śmiechem, ale wtedy to były poważne problemy, z czego dziś mało kto zdaje sobie sprawę. Czasami za cały obiad musiały na Marszu wystarczyć dwie kromki chleba z jakąś tuszonką. Problemy z zaopatrzeniem były ogromne. Mięso na kartki, w sklepach pusto. Na kartkę „mięso wołowe z kością" można było kupić różne puszki. Cały rok zbierało się te konserwy, żeby mieć latem na wyjazdy.

W czym to grzać? Kiedy nie dało się rozpalić w palenisku, to Tolek miał taki barowy, aluminiowy kociołek, chyba 50-litrowy, ale bez grzałki. Podgrzewał wodę za pomocą dwóch żyletek na drutach, które wtykał do gniazdka.

Katarzyna Dumanowska: Organizacja tak wielkiego przedsięwzięcia w latach 80. była niewątpliwie zadaniem karkołomnym. Szło się przez tereny pozbawione nie tylko sklepów, ale i wody. Wyschnięte studnie, upały (w tych Marszach końcówki lat 80. to deszczu nie pamiętam). Po pierwszej Kadrówce schudłam 8 kilo. Antoni Piekałkiewicz jako kwatermistrz zbytnio się smakiem potraw nie przejmował. Nie zapomnę mu nigdy, że przypalił grochówkę, o której marzyliśmy prawie cały dzień! Ale miało to swój urok. A Tolek nadrabiał humorem i luzem. Poza tym czasem dał trochę ciepłej wody, a potem patrzył z przyganą, na co ją marnujemy – dziewczyny chciały mieć umyte włosy.

Lesław Dykacz: Współczesnym marszowiczom karmionym przez catering nie mieści się pewnie w głowach, że kiedyś głównym marszowym posiłkiem była zupa z kotła Tola. Chciałbym zobaczyć ich miny, gdyby tego kosztowali!



7 sierpnia 1981 r. Miechów. Powitanie Kadrówki na rynku w Miechowie przez grupę żołnierzy Armii Krajowej, głównie 106 Dywizji Piechoty, na czele z płk. Wiesławem Żakowskim (w środku) i ppłk. Jerzym Wesołowskim (po lewej, z brodą).

Witold Tukałło: Mieliśmy nocować w leśniczówce. Powiedziałem Maćkowi Gawlikowskiemu – kwatermistrzowi – że sprawa jest już załatwiona z leśniczym, ale w rzeczywistości nic z nim nie załatwiałem, bo bałem się, że jak to jest komunista, to nas wyda esbecji. Maciek tam przyszedł, a leśniczy go pogonił. No i jak tylko wyszliśmy z lasu w stronę tej leśniczówki, to przybiegł Maciek z pretensjami. Przeprosiłem go. Ale w końcu udało nam się tam przenocować i gość okazał się bardzo fajny.

Jerzy Dobrowolski: Mieliśmy świetny nocleg przy leśniczówce. Pamiętam obozowisko na polanie, w cieniu dorodnych brzóz. Następnego roku przyjechaliśmy z Maćkiem, ale leśniczy nie mógł pomóc. Była wcześniej SB i zaszantażowali go. Powiedział nam o tym, przełykając wstyd – stateczny leśniczy, młodym wilczkom z KPN. Nie naciskaliśmy. My raz w roku przechodziliśmy, on tam zostawał z problemami.

Sztandar

Krzysztof Nowakowski: Pierwszy sztandar Marszu, dość skromny, przepadł w 1984 roku, gdy nas zatrzymali w Jędrzejowie. Wtedy Zbyszek Romanowski skombinował jakieś farby i namalował sztandar. Siostra Witka Tukałły pomogła, żeby to nie prześwitywało. Z jednej strony była namalowana odznaka I Brygady.

Romanowski był na swój sposób inteligentny, bystry, choć nie miał wykształcenia. Wyglądał na zaprawionego w ciężkiej pracy. Miał pasję, czegoś chciał. Wiadomo było, że zaliczył jakąś odsiadkę i to nie za politykę, bo miał więzienny tatuaż. Nie wiem, skąd się wziął wśród nas. W obcowaniu z ludźmi był raczej spokojny i opanowany.

Konrad Zbrożek[352]: W tym czasie (Marsz w 1984) powstał sztandar. Zrobiony był przez Zbyszka Romanowskiego, plastyka amatora, tego samego, który stworzył przejmującą, biało-czerwoną szarfę w kształcie „V" wywieszoną na kościele św. Stanisława Kostki podczas pogrzebu ks. J. Popiełuszki. Skąd na nasz sztandar wziął materiał, dobrą farbę, nici itp.? Może braciszkowie pomogli? Najważniejsze, że mieliśmy sztandar, który w najgodniejszej i najsilniejszej obstawie wyruszył do stolicy ziemi świętokrzyskiej.

Jerzy Dobrowolski: Feralny Wodzisław – szliśmy zeźleni na cały świat, było gorąco. W sklepiku sprzedawali akurat trudno dostępne w Krakowie piwo. Aniśmy się obejrzeli, jak niektórzy wypili trochę za dużo. Ale trudno się dziwić – parszywi esbecy ukradli nasz sztandar, a to przecież wielki dyshonor. No to na postoju zrobiliśmy nowy. Poszliśmy z Maćkiem Gawlikowskim szukać materiału. W pasmanterii nie mieli nic biało-czerwonego, ale wymyśliłem, że może być tzw. wsyp do kołdry. Taki to był śliski dość, syntetyczny materiał. Dzielna sprzedawczyni, kiedy się dowiedziała, czego szukamy, nie wzięła ani złotówki. To akt odwagi w małym miasteczku. No i na „wsypie do kołdry" powstał sztandar Kadrówki. Litery pieczołowicie wymalował Zbigniew Romanowski „Szalony". Nie podejrzewaliśmy go o talent kreślarski, ale gdy zobaczyliśmy, jak kreśli i maluje – oniemieliśmy! Był w tym świetny. Marszowa pracownia miała naszą stałą ochronę.

[352] Wszystkie wypowiedzi Konrada Zbrożka, cytujemy – za zgodą Autora - z jego wspomnień „Moja pierwsza Kadrówka" opublikowanych w portalu www.jpilsudski.org.

Esbecy chcieli zabrać nam i ten sztandar. „Szalony" nie odstępował go na krok. Traktował go jak relikwię. Kiedyś po kąpieli w stawie suszył tors, wystawiając się do słońca. Nagle pojawiły się esbeckie samochody. Zbyszek porwał tylko leżący obok sztandar, zarzucił go na plecy i owinięty nim jak rezerwiści chustami, pognał groblą między stawy.

Maciej Gawlikowski: Zbyszek to tragiczna postać. Przykład tego, jak zagmatwane potrafią być ludzkie losy. Jak pojawiając się gdzieś nasłanym ze złymi intencjami, można szybko pod wpływem innych zmienić front i czynić Dobro. Niestety, zmarł młodo, a ostatnie lata to było zmaganie się z ciężką chorobą. Był wtedy trudny w kontaktach, dla wielu ludzi stanowił pośmiewisko. Warto pamiętać, że zrobił w życiu parę wielkich rzeczy i że dobrze zasłużył się Polsce w latach 80. Ile razy widzę podczas uroczystości sztandar Kadrówki, myślę o Nim ciepło.

Kościół i „namiotowcy"

Maria Mansfeld: Kościół zawsze towarzyszył nam w drodze. Księża kapelani, zwłaszcza o. Adam Studziński, goszczący nas proboszczowie, studenci lub niedawni studenci wychowani przez duszpasterstwo dominikańskie „Beczka".

W Marszach po 1982 roku nieśliśmy zawsze, dobrze ukryte, listy polecające od kard. Macharskiego. Miały nam ułatwić przyjęcie na nocleg na plebaniach, gdybyśmy mieli kłopoty.

Ale było też tak, w roku 1982, że katedra kielecka, mimo zamówionej mszy, okazała się zamknięta na cztery spusty. I nie było nikogo, kogo można by nawet o cokolwiek zapytać. Jakby wszystkich nagle wymiotło.

Przemysław Witek: Nie wiem, dlaczego katedra w 1982 roku była zamknięta. Nie wiem, czy osoba, która zamawiała mszę, miała jakieś papiery od kardynała Macharskiego. Jeżeliby miała, to msza na pewno by była. Biskup Jaworski był odważny i przychylny nam, miał w rodzinie legionistów.

Maria Mansfeld: Z podobną odmową spotkaliśmy się też w późniejszych latach na jednej z plebanii. Bywało! Było przykro, ale to nie wpły-

wało na wiarę uczestników, przynajmniej na moją. To było tylko przykro „po ludzku".

Wieczorne msze były, gdy tylko nocowaliśmy na plebanii – w salce katechetycznej, ale najczęściej na jakimś podwórku kościelnym czy na pobliskim polu w namiotach. Problem, czy jesteśmy pielgrzymką, czy tylko ją udajemy, powstał później, w 1985 roku. Pamiętam pobożny udział we mszach św. przez naszych starszych marszowiczów, pełen prawdziwego skupienia. To nie była pobożność wymuszona przez okoliczności. Myślę, że kiedy śpiewaliśmy „O, Boże, skrusz ten miecz, co siecze kraj...", to nie wzywaliśmy Pana Boga nadaremno. Nie był to tylko cytat ze starego śpiewnika.



1981. Na czele Marszowej kolumny (od lewej): Andrzej Izdebski, Włodzimierz Steckiewicz, Joanna Korpas, Piotr Maria Boroń i Paweł Kozmiński.

Robert Kulak: W 1985 roku nie udawaliśmy pielgrzymki, jak to potem zarzucała część uczestników, ale były takie sytuacje, że ksiądz zapowiadał nas jako pielgrzymkę. W czasie objazdu trasy mówiliśmy wyraźnie, że jesteśmy Marszem szlakiem I Kompanii Kadrowej, ale księża szli na skróty i przedstawiali nas jako pielgrzymów, bo tak było im łatwiej. A my dopiero pielgrzymkę powoływaliśmy w Kielcach, po Marszu. Jechaliśmy pociągiem do Włoszczowy i tu łączyliśmy się z pielgrzymką lubelską i szliśmy dalej do Częstochowy jako pielgrzymka w intencji odzyskania niepodległości.

Przemysław Witek: W 1985 roku udawaliśmy pielgrzymkę. Wprawdzie nie mieliśmy księdza, ale mieliśmy krzyż (który przekazałem – jest obecnie w Warszawie).

Maciej Gawlikowski: Religia była bardzo ważną sprawą dla wielu marszowiczów, ale sama impreza była idealnym, modelowym przykładem nienarzucania nikomu niczego w tej kwestii, wolności i prawa wyboru, przy pełnym poszanowaniu praktykujących. Szli obok siebie gorliwi katolicy i ateusze, a nikt nie robił z tego problemu.

Większość grupy, z którą się trzymałem na Marszach, miała akurat duży dystans do Kościoła. Wynikał z osobistych doświadczeń, ale też z politycznych pobudek. Byliśmy radykalni i uznawaliśmy prymasa Glempa, władze kościelne za zbyt miękkie wobec komunistów, nawet za posuwające się do kolaboracji. Cóż, młodość ma swoje prawa, także do nieumiarkowania w ocenach.

Kiedy jednak przekroczylibyśmy nawet lekko granice, zawsze był ktoś, kto dyskretnie i stanowczo przywoływał do porządku. Ze wstydem pamiętam taką scenę – Marsz w połowie lat 80., stoimy przed kościołem w Prandocinie (już po zmianie proboszcza na nieprzychylnego nam), czekając na koniec mszy i dowcipkujemy. Padają jakieś nieprzychylne teksty na temat Kościoła. Słyszy to Wojtek Pęgiel i z wściekłą miną doskakuje do nas: „Przestańcie się zachowywać jak bolszewicy w muzeum ateizmu. Dość tego! Kompromitujecie Marsz". Nie było nikogo obcego w pobliżu, ale miał rację, to było niestosowne, niemądre. W pięty nam poszło, zamilkliśmy. A to, że dobrze pamiętam tę historię, świadczy o tym, że mocno zabolało. Tym bardziej że Wojtek nie był typem oazowicza, sam był na bakier z kościelnymi nakazami, ale zawsze trzymał fason.

Jerzy Dobrowolski: W czasie, kiedy ruszała Kadrówka, wychodziła też z Krakowa pielgrzymka do Częstochowy. Spotykaliśmy się parę razy. Nie było między nami chemii – oni szli w innej sprawie, my w innej – tak wtedy sądziliśmy.

Jacek Torbicz: Marsz łączył ludzi o różnych poglądach – lewicowych, centrowych i prawicowych, jednak w tych latach nigdy nie byłem świadkiem żadnej poważnej awantury z obrażaniem kogoś, poniżaniem. Stanowiliśmy jedność, czuliśmy się przyjaciółmi i lubiliśmy być w swoim towarzystwie. Łączyła nas niechęć do komunizmu i romantyczna idea porywania się z motyką na słońce.

Na Marszach bardzo zżywaliśmy się ze sobą i do dziś mam sentyment do wszystkich uczestników Marszu. Przyjaźni sprzyjała aura Marszu, poczucie wyjątkowości, wspólne ogniska. Oczywiście były też mocniejsze emocje – pojawiały się nierzadko miłości. Ale rozwiązłości nie było, w każdym razie nikt się nią nie afiszował. Alkohol rzadko był obecny, czuliśmy się doskonale bez tego. Może staraliśmy się być dobrymi „żołnierzami" współczesnej I Kompanii Kadrowej?

Nie należę do osób uważających, że udział w Marszach to jakaś martyrologia i wielkie ryzyko. Oczywiście narażaliśmy się nieco, ale były to też fantastyczne wakacje – szliśmy przez lasy, wsie, nocowaliśmy w namiotach, kąpaliśmy się w rzekach, byliśmy blisko natury, co zawsze uwielbiałem.

Choć korzystaliśmy nieco z pomocy kościołów, Marsze nie miały nic wspólnego z pielgrzymkami. Oczywiście były wśród nas osoby bardzo religijne, ale na Marszach te sprawy schodziły na dalszy plan i atmosfera w niczym nie przypominała tej z ruchów oazowych. Kościół jako instytucja był wtedy dla wielu z nas zbyt miękki i uległy wobec komunizmu i tak też postrzegałem ruchy skupione wokół niego.

Danuta Czechmanowska: Ta – powiedzmy – niegrzeczność marszowiczów także podlegała stopniowaniu, bo uczestniczy Marszu dzielili się na „stodołowców" i „namiotowców". Ci, którzy spali w stodołach, to byli ci grzeczniejsi, więcej wśród nich było osób starszych. Ci z namiotów, to śpiewali piosenki do rana i zakłócali ciszę... Nie śpiewali „Kiedy ranne wstają zorze...". Nie muszę chyba mówić, w której grupie byłam.

Artur Then: Czasami śpiewaliśmy piosenki niezbyt cenzuralne, niezbyt patriotyczne, czasami szydzące z hurapatriotycznego zadęcia niektórych osób. Chcieliśmy uniknąć tego przegięcia. Byliśmy normalnymi młodymi ludźmi, którzy czasami przeklinali, nie stronili od alkoholu... Ale chcę to wyraźnie podkreślić, że na palcach jednej ręki można policzyć sytuacje, gdy w czasie Kadrówki był pity alkohol. Wszyscy, nawet ci, którzy lubili wypić, raczej dawali sobie spokój na ten tydzień. Zdawaliśmy sobie po prostu sprawę, jak duże jest niebezpieczeństwo skompromitowania idei Marszu. Wiedzieliśmy, że jeżeli ktoś pijany zostanie złapany, to będzie wstyd. To było przestrzegane. Zdarzało się, że w jakiś upalny dzień ktoś został dłużej przy wiejskim sklepie i napił się piwa, ale to były pojedyncze przypadki.

Szliśmy luźnymi grupkami. Mimo formalnego podziału na plutony od 1985 roku, one bardzo rzadko się formowały. Praktycznie tylko wtedy, gdy trzeba było ustalić, który pluton pełni wartę, a który przygotowuje kolację i wtedy, kiedy byliśmy na uroczystościach.



Kadrówka w 1981 r. szła z Krakowa do Kielc główną szosą, w każdym mijanym miasteczku biorąc udział w uroczystościach z udziałem mieszkańców.

Jerzy Woźniak: Marsz był imprezą, w której brali udział przeważnie ludzie młodzi. Obok wzniosłych, wręcz patetycznych klimatów na trasie, toczyło się normalne życie towarzyskie. Było wesoło, opowiadano dowcipy, toczyły się rozmowy o życiu, oczywiście zerkano na płeć przeciwną. Nawet nie tylko zerkano... 1988 rok – ciemna noc, chyba gdzieś koło Jędrzejowa. Miałem wartę z Wieśkiem Gęsickim. Marsz już spał. Ludzie byli rozlokowani w stodole i w namiotach. Zaniepokoiły nas dziwne odgłosy, które dobiegały z chłopskiego sadu tuż za budynkiem gospodarza. Pierwsza myśl – bezpieka albo milicja! Zachowując ostrożność, skradaliśmy się do podejrzanego miejsca. Uzgodniliśmy, że w razie czego podnosimy alarm. Po chwili dopiero zrozumieliśmy, co było powodem zamieszania. Jakaś para kadrówkowa namiętnie studiowała szlak bojowy z 1914 roku i raczej nie przypuszczała, że o drugiej w nocy może zostać nakryta przez nocny patrol. Zdusiliśmy dłońmi śmiech i możliwie cicho się oddaliliśmy.

Danuta Kowacka: Pewnego wieczoru zostałam pilnować całego obozowiska Kadrówki wraz z Przemkiem Markiewiczem. Cóż to był za piękny, sierpniowy wieczór, ciepło, gwiazdy na całym niebie, widoczne tak, jak byśmy mieli nad sobą przepiękny, utkany, złocisty dywan. Było mi żal, że zamiast iść na ognisko do pobliskiej wioski, muszę trzymać wartę. Ale cóż rozkaz komendanta to rozkaz! Trzeba wykonać.

Wieczór i kawałek nocy minął jednak dosyć szybko, głównie na dyskusjach z Przemkiem i łażeniu wokół namiotów. Jednak bardzo się ucieszyłam, kiedy usłyszeliśmy, że nasi wracają do obozu.

Wartę na dalszą część nocy przejął ktoś inny.

Przez Przemka poznałam mojego męża Krzysztofa, razem studiowali na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. W taki to sposób Marsz wpłynął również na moje prywatne życie.

Jacek Lewandowski: Na tej Kadrówce w 1988 roku wiele par się poznało. Między innymi Zygmunt Łenyk z Anią Olpeter. Zygmunt miał poranione marszem nogi. Poprosiłem Anię, aby mu je opatrzyła. Jak weszła do jego namiotu, tak są razem do dziś.

Z widłami na Kadrówkę

Wojciech Frazik: Byliśmy w tamtej rzeczywistości czymś tak innym, że na pewno postrzegano nas jako cudaków. Wypadaliśmy nagle spomiędzy pól albo z lasu, przechodziliśmy ze śpiewem przez wieś, wywoływaliśmy zamieszanie, po czym znikaliśmy w lesie.

Jacek Torbicz: Lata 1983-1986 nie były wesołe, ludzie byli zastraszeni, apatyczni i nie witały nas tłumy, choć spotykaliśmy się z wieloma pojedynczymi gestami gościnności i poparcia. Pocieszaliśmy się wtedy, że Pierwszej Kadrowej też nie witano entuzjastycznie, wręcz przeciwnie. Do niektórych miejscowości wchodziliśmy w zwartym szyku, z antykomunistycznym śpiewem na ustach, co wywoływało zdumienie u miejscowych.

Maria Mansfeld: Przychodzili do nas mieszkańcy tych małych miasteczek, wspominali, opowiadali historie rodzinne. Jakby czekali na nas tyle lat, żeby komuś te swoje pieczołowicie przechowane sekrety opowiedzieć! Widzieliśmy się po raz pierwszy, a tworzyła się natychmiast nić porozumienia! To było w 1983 roku. Wieczór, ognisko u naszego gospodarza w ogrodzie. Przed nami płot i nasyp kolejowy. Przyszli sąsiedzi. Starszy pan opowiedział, jak w 1935 roku jechał tędy pociąg wiozący na lawecie ciało Marszałka. Mieszkańcy wylegli, stali wzdłuż torów. Wśród nich on z rodzicami. Chcieli pożegnać, oddać hołd. A potem przez lata nie wolno było wspominać. Jakie to było wzruszenie... Stawaliśmy się świadkami tych ich historii.

Danuta Kowacka: Zapamiętałam to ognisko na całe życie. Niepowtarzalna atmosfera – iskry strzelające w górę, śpiewaliśmy, Jacek Torbicz grał na gitarze, Andrzej Izdebski dużo opowiadał o Polsce przedwojennej, o Piłsudskim. Starszy pan, miejscowy, który włączył się do rozmowy, powiedział, że od dłuższego czasu nam się przysłuchiwał, i że ten wieczór przypomniał mu pożegnania Marszałka w 1935 roku. Kiedy przejeżdżała laweta z trumną, też już było późno, paliły się ogniska, przy torze stał człowiek przy człowieku. – Myślałem, że już zabili pamięć o tych czasach. A tu słyszę was – młodych ludzi, którzy o tym mówią otwarcie! Wielu z nas miało łzy w oczach. Wojtek Pęgiel podarował mu wtedy plakietkę marszową i śpiewnik. Starszy pan się rozpłakał.

Wojciech Frazik: Spaliśmy w 1983 roku jedną noc w stodole u Witolda Orczyka. Po wojnie był w WiN-ie. Kiedy wpadł, ubowcy rozebrali prawie cały dom, szukając broni. Cegła po cegle. Zostawili ruinę. Opowiadał nam tę historię podczas ogniska.

Artur Then: Szliśmy przez wioski i małe miasta, gdzie nie było widać śladów żadnego oporu wobec władzy, tam panowała jaruzelska normalizacja. Najpierw zerkali na nas nieufnie zza płotów, potem już o nas wiedzieli i nie bali się, ale dystans zachowywali bardzo często. Musiał to być jednak dla nich widok niezwykły.

Ale też ludzie, którzy sami nie mieli wiele, dzielili się z nami. Bardziej mlekiem, niż wodą, bo Kielecczyzna miała tereny niemal pustynne, gdzie studnie się kopało bardzo głęboko, a wody w lecie brakowało nawet dla mieszkańców.

Maria Mansfeld: Nie pamiętam już, na którym to było Marszu... W jednej wsi dostaliśmy kwaśne mleko, w kolejnej drugie. Mleko z glinianych garnków wyciągniętych z piwniczek, cudownie gęste. Grzech odmówić. W międzyczasie były śliwki z przydrożnych drzew. A potem trzeba było biegać w poszukiwaniu sławojek. Chyba wszyscy mieli ten problem. Pamiętam, wpadłam w ostatniej chwili na czyjeś podwórko, nawet bez proszenia o zgodę na skorzystanie, wskoczyłam do drewnianej wygódki.

Andrzej Albiniak: W Choinach nad Nidą Tolek Piekałkiewicz obarczył mnie zadaniem kupienia chleba. Pojechałem na pożyczonym składaku do sklepu spożywczego, takiego w stylu wczesny Gierek i czekałem wraz z innymi w kolejce. Trzeba było nakarmić ponad sto osób. To była końcówka lat 80., a na tych terenach chleb był trudny do kupienia. I był limit na jedną osobę. Opowiadałem o Kadrówce, złorzeczyłem na komunę. Jak przyjechał samochód z chlebami, to te panie z kolejki odstępowały mi po bochenku i jakoś się udało.

Ludmiła Fastowicz: Chłop w polu kosił trawę. Jak nas zobaczył, spytał:
– A wy dokąd?
Tolek Piekałkiewicz na to, jak zwykle, hmm... dowcipnie:
– Na Lwów, panie, na Ruskich!
– To ja już z wami nie dam rady, za stary jestem.
I się rozpłakał.

Jacek Lewandowski: Różnie bywało... Koło Książa były stawy rybne. Przechodziliśmy koło nich. Jakiś chłop tam był bardzo nerwowy i dwa razy w tym samym miejscu gonił nas z widłami w garści.

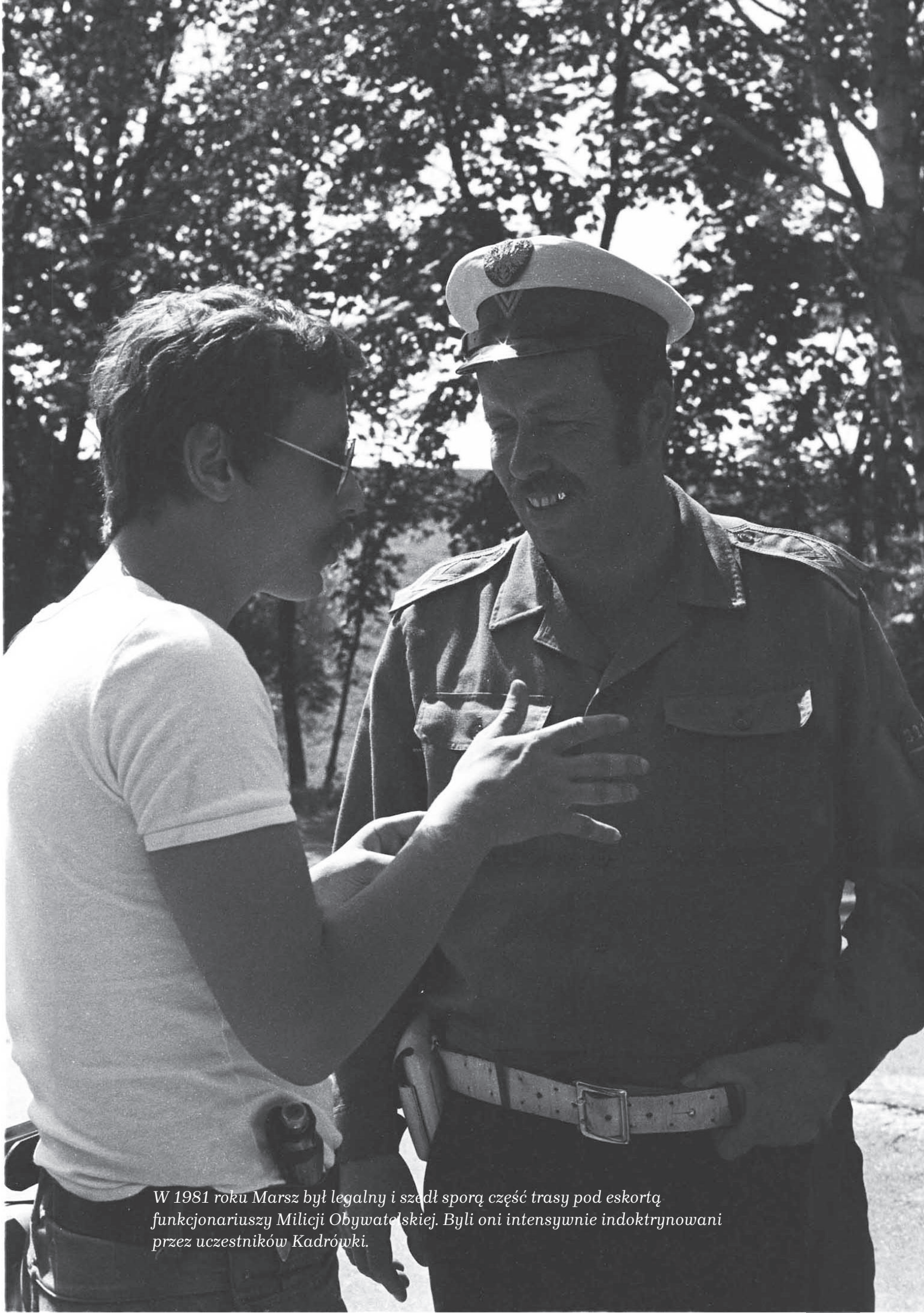
Maria Mansfeld: Noc była bardzo pomocna. Nocą szło się najbezpieczniej. Na tym Marszu w 1985 roku polubiłam już na zawsze nocne eskapady. Pamiętam szczególnie jeden taki przemarsz. Mieliśmy jakieś stare mapy i ci, co się dobrze na nich znali, porównywali drogę. Szliśmy najczęściej na azymut i trzeba było trochę kluczyć. Zmęczeni, wyszliśmy już nad ranem na jakieś pole, na którym stały stogi skoszonego siana. Komenda zarządziła odpoczynek, każdy z ulgą zagrzebał się w stóg, nawet po dwie osoby do jednego. Zasnęłam. Po pewnym czasie obudziło nas zimno, poranna mgła. Otrzepaliśmy się, no i dalej w drogę. Ale w pobliżu stał chłop, widział jak się gramolimy z tego siana. Obudził się w nas lęk, że może donieść. I chyba Wojtek Pęgiel, udając przewodnika wycieczki, krzyknął, że idziemy na Racławice, a po chwili dodał, nie przerywając Marszu:
– Którędy to?
– A to w odwrotnym kierunku! – odpowiedział zdumiony chłop.
– Aha, no to my tam właśnie idziemy – odpowiedział Wojtek, nie zmieniając trasy.

Pan wyglądał na szczerze zdumionego.

Demonstracja i pielgrzymka

Ewa Wrzesińska: Pierwszy Marsz odbywał się w bardzo specyficznym momencie. 1981 rok to niby Karnawał Solidarności i względna swoboda, ale jednak zapomina się dziś, że to był bardzo nerwowy czas oczekiwania na to, co się złego zdarzy. To nie była już euforia końcówki 1980 roku, tuż po Sierpniu. Ludzie walczyli o każdy ochłap, stało się po wszystko w gigantycznych kolejkach, w których wybuchały awantury. Wiadomo było, że to czas przejściowy. I to rzutowało na atmosferę Marszu. Ludzie byli trochę nieufni, zamknięci. Jeśli ktoś szedł w znajomej grupie, to może mniej to odczuwał, ale dla mnie to było trochę męczące. Rekompensatą były wspaniałe spotkania z wielką historią, z ostatnimi żyjącymi żołnierzami Marszałka, akowcami.

***



W 1981 roku Marsz był legalny i szedł sporą część trasy pod eskortą funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Byli oni intensywnie indoktrynowani przez uczestników Kadrówki.

Maria Mansfeld: W 1982 roku szła nas malutka grupa. Stan wojenny to nie były żarty, ale dla tych, którzy szli rok wcześniej, było oczywiste, że trzeba iść. Kontaktem dla mnie z Marszem był Paweł Koźmiński. Pojechałam do Krakowa i wiedziałam, gdzie zbiórka. Dziś już nie pamiętam, z jakiego miejsca wychodziliśmy. Pamiętam wiadomość, że na Oleandrach już na nas czekają. W razie złapania umówiliśmy się na zbiórkę pod jakimś wiaduktem i stamtąd mieliśmy ruszyć dalej. Tak się też stało, ale złapali część z nas. Szukaliśmy się, po czym klucząc i wymykając się bezpiece szliśmy dalej. Chyba wszyscy złapani i wypuszczeni po paru godzinach poszli dalej, nikt nie wymiękł. Polne drogi, omijanie miast i miejsc, gdzie nas się spodziewali. Albo przychodzenie tam o zaskakującej porze. Staraliśmy się tych punktów najważniejszych dla tradycji legionowej jednak nie ominąć. Pamiętam składanie wiązanek kwiatów w środku nocy.

Ludomir Olkuśnik[353]: Można postawić sobie pytanie, czy przemarsz kilkunastoosobowej grupki, na początku rozpędzanej, a później – myślę celowo – niezauważanej przez władze, a także mało dostrzeganej przez miejscową społeczność, miał sens? Myślę, że nie spełnił on celu propagującego Czyn 6 Sierpnia, ale przedłużył raz wskrzeszoną tradycję – i w tym widzę sens tego Marszu.

***

Marek Bik: Marsz w 1983 roku miał charakter towarzyski. Każdy, kto dochodził wtedy do naszej ekipy, kogoś już znał i nie trzeba było dużo czasu, aby ta grupa stanowiła jedną całość. Ten Marsz zapamiętaliśmy jako spokojny, także w kontraście do następnego Marszu, który miał bardzo dynamiczny przebieg.

Wojciech Frazik: Pamiętam niezwykłą atmosferę tego Marszu w 1983 roku: koleżeństwa i patriotyzmu. Tworzyliśmy zespół ludzi, który chce coś razem przeżyć i coś zrobić, chce dać innym jakiś impuls – ale nie przez nachalną propagandę.

Witold Tukałło: W 1983 roku nie było dużych przygotowań, ale Marsz udał się znakomicie. Była tak koleżeńska, wręcz rodzinna atmosfera, jak nigdy wcześniej i nigdy później.

[353] Wszystkie wypowiedzi Ludomira Olkuśnika, cytujemy – za zgodą Wydawcy - z jego wspomnień „Marsz szlakiem I Kompanii Kadrowej" opublikowanych w piśmie „Sowiniec".



W tamtych czasach nie robiło się selfie. Aby być uwiecznionym na zdjęciu, Andrzej Stawiarski – autor fotografii do tej książki – oddał na chwilę komuś swój aparat. Tuż za marszowym fotografem Ewa Wrzesińska, obok (z brodą) Bogusław Śliwa – prokurator zwolniony z powodów politycznych w 1978 roku, współpracownik KSS KOR i ROPCiO, doradca i działacz Solidarności, współautor słynnego na cały świat „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej", przyjętego przez zjazd Solidarności w 1981 roku, po 13 Grudnia w podziemiu, zmarł na emigracji.

Walery Tankiewicz: Niewiele szczegółów pamiętam z tego mojego pierwszego Marszu poza ogólnym poczuciem uniesienia. W sierpniu 1983 roku przejście zwartą kolumną przez wieś z głośnym śpiewem: „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już, nie chcemy ni sierpa, ni młota – za Katyń, za Grodno, za Wilno, za Lwów, zapłaci czerwona hołota..." było przeżyciem niezwykłym. Pamiętam zdumionych ludzi na drodze, którzy pytali nas z niedowierzaniem: – Panie, to już tak można? – Pewnie, że można. A co nam zrobią? – odpowiadaliśmy z młodzieńczą pewnością siebie.

Było nas wtedy trzydzieści kilka osób, ale to właśnie z kilkoma osobami z tego grona połączyły mnie na lata silne więzi przyjaźni. I to właśnie kadrówkowe spotkanie z niezwykłymi ludźmi wywarło duży wpływ na całe moje dalsze życie. Wystarczy powiedzieć, że mój syn zawdzięcza swoje imię poznanemu na Kadrówce Przemkowi Witkowi.

***

Marek Bik: Marsz w roku 1984 zwracał uwagę z tego powodu, że był bardzo liczny, rzucał się w oczy na trasie. Ponad setka ludzi, ze sztandarem, flagami Solidarności i KPN-u... Spora demonstracja. To zwracało uwagę i to spowodowało reakcję bezpieki.

***

Maria Mansfeld: Z Marszu w 1985 zapamiętałam głównie deszcz i błoto. Chodziłam na Marsze w spódnicach, dość szerokich, co okazało się świetne na tych błotnistych często drogach i kiedy lało. Panom dosłownie oblepiało nogawki spodni, które potem długo schły. A ja machałam tą szeroką i cienką w miarę spódnicą raz i drugi w słońcu – szybko wysychała i nie utrudniała ruchu. Tylko Małgosia Małorzewska okazała się bardziej praktyczna: pamiętam raz, gdy padał deszcz, buty od tego błota nasiąkały i aż robiły się ciężkie, ona włożyła kalosze i rozpięła z szerokim uśmiechem – jak to Małgosia – parasol. Podziwiałam. To był jedyny parasol na całym Marszu i chyba jedyne kalosze. Reszta trzymała fason i... cierpiała.

Artur Then: Ten 1985 rok był najbardziej smutny. Zwyciężyło wtedy stronnictwo, które uważało, że po zatrzymaniach rok wcześniej, powinniśmy udawać, że jesteśmy pielgrzymką, to wtedy nie będą się nas czepiać. Spaliśmy głównie na plebaniach, gdzie Robert Kulak przedstawiał

nas jako pielgrzymkę. W rezultacie musieliśmy codziennie uczestniczyć we mszy. Nie chodzi o to, że nie chcieliśmy, bo zwykle na Marszu msze się odbywały, ale miały one charakter patriotyczny i odbywały się w miejscach związanych z Piłsudskim i były celebrowane przez księży, którzy wiedzieli, kim my jesteśmy i jak do nas mówić. Była więc mowa o Legionach, o Piłsudskim, o niepodległości. A tutaj było pomieszanie pojęć. Ludzie, którzy nas przyjmowali na nocleg, dowiadywali się, że jesteśmy pielgrzymami, ale takimi dziwnymi pielgrzymami, którzy idą z Krakowa do Częstochowy przez Kielce. Pytali w kółko: – Dlaczego nie idziecie z pielgrzymką krakowską? Nawet małżeństwa nie mogły spać razem (o reszcie w ogóle nie było mowy!). To wszystko było niezręczne i niezbyt odważne. Nasza ekipa miała ciężkiego kaca po tym Marszu.

Na szczęście to jedyny taki przypadek. Później już było normalnie. Zresztą od 1987 roku klimat zaczął się zmieniać. Czuć było, że idą zmiany, więc nikt się nami specjalnie nie przejmował. SB obserwowała nas i fotografowała z odległości, czasem były jakieś drobne szarpaniny z nimi, ale nie było woli politycznej, aby się z nami rozprawić.

Zygmunt Łenyk: Marsz w 1989 roku odbył się dwa miesiące po półwolnych wyborach w czerwcu 1989 roku. Jednak w Polsce nic się realnie nie zmieniło! I to nagromadzenie emocji w ludziach zamanifestowało się w taki sposób, jak mogło się zamanifestować u młodych ludzi. Ludzie niszczyli symbole komunistyczne po drodze, wyrywali tabliczki z nazwami ulic, w Jędrzejowie rozebraliśmy jakiś ruski pomnik. Widać było nową falę radykalizmu.

Przerwy w marszowym życiorysie

Zygmunt Pęksyk: W roku 1981 dowiedziałem się zbyt późno, że zaczął się Marsz i nie zdążyłem. Bardzo żałowałem i obiecałem sobie, że na pewno pójdę za rok. Sytuacja jednak się zmieniła. Stan wojenny, zostałem internowany, wyszedłem w maju 1982 roku, ale zaraz potem musiałem się ukrywać, bo groziło mi aresztowanie za podziemną Solidarność. Choć w ukryciu byłem do końca 1983 roku, to wziąłem udział w części Marszu w 1983 roku. Unikałem miejsc, gdzie mogła być milicja czy SB.

Marek Bik: Na pierwszym Marszu musieli zrobić nam masę zdjęć, bo rok później, gdy siedziałem na Montelupich, to w sierpniu przyszli do mnie dwaj funkcjonariusze SB i pokazywali mi niektóre, pytając, czy kogoś rozpoznaję. Obejrzałem je dokładnie, przywołując w duchu wspomnienia sprzed roku, ale oczywiście powiedziałem, że nikogo nie znam.

3 sierpnia 1983 roku po południu wyszedłem z więzienia. Dostałem 3 lata, ale objęła mnie amnestia, więc siedziałem tylko rok i dwa miesiące. Jeden dzień spędziłem w domu, a potem decyzja: Idę na marsz!

Wojciech Słowik: Liczyliśmy na to, że wieczorem przy ognisku będzie czas na długie wspomnienia Marka z więzienia. Nic z tego. Był bardzo zamknięty i nie chciał nic mówić...

Marek Bik: Miałem się chwalić? Nie lubię kombatanctwa. Poza tym wiele spraw ze śledztwa stało się jasnych dopiero po wielu latach. Nie mogłem mówić publicznie o podejrzeniach. Opowiedziałem o tym wszystkim dopiero po prawie 30 latach[354].

Maria Mansfeld: Na Marsz w 1984 roku spóźniłam się chyba dwa dni. Wyszłam właśnie z aresztu po dwóch miesiącach i miałam – jako ciągle oskarżona – meldować się często na komendzie. Poszłam raz czy dwa i tyle. Pojechałam na Marsz. Udało mi się jakoś namierzyć maszerujących w trasie.

Jerzy Dobrowolski: Była taka zasada, przyjęta przez Kapitułę Odznaki, że kiedy ktoś lądował akurat w więzieniu czy w areszcie, to miał zaliczony ten opuszczony Marsz. Korzystał z tego Jacek Torbicz, Małgosia Joachimiak, ja też, kiedy znalazłem się w areszcie przy Montelupich.

Grupa krakowska

Adam Roliński: Byłem studentem IV roku historii, gdy na murze zobaczyłem plakat z „Czwórką" Raszki. Zwrócił moją uwagę legionowy akcent. Plakat reklamował Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej. Był rok 1981, takich imprez niepodległościowych to się wtedy nie spotykało raczej, bo Solidarność to był ruch związkowy. Jestem wnukiem legionisty, żoł-

[354] Gawlikowski Maciej, Lewandowski Mirosław, Gaz na ulicach. KPN w Krakowie. 1981-1982, Kraków 2011

nierza 1 Pułku Ułanów Beliny. Te tradycje były w domu pielęgnowane. Jako student historii chodziłem już pod koniec lat 70. na Wawel, do Krypty Marszałka. W 1979 roku zostaliśmy nawet sfilmowani, a po mszy zatrzymała nas SB przy zejściu z Wawelu. Poszedłem do siedziby Solidarności i oczywiście zapisałem się na Marsz.

Wojtek Słowik: Kiedy przyjechałem z wakacji w lipcu 1981 roku, pierwsze kroki skierowałem do sklepiku z bibułą w siedzibie Solidarności przy al. Krasińskiego. Wisiał tam plakat informujący o Kadrówce. W domu powiedziałem o tym siostrom i poszliśmy wszyscy we trójkę.

Marek Bik: Jako uczeń 1 klasy liceum od 1979 roku, razem z moim przyjacielem Jurkiem Mohlem, chodziłem na Wawel 11 listopada czy w dniu imienin Marszałka.

Latem 1981 roku ojciec Jurka Mohla, który pracował w Zarządzie Regionu Solidarności, przyniósł pewnego dnia informacje, że jest organizowana impreza, która wykracza poza to, co się działo wtedy – marsze głodowe, strajki o płace. Od razu się zdecydowaliśmy.



Bagaże uczestników Marszu w 1981 roku były przewożone na miejsca noclegu. Poza kolejnym Marszem, w stanie wojennym, tak było przez całe lata 80.

6 sierpnia znaleźliśmy się na Oleandrach i byliśmy zdziwieni, że tak dużo osób chce w tym uczestniczyć.

Jerzy Mohl: Początkowo traktowaliśmy Marsz jako atrakcyjne spotkanie z historią, lecz bardzo szybko okazał się imprezą kojarzącą ludzi o określonych poglądach.

Największym jego osiągnięciem było zintegrowanie środowiska niepodległościowego w Krakowie przynajmniej na poziomie znajomości personalnych i wytworzenie między tymi ludźmi silnych więzów.

W czasie Marszu poznałem bardzo wielu ludzi, z którymi później los pozwolił mi działać i od których wiele w moim życiu zależało. Część z nich była już członkami KPN, inni wstąpili później.

Danuta Kowacka: Marsz 1983 roku to początek naszej bardzo zgranej grupy, która właściwie do dziś trzyma się razem. Tak mocno zżyliśmy się właśnie w czasie Marszów. Oczywiście od razu zaczęliśmy też wspólnie działać, tworząc młodą ekipę krakowskiego KPN-u. A zaczęło się to w drodze do Kielc, w czasie postojów, noclegów we wspólnym namiocie, wieczornych śpiewów, kiedy Jacek Torbicz grał na gitarze, Maciek Gawlikowski, Jurek Dobrowolski, Artur Then i ja śpiewaliśmy. Na kolejnych Marszach do tej paczki dołączyła Kasia Kotarba „Bromba" i Danusia Czechmanowska „Skarabeusz".

Artur Then: Na Marsz w 1984 roku poszedł Witek Toś – ważna postać krakowskiej opozycji, bardzo dynamiczny i odważny człowiek. Działał w KPN-ie, siedział w jednej sprawie z Markiem Bikiem. Obaj dostali po trzy lata więzienia. Po wyjściu wrócił natychmiast do opozycyjnej aktywności. W pierwszym dniu Marszu miał wieczór poetycki, czytał swoje wiersze. Na kolejny Marsz miał dojechać. 6 sierpnia obchodził 28. urodziny. Nazajutrz przyszła wiadomość, że Witek tragicznie zmarł.

Wojciech Pęgiel

Jacek Torbicz: Wojtek Pęgiel był urodzonym organizatorem i przywódcą. Człowiekiem pełnym humoru i optymizmu. Był dla naszej grupy autorytetem. Ale ja podziwiałem go wtedy też za coś innego – miał naturalną

łatwość zdobywania przychylności pięknych kobiet. Można powiedzieć, że wiele się od niego nauczyłem.

Zygmunt Łenyk: Praktycznie to on stworzył Marsz w formule, w jakiej szedł przez lata 80. To z jego inicjatywy w trakcie pierwszego Marszu zdecydowano, że będzie to impreza stała, coroczna. On wymyślił odznakę marszową jako symbol, który nas łączył. Wreszcie to on rok w rok ciężko pracował przy organizacji imprezy.

Wojciech Słowik: W 1982 roku Wojtek wyrósł na Marszu na naturalnego lidera. Gdy nas próbowali zgarnąć w Michałowicach, to Wojtek nas ciągnął do pociągu, pojechaliśmy za Słomniki, potem wyskoczyliśmy z pociągu i trafiliśmy do Prandocina. Pamiętam, że potrafił szybko podejmować decyzję, my go słuchaliśmy.



1981 r. Od prawej: Anna Słowik, na drabinie u góry Małgorzata Słowik, poniżej Iwona Warchał, Maria Mansfeld, nn

Artur Then: Bardzo dbał o to, aby Marsz nie został zawłaszczony przez jedną opcję polityczną i aby był dobrem wspólnym wszystkich uczestników. Miał posłuch, w kwestiach Marszu był instytucją.

Ludzie ideowi, nadwrażliwi, często nie odnajdują się w czasach cynicznych. III RP, z wieloma ludźmi, którym dużo zawdzięcza, nie obeszła się łaskawie. Nie był nam dany los uczestników Kadrówki 1914 roku. Chociaż wśród uczestników Kadrówek lat 80. kilka osób było posłami, prezydentami miast czy urzędnikami wysokiej rangi, to wielu nie odnalazło się w rzeczywistości nowej Polski.

Najbardziej tragiczną postacią jest właśnie Wojtek. Człowiek, który w niezwykle trudnych latach komuny radził sobie znakomicie – energiczny, zawsze uśmiechnięty, działał z pogodą ducha, którą zarażał wszystkich dokoła. Po krótkiej przygodzie z wielką polityką, po powrocie do Krakowa, nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Nie szedł na kompromisy, nie szukał mętnych kontaktów z biznesem, a mógł, bo miał jeszcze wiele kontaktów politycznych. Zaczęły się kłopoty... Nie prosił nikogo o pomoc. Poszedł drogą Wieniawy-Długoszowskiego i zakończył ziemską wędrówkę.

Marek Bik: Nie czuję się na siłach rozmawiać o Wojtku...

Jacek Lewandowski: Wojtka zapamiętam jako jedynego faceta, w którym kochały się chyba wszystkie kobiety na Marszu. Wystarczyło, że westchnął, a one prawie mdlały...

Danuta Kowacka: Wojtek wiele razy zaskakiwał mnie wiedzą historyczną. Tematy związane z Legionami, I Kompanią Kadrową, Piłsudskim miał w małym palcu. Ale żeby wszystko wiedzieć o Kasztance Marszałka? To się nie zdarzało.

Lubiłam Wojtka, chociaż nie rozumiałam, jak tak wiele dziewczyn się w nim podkochuje. Dla mnie był świetnym historykiem, komendantem Marszów, przyjacielem. A później mężem mojej najbliższej przyjaciółki Małgosi Joachimiak, którą poznałam na Marszu w 1983 roku, na który przyszła razem z Wojtkiem. Byli już parą.

Z Małgosią spędzałam wiele czasu, zarówno na Marszach, w Krakowie, jak i w Poznaniu, kiedy ją odwiedzałam. Również spotykałyśmy się u Walerego Tankiewicza w Gdyni, na Parkowej Górze u niego w domu. Babcia Walerego gościła nas wspaniale, gotując litewskie dania i traktując nas

jak własne wnuki. Były to cudowne czasy, mogłyśmy przegadać całą noc i tak nam było za mało.

Była piękną, inteligentną, uroczą dziewczyną. Wówczas studiowała medycynę i podziwiałam ją, kiedy wkuwała tę całą medyczną wiedzę.

Kiedy brali z Wojtkiem ślub kościelny, poprosiła mnie, abym była świadkiem. Było to dla mnie przypieczętowanie naszej przyjaźni.

Kiedy urodziła się Marysia, ich córka, życie stało się dla nich bardzo trudne. Wojciech – wolny ptak – nie miał wystarczająco czasu, a może i chęci, aby poświęcić się rodzinie. Częściej przebywał w Krakowie, gdzie trzymało go wiele spraw związanych z uczelnią, gdzie był wiecznym studentem, tu byli przyjaciele z opozycji, no i przede wszystkim Kadrówka. Bo kiedy kończyła się jedna, trzeba było myśleć o następnym roku i ją już organizować. Niestety, ich małżeństwo nie przetrzymało takich prób.

Wojciech Frazik: Wojtek z jednej strony był bardzo konkretny, rzeczowy, był dobrym organizatorem, a z drugiej – był wesołym, luźnym imprezowiczem. Na studiach nazywano go „senator Pęgiel". On już w 1983 roku był legendą na uniwersytecie – wieczny student. Wszyscy się śmiali, że jest doradcą kolejnych rektorów, który gwarantuje ciągłość uniwersytetu. Miał olbrzymią wiedzę historyczną na temat wojskowości z XX wieku, ale do przedmiotów, które go nie interesowały, w ogóle się nie przykładał.

Katarzyna Dumanowska: Któregoś marszowego poranka komendant zainteresował się moim niejedzeniem. Odpowiedziałam, że nie jestem rannym ptaszkiem i że jak wstaję, to zostają dla mnie tylko kanapki z radziecką rybą z chrzęszczącym w zębach kręgosłupem i wnętrznościami. Załatwił mi wtedy chleb z dżemem. Byłam wdzięczna. Nie znaliśmy się wcześniej, trafiłam na Marsz jako jedna z kilkudziesięciu nowych osób. Wojtka zapamiętałam jako człowieka łatwo przełamującego dystans, życzliwego. Wielokrotnie w czasie Marszu zapytywał mnie o samopoczucie, martwił się o moje stopy, bo szłam w zupełnie nowych butach (ale się o dziwo sprawdziły). Widać było, że czuwał nad młodymi.

Lesław Dykacz: To był prawdziwy piłsudczyk, w którym hulał duch Wieniawy. Miał fantazję i niewątpliwą słabość do płci pięknej. Bardzo go lubiłem i szanowałem.



9 sierpnia 1981 r., poranny apel w Wodzisławiu.



Witold Tukałło

Krzysztof Nowakowski: Witek Tukałlo, jeżeli ktoś go wyprowadzi z równowagi, to faktycznie robi się nerwowy. Ale dopiero jak mu ktoś na pięty nastąpi. Jest konsekwentny w swoich poglądach, nie jest jak chorągiewka, ale okazuje niechęć w sposób impulsywny.

Jerzy Bukowski: Tukałło był pierwszym zastępcą przewodniczącego Komitetu – porywczy, gwałtowny, szalenie odważny. Kiedyś, w stanie wojennym, po manifestacji, wszyscy uciekli przed nacierającym pododdziałem ZOMO, a Witek został sam na sam z zomowcami na środku płyty Rynku Głównego, bo sądził, że ludzie wraz z nim podejmą walkę. Był też bardzo pracowity. Pod kopcem spędzał nie tylko weekendy, ale także każdą wolną chwilę. Bywało, że z jego następcą na tej funkcji, również inżynierem, Włodkiem Śliwczyńskim (współpracownikiem KPN w latach 80.) tak długo pracowali przy remoncie pawilonu, że uciekał im ostatni autobus linii 134 sprzed ogrodu zoologicznego i musieli wracać pieszo do centrum miasta. Kiedyś, w czasie ostrej zimy, z powodu braku wody potrzebnej do prac murarskich w pawilonie przy kopcu, topili śnieg. Warunki tamtej pracy są dziś niewyobrażalne.

Jerzy Mohl: Niesamowitą rolę odgrywała zaradność i pomysłowość Witka Tukałły jako kierownika budowy. Pamiętam, że znalazł na bardzo starych planach przebieg przewodu wielożyłowego, który położono jeszcze przed wojną (miał doprowadzić oświetlenie do alejek wiodących od zoo) i uznał, że trzeba go odzyskać. Namierzenie tego znaleziska miało nam zapewnić dostawę energii do pawilonu przy kopcu, mocno zdewastowanego wówczas, stanowiącego jedyne zaplecze dla pracujących przy budowie. Trzeba było się spieszyć, aby komuna nie zorientowała się, że zamierzamy zdobyć zasilanie fortelem. Ustalono, że trzeba zmobilizować wszystkich ludzi, jakich tylko się da i przeprowadzić poszukiwania i wykopać ten kabel. Aby pomóc w tym zbożnym dziele, zorganizowaliśmy z Markiem w naszej klasie i klasach równorzędnych taką akcję propagandową, że przyszło chyba ze 20 osób. Nasz kierownik budowy zdobył jakimś cudem sporo łopat i kilofów (kopać trzeba było w skalistym gruncie przerośniętym korzeniami drzew) i całe to pospolite ruszenie w ciągu dwóch sobót wykopało i przeniosło w nowe miejsce ponad 400 metrów bieżących grubego przewodu. Na dłoniach mieliśmy krwawe pęcherze.

Artur Then: Dystans dzienny na Marszu zwykle nie przekraczał 30 km, ale jak Witek Tukałło pomylił trasę, to i 40 km się zdarzyło. Wszyscy od tego czasu nabijali się z Witka, ale w rzeczywistości prowadził Marsz jak się dało. Dziś są to problemy nie do pomyślenia, bo na podstawie telefonu komórkowego można się poruszać po nieznanym terenie. A wtedy nie można było zdobyć mapy z zaznaczonymi drogami lokalnymi. Po prostu nie były wydawane, żeby wróg nie wiedział, jak się poruszać. Witek miał skądś niemieckie mapy z czasów II wojny światowej i na nich się opieraliśmy. Ale czasami się okazywało, że coś się jednak zmieniło w ciągu tych 40 lat i gubiliśmy drogę. Dzisiaj jest to śmieszne, ale wtedy przeklinaliśmy los, bo w ulewnym deszczu albo w skwarze każdy kilometr się liczył.



1981 r. Od lewej: Tomasz Andrusikiewicz (przy brzegu kadru), Janusz Konik, Michał Chałoński, Wojciech Słowik, Roman Strzębała.

Roman Hnatowicz

Krzysztof Nowakowski: Miał piękny głos i świetną dykcję. Był kadrówkowym zapiewajłą, to on zwykle intonował śpiew i bractwo go podchwytywało. Nadawał ton imprezom marszowym. Był to stateczny pan w wieku dojrzałym, zdecydowany i zapatrzony w autorytet Marszałka. Poznałem go w Komitecie Opieki nad Kopcem. Potem chodził na Marsze.

Ludmiła Fastowicz: Głos jak dzwon. Co roku czytał rozkaz Marszałka na Oleandrach. Nikt nie potrafił i nikt nie potrafi tak przeczytać tego tekstu, jak on to robił. Ciarki po plecach przechodziły! Był niepowtarzalny.

Uczył nas śpiewać i pilnował porządku. Jak ktoś zerwał jabłko w sadzie po drodze, to wołał od razu: – A my co? Bolszewickie wojsko? Zachowujcie się! Jak ludzie będą chcieli, to sami was poczęstują!

Wojciech Frazik: Pan Roman znał mnóstwo anegdot i gadał cały czas. Można go było słuchać godzinami. Dusza towarzystwa. Potrafił zaśpiewać, wypić i opieprzyć każdego, jeśli ten się źle zachowywał. To był taki łącznik między epokami. Opowiadał wiele historii sprzed i z czasów II wojny światowej. Radził sobie fizycznie bardzo dobrze z trudami Marszów. Dbał o tężyznę fizyczną.

Jerzy Dobrowolski: Pan Roman prowadził zdrowy tryb życia. Gimnastykował się, stawał na głowie, kładł się wcześnie spać. Być może ta tężyzna fizyczna i zdrowy, uregulowany tryb życia były tajemnicami jego fenomenalnego głosu. Wzbudzał szacunek i respekt. Był elegancki i dystyngowany. Nie zwracaliśmy się do niego inaczej niż „Panie Romanie". Niestety, nasze całonocne śpiewy i rozmowy wybudzały czasem pana Romana. Wtedy budził się w nim zwierz. Pamiętam jedną taką noc. Tak jak spał – w pasiastej piżamie – wpadł znienacka w krąg ogniskowego światła z szaleństwem w oczach. Chlusnął wodą ze sporego kubła wprost na ognisko. Para przesłoniła nam obraz. Zaniemówiliśmy! A w kłębach dymu i pary miotał się pan Roman i porzuciwszy swoją naturalną elegancję, ryknął basem:

– Wy niedojebane chuje, dzieci alkoholików i prostytutek! Pozabijam was wyjce! Bando skurwysynów!

I tak dalej, i tak dalej... Staliśmy jak skamieniali – nikt nie ważył się powstrzymać tej erupcji. Pan Roman gotów był zmieść wszystkich nas z powierzchni ziemi.

Jacek Lewandowski: Okazało się wtedy, że ma zdolność, o jaką nikt by go nie podejrzewał – puszczenia wiązanki przekleństw trwającej naprawdę wiele minut, w której obelgi nie powtarzały się ani raz!

Jerzy Dobrowolski: Po tym zdarzeniu trochę bojkotowaliśmy pana Romana, ale wszystkim przeszło po dwóch dniach i nikt się nie dąsał.

Dariusz Wojtowicz: Gwoli prawdy... to słynne nocne wystąpienie pana Romana miało miejsce podczas potyczki (dziś nazywanej ustawką) pomiędzy Krakowem i resztą świata. I nie chodziło o śpiewy, tylko o to, że w ferworze walki kilka okładających się w zabawie osób przetoczyło się przez namiot, w którym próbowali spać seniorzy. Tego już było za wiele!

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego, 1988): Już późnym wieczorem udajemy się na spoczynek, ale jak się później okazało – nie wszyscy. Na drugi dzień dowiaduję się od córki o wyczynach Przyjaciela [Romana Hnatowicza]. Otóż wieczorem młodzież śpiąca w namiotach ustawionych na podwórku, między domem mieszkalnym a stodołą i drewutnią, widocznie rozgrzana ogniskiem, zachowywała się dość głośno. Roman nie mogąc z tego powodu zasnąć, wstał i przy pomocy długiego węża przyłączonego do wodociągu, cichcem, spoza stojącego stogu, urządził hałasującym niespodziewany prysznic. Podobno było trochę krzyku i wzajemnych pretensji, ale uspokoiło się, a do rana rozeszło po kościach.

Maciej Gawlikowski: Kiedy mieliśmy 16 czy nawet 20 lat, nie mieściło nam się w głowie, że człowiek potrzebuje się w nocy spokojnie przespać wiele godzin. Zwłaszcza po całym dniu wysiłku fizycznego. Zdarzało się często, że kładliśmy się na dwie czy trzy godziny i zaczynaliśmy nowy dzień marszowy. Kiedy dziś pomyślę, jak niechcący dawaliśmy w kość starszym uczestnikom Kadrówki, to trochę mi głupio...

Paweł Sabuda: Któregoś dnia Marszu w 1986 roku Roman Hnatowicz i Rysiek Bocian przez kilka godzin prowadzili w trasie zażarty spór o libe-





rum veto. Bardzo merytoryczny, ale temperatura tej dyskusji była ogromna, co nie zdziwi nikogo, kto ich znał. Mówili podniesionymi głosami, a że obaj mieli silne, tubalne głosy, to w efekcie ryczeli na siebie, a słychać ich było na kilkaset metrów. Wzbudzało to zrozumiałą wesołość pozostałych marszowiczów. Dyskutanci byli tak skupieni na swoim sporze, tak zacietrzewieni, że nie zauważali wybuchających co jakiś czas głośnym śmiechem obserwatorów tego widowiska.

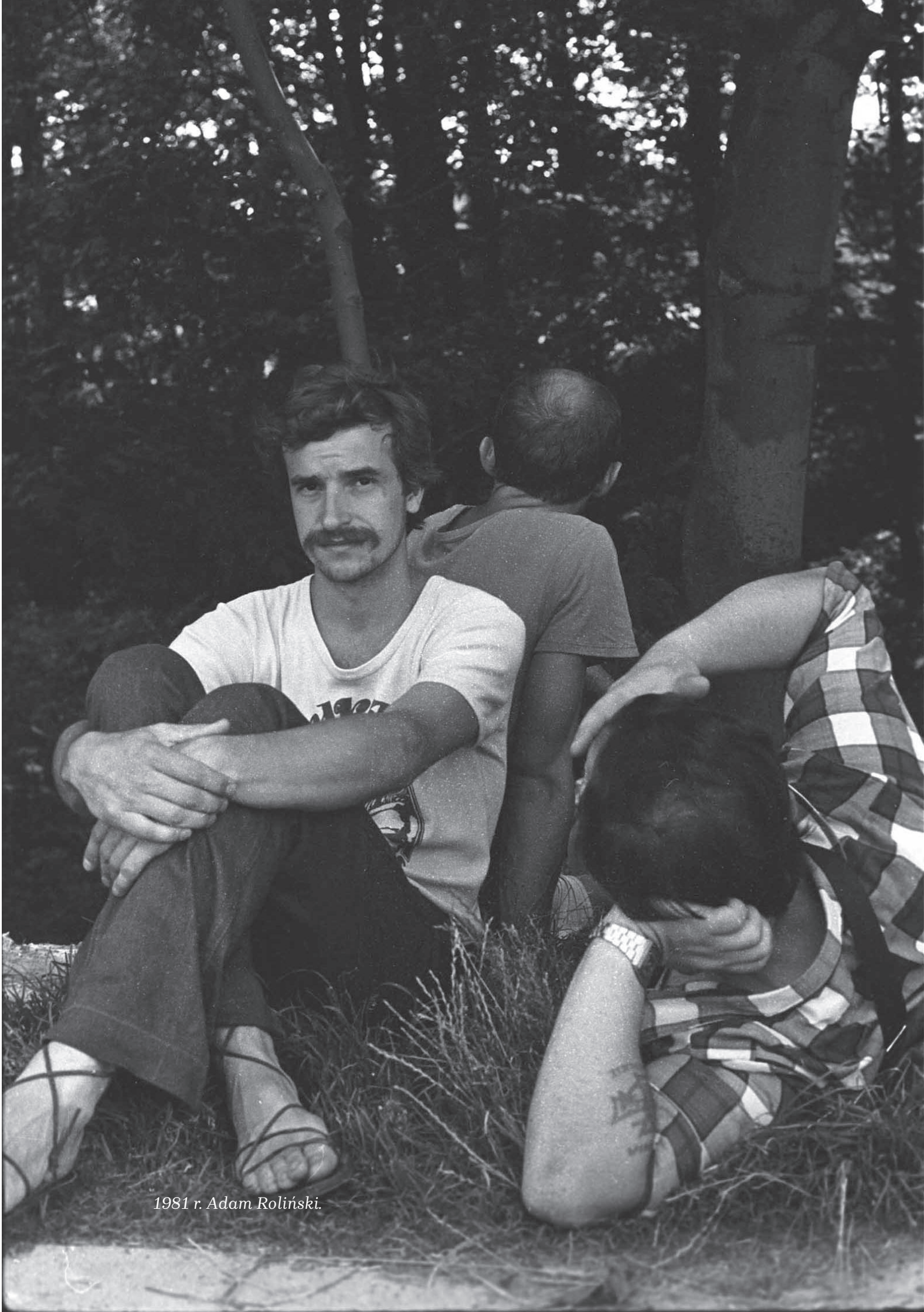
Grupa kielecka

Janusz Koza: Miałem świetną średnią szkołę – Technikum Geologiczne w Kielcach. Supernauczycielem, który uczył mnie historii od pierwszej klasy, był Przemek Witek. Robił to z pasją, z poświęceniem. Był bardzo wymagający, ale lubiany przez uczniów. Stąd tylu ich się znalazło na pierwszej Kadrówce w 1981 roku, kiedy Przemek podał nam informację o planowanym Marszu.

Przemysław Witek: Mój dziadek nie był w Legionach, bo miał wtedy już trójkę dzieci, ale był wcześniej w OB PPS i znał trochę legionistów mieszkających w Krakowie. Miałem tam rodzinę, więc miałem się gdzie zatrzymać. Jeździłem z dziadkiem do Krakowa bardzo często. Spotykał się tam z legionistami, którzy opowiadali o sobie, ale nie pytałem ich o nazwiska. Pamiętam tylko Herzoga.

W 1981 roku pracowałem w wydawnictwie Zarządu Regionu Świętokrzyskiego Solidarności. Szefem był Mirek Domińczyk, który nic z tego nie rozumiał, starał się coś zrobić dla robotników, a kim był Piłsudski dowiedział się ode mnie. Po wyborach w lipcu 1981 roku Domińczyk został honorowym przewodniczącym, a nowym szefem regionu został wybrany Marian Jaworski. Jego świadomość polityczna też była niewielka. Nie rozumiał w ogóle tych rzeczy. Zarzucał mi, że wydawnictwo Zarządu Regionu zajmuje się bardziej szerzeniem propagandy piłsudczykowskiej, niż sprawami związkowymi.

W rezultacie, już w trakcie Marszu zabrano nam samochód, który przewoził bagaże uczestników Marszu oraz wyżywienie, które obiecali nam różni ludzie z Kielc. Ale ludzie i tak nam pomogli, daliśmy sobie jakoś radę.



1981 r. Adam Roliński.



1981 r. Od lewej: Jerzy Żebrowski, Maria Mansfeld, Wojciech Pęgiel, Tomasz Andrusikiewicz.

Ludzie w Kielcach w ogóle nie wiedzieli, czym była Kadrówka. W Krakowie było pod tym względem lepiej, bo tam był Związek Legionistów, było środowisko. Była opozycja przedsierpniowa.

W czasie I Kadrówki miała nam wozić bagaże i zajmować się aprowizacją Celina Kisiel, która pracowała w zarządzie Regionu Świętokrzyskiego Solidarności. 9 sierpnia ją odwołali, mówiąc, że jest potrzebna w Kielcach. Jak potem badałem sprawę, to było kłamstwo. Po prostu Jaworskiemu nie spodobało się to, co my mówimy.

Była wtedy grupa ludzi, która postawiła makietę pomnika „Czwórki" w Kielcach. Wykonał ją artysta plastyk Krzysztof Jackowski. W 1984 roku postawiliśmy w Kielcach kamień informujący, że stał na tym miejscu pomnik. To była inicjatywa Zdzisława Sabata. On załatwiał także kamień, który wkopaliśmy na cmentarzu w Jędrzejowie w 1986 roku. Jeździł ze swoją grupą rowerami, przy okazji odnawiał cmentarze legionowe na tej trasie. Wydał parę książek na ten temat.

Robert Kulak: Żadnych związków rodzinnych z tradycją legionową nie miałem, ale ta wiedza historyczna zawsze mnie pociągała. Oczywiście pewną rolę odegrał też Przemek Witek, który mnie uczył historii w „geologu". W 1981 roku powiedziałem mu, że mam zamiar sam przejść całą trasę Kadrówki albo przejechać na rowerach w małej grupie. Powiedział mi: – Wstrzymaj się, bo może zrobimy to oficjalnie.

Potem okazało się, że robimy razem Kadrówkę.

Krzysztof Nowakowski: Robert to zapalony turysta, przewodnik po Górach Świętokrzyskich, znawca tematu wkroczenia Legionów do Kielc. Pisał do PTTK-owskich wydawnictw na ten temat.

Przemysław Witek: Kielecka bezpieka nie odpuszczała. Mścili się, kiedy tylko mogli. Marian Staniec z Samsonowa woził nam bagaże w 1984 roku. Czasami musiał zrobić dwa czy trzy kursy. Miał żuka. Zaraz po Kadrówce wezwali go na ul. Poniatowskiego na SB. Był tam wielokrotnie przesłuchiwany. Pytali go m.in. o mnie, bo znaliśmy się wcześniej. Po każdym przesłuchaniu przychodził do mnie i opowiadał, o co go pytali i co im powiedział. Dałem mu prawnika (Stasia Klasyka), który mu radził, jak rozmawiać z bezpieką. Tak mu potem dokuczali, że jak tylko wyjechał z domu, to dawali mu mandat. Potem mu zabrali licencję taksówkową. Musiał zrezygnować z tej pracy, a potem wyjechał z Polski. Rodzinę mu też rozbili. Dzielny człowiek. Wrócił z zagranicy i gdzieś tutaj kupił domek.

Grupa warszawska

Przemysław Markiewicz: Na Marsz w 1984 roku przyjechała duża grupa z Warszawy, związana z KPN-em, krąg skupiony wokół Andrzeja Szomańskiego – Jarka Maćkowiak, Konrad Zbrożek, Wiesiek Gęsicki, Michał Wnuk, Jarek Kiepura i inni. W sumie kilkanaście osób.

Wspólny Marsz młodych ludzi związanych z radykalną opozycją antykomunistyczną szybko zaowocował siatką powiązań, które działały zarówno jako bazy noclegowe, kontakty kolportażowe itp. Dwa lata później Konrad Zbrożek i Wiesiek Gęsicki zostali przyjęci na studia na krakowskiej Papieskiej Akademii Teologicznej. Po semestrze dołączył do nich jeszcze Darek Pęski.

Konrad Zbrożek: Kto był pomysłodawcą naszego uczestnictwa w Marszu, dzisiaj chyba nikt nie wie. Może Wiesiek Gęsicki? On zawsze słynął z najciekawszych, nierzadko brawurowych pomysłów. A może Andrzej Szomański? Był naszym mentorem, przywódcą, no i wielkim znawcą historii, a nade wszystko, od półwiecza jej aktywnym uczestnikiem.

W każdym razie latem 1984 roku grupa warszawian przybywa na kwatery do Krakowa. Tubylcy obserwowali nas z ironiczną uwagą. Odczuwałem, jakże rozczulający, stary dystans, wynikający z poczucia wyższości, nad – w gorącej wodzie kąpanymi – „królewiakami". Zwiedzając ich domy, narosłe ocalonymi z tyluż pożóg artefaktami polskiej przeszłości, z udawaną zazdrością deklarowałem często: „Następne powstanie robimy w Krakowie".

Nasza grupka szybko zyskuje przydomek Plutonu Warszawskiego.

Małgorzata Słowik: Na Marszu w 1984 roku poznałam blisko Wieśka Gęsickiego. To był po prostu dobry chłopak, tak to najlepiej określić. Bardzo ideowy, uczciwy, serdeczny i bardzo prostolinijny. Najmniej chojrakował z tej grupy warszawskiej, a był z nich najodważniejszy. A przy tym miał pecha –zawsze go gdzieś pobili. Nawet podczas pielgrzymki papieża w 1983 roku oberwał. Gdzieś go bezpieka dorwała, jako jedynego wyłowiła z całej grupy. A trzeba powiedzieć, że Wiesiek był wysportowany, bardzo długo, z sukcesami, ćwiczył szermierkę.

Jacek Lewandowski: U Wieśka uderzała mnie jego uczciwość, taka do bólu. Dobrze mu z oczu patrzyło, potrafił porwać za sobą młodych ludzi.

Przemysław Witek: Gęsicki był bardzo odważny. W 1984 roku starał się nawet z Hnatowiczem poprowadzić atak na posterunek w Jędrzejowie. Z wielkim trudem im wytłumaczyłem, że to nie ma sensu. Byłby to ładny gest, ale potem by za to długo posiedzieli. A wiedziałem, że rano i tak zwolnią naszych zakładników.

Poznałem też ojca Wieśka. który po jego śmierci przyjechał na Kadrówkę i przeszedł ją całą. Nie mógł się pogodzić z tą stratą.

Z Wieśkiem często rozmawiałem na temat survivalu. Miałem na ten temat doświadczenia, bo koledzy mojego ojca z konspiracji organizowali takie obozy harcerskie według zasad przedwojennych. Nie mieliśmy namiotów, koców, to wszystko trzeba było samemu czymś zastąpić w warun-

kach leśnych. Gęsicki na Kadrówce prowadził ćwiczenia z zakresu szkoły przetrwania z chłopcami z Warszawy – wychodzili poza obozowisko, tam mieli jakieś biegi, ćwiczenia odpornościowe.

Krzysztof Nowakowski: Jarka Maćkowiak trzymała tę grupę warszawską, była bardzo lubiana, wspomagała jak mogła Wieśka Gęsickiego.

Przemysław Witek: Najbardziej kontrowersyjnym warszawiakiem był oczywiście Jarosław Kiepura – człowiek z wielkim poczuciem humoru, ale trochę bezczelny i wpadający w zacietrzewienie. Działał na niektórych jak płachta na byka.

Krzysztof Nowakowski: Wyjątkowo gorący przebieg miało starcie Bociana z Kiepurą na Marszu w 1986 roku. Rysiek działał w KPN-ie, a Jarek przeszedł do rozłamowego PPN-u. Pokłócili się już w trasie, po czym dalej się brali za łby w obozowisku. Emocje sięgały zenitu. W końcu Kiepura poszedł się opalać nad Nidę. Rysiek nie dał za wygraną, stanął nad nim i dalej perorował, a nawet zaczął się brać do rękoczynów. Znienacka pojawił się Zbyszek Romanowski, podszedł cicho do Bociana z tyłu, złapał go jedną ręką za krocze, drugą za kołnierz i siup! Wrzucił go do rzeki.



1981 r. Od lewej: Tomasz Andrusikiewicz, Anna Słowik, Andrzej Stawiarski, Małgorzata Słowik, Paweł Koźmiński (z tyłu), Iwona Warchał, Wojciech Słowik.



Marsz w 1981 roku był okazją do posłuchania wojennych opowieści księdza kapelana - o. Adam Studzińskiego, żołnierza odznaczonego m.in. Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari za udział w bitwie o Monte Cassino.

Maciej Gawlikowski: Rysiek był cholerykiem, a Jarek mocno przemądrzałym młodym człowiekiem, który potrafiłby doprowadzić do pasji świętego. Ta mieszanka musiała doprowadzić do wybuchu. Interwencja „Szalonego" Zbyszka temu zapobiegła, ale ściągnęła cały gniew Bociana na niego. Kiedy wydostał się na brzeg, ruszył w pogoń za nim, miotając najgorsze obelgi. Podobno wymachiwał do tego jakimś bagnetem. Sprawę zakończyła interwencja grupy marszowiczów, która ich rozdzieliła i uspokoiła nastroje.

Ryszard Bocian: Po latach takie drobne spory urastają do rozmiarów niemal wojennych. No tak... Polityka potrafi rozpalić emocje... Ale bagnet? Skądże, to był najwyżej jakiś nożyk!

Lesław Dykacz: W 1988 roku szedł przez część trasy Leszek Moczulski. Po raz pierwszy miałem okazję z nim dłużej porozmawiać. Zrobił świetne wrażenie. Miał dużą siłę przekonywania, mówił rzeczowo, spokojnie, traktował innych po partnersku. Nikomu nie odmawiał rozmowy. Podziwiałem go. Później mogłem porównać jego spokój z wybuchowym charakterem Majki Moczulskiej. Ale jak widać, takie sprzeczności potrafią cementować związek.

Oczywiście w Marszu najliczniejszą ekipą byli kapeenowcy, ale szła też grupa pepeenowców od Szeremietiewa, nieliczna, ale bardzo zwarta. Trzymali się razem. Oczywiście, toczyły się dyskusje polityczne, przeradzające się w ostre spory. Poziom i temperatura tych dyskusji były jednak nieporównywalne z tym, co dziś widzimy w polityce. To były żarliwe spory ideowe i były na jakimś poziomie. Wierzyliśmy, że można się wzajemnie przekonać. Nie było obrażania przeciwnika. To miało sens, było dobrą polityczną szkołą.

Pamiętam też jakieś przegięcia, ale to był wyjątek. Ktoś w nocy zwalił Moczulskiemu namiot. Podejrzenie padło oczywiście na chłopaków z PPN-u, więc parę namiotów poleciało kolejnej nocy i był spokój. Ale nikt się o to nie obrażał. Obracało się to w żart, nie było zajadłości.

Grupa łódzka

Wojciech Formański: Od wielu lat byłem słuchaczem Radia Wolna Europa i właśnie stamtąd w 1981 roku usłyszałem komunikat, w którym zapowiadano wymarsz szlakiem I Kompanii Kadrowej. Podano całą trasę z uwzględnieniem godzin wejścia Kadrówki do poszczególnych miejscowości. To było coś dla mnie. Spakowałem plecak i przyjechałem. Nie zdążyłem do Krakowa, ale dołączyłem na trasie.

Pamiętam spontaniczne powitania Kadrówki przez miejscowych ludzi. Panie na drodze nawet głaskały osoby, które przechodziły. Było to szczególnie wzruszające. Widzieliśmy budzącą się Polskę.

Adam Ostoja-Owsiany: Mój wujek – Stanisław Rutkowski, jeden z ostatnich żyjących wówczas legionistów, zajmował w mojej rodzinie miejsce szczególne. Przed wojną był dowódcą pułku piechoty (30 Pułk Strzelców Kaniowskich), kawalerem dwóch orderów Virtuti Militari i ośmiu Krzyży Walecznych. Fanatyczny piłsudczyk, obdarzony genialną pamięcią, w pasjonujący sposób opowiadał o Legionach, Marszałku i całym etosie II Rzeczypospolitej. Od najmłodszych moich lat chłonąłem jego opowieści, był bohaterem mojego dzieciństwa, podziwiałem go i po szczenięcemu zazdrościłem tego, że osobiście znał Komendanta.

Latem 1984 roku to właśnie wujek zadzwonił do mnie w sprawie Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej.

– Słuchaj – powiedział – skontaktował się ze mną Witold Tukałło i powiedział, że w 70. rocznicę wymarszu Kadrówki organizowany jest Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej. Niestety, to już nie na moje nogi – pójdziesz zamiast mnie! Zadzwoń do pana Tukałły.

Byłem zachwycony. Natychmiast zadzwoniłem do jednego z moich najbliższych przyjaciół Jacka Lipkego, czy nie wybrałby się ze mną. Jasne, że tak! Byliśmy wówczas studentami III roku Wydziału Prawa i Administracji UŁ i obydwaj działaliśmy w nielegalnym Komitecie Pamięci Józefa Piłsudskiego. Szybko skompletowaliśmy niezbędny ekwipunek i ruszyliśmy do Krakowa.

W 1985 roku wybrali się ze mną: Karol Ike-Duninowski (po 1990 został sędzią), Michał Mazurczyk (jest prokuratorem), Marek Woźniak (został radcą prawnym), Kazimierz Ujazdowski (polityk), Radek Stępień (polityk), Rafał Krawczyński (oficer UOP i ABW).

W latach 1987-1989 w tej grupie znaleźli się jeszcze: Sebastian Rybarczyk (dziennikarz), Janina Szwarc (wiceprezes Społecznego Komitetu Pamięci Józefa Piłsudskiego w Łodzi) oraz Bogdan Konstantynowicz, którego wspominam niechętnie ze względu na jego współpracę z SB.

Grupa toruńska

Przemysław Witek: Pierwszą osobą z Torunia, biorącą udział w Marszu, była Maria Mansfeld. Ciekawa dziewczyna, cichutka. Dawała przykład innym dziewczynom, jak należy się zachować w różnych sytuacjach.

Jacek Lewandowski: Po wyjściu z wojska w lipcu 1987 roku miałem bardzo bliskie kontakty z Marysią Mansfeld. U niej w domu zobaczyłem odznakę Marszu. Zapytałem, co to jest. Gdy mi wyjaśniła, nie miałem już wątpliwości – idę! Namówiłem Miłkę Fastowicz, Anię Olpeter oraz Patryka Langego. Pojechaliśmy do Krakowa.

W 1987 roku składałem przysięgę w opactwie w Jędrzejowie i przystąpiłem już formalnie do KPN. Z Kielc część Marszu poszła na pielgrzymkę do Częstochowy. My z Jurkiem Dobrowolskim złapaliśmy autostop – wsiedliśmy do TIR-a, który prowadził jakiś Rumun. Pytaliśmy go, czy jedzie do Torunia. On potwierdził. A jak przyjechaliśmy na miejsce i wyszliśmy z paki, to okazało się, że się nie dogadaliśmy z nim i jesteśmy...

w Krakowie. No to zostałem w Krakowie na kilka dni. Potem jednak obaj pojechaliśmy do Torunia i już 31 sierpnia rozrzucaliśmy tam ulotki podpisane „KPN – Toruń". Jurek się bardzo zaangażował w budowanie KPN w Toruniu. Zupełnie bezinteresownie! Bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

Poznałem mnóstwo ludzi z Krakowa, z którymi później współpracowałem. W Krakowie byłem prawie że domownikiem. Nagle się okazało, że w ciągu tych sześciu dni zdobyłem więcej kontaktów z całej Polski niż przez całe wcześniejsze lata w podziemiu!

Drugi mój Marsz, w 1988 roku, był już zupełnie inny. Zbudowaliśmy KPN w Toruniu i na Marsz przywiozłem ze 20 osób.

Wsiadaliśmy wszyscy wspólnie do pociągu w Toruniu, który jechał do Krakowa. Chłopaki z Gdańska mieli plecaki pełne ulotek. Pociąg ruszył i – aby zaakcentować nasz wyjazd – zaczęliśmy na każdej kolejnej stacji rozrzucać ulotki. Rozrzucało je kilkanaście osób, więc kolejne dworce były zasypane. Ostatnią stacją, na której to zrobiliśmy, był Piotrków. 2-3 minuty za Piotrkowem pociąg zatrzymał się w polu. W środku byli już esbecy. Było ich pełno! Mieli nas wytypowanych i szybko zaczęli nas wyprowadzać. Jeden z esbeków wskazał też na mnie:

– Pan wychodzi!

A ja miałem w plecaku diapozytywy, bo w Krakowie drukowaliśmy „Posłańca", pismo naszego obszaru.

– Ale o co panu chodzi? Ja spałem.

– Nie pieprz. Wychodzisz!

Wstałem i biorę się do wychodzenia. Wtedy babcia, która siedziała koło mnie, zawołała w dobrej wierze:

– Ale pan plecak zostawił!

Wziąłem ten plecak i wyszedłem. Po wyjściu z pociągu zobaczyłem scenę jak z II wojny światowej. Tyle że zamiast karabinów mieli pały. Łapanka! Pociąg był otoczony przez ZOMO. Ludzie w oknach przestraszeni. Część z nas skuli, mnie nie. Dwóch mnie prowadziło. Znaleźliśmy się na komisariacie w pobliżu dworca. Do pokoju po prawej wzięli ludzi z Gdańska, a w głównym pokoju zajęli się nami. Siedział tam wielki „wieprz" w mundurze. Spocony, bo było gorąco. Przy kaflowym piecu usiedli Marek Reszka z Kasią Daszutą (później byli małżeństwem). „Wieprz" był strasznie znudzony. To była niedziela, oni ich ściągnęli z domów. Wyraźnie był zły, że musi jakiś protokół pisać. Powiedział do mnie:

– Podejdź tu!




HAŃBIE
WALK
O
WOLNOŚĆ
POLSKI

– Proszę pana. To jest jakaś pomyłka! Ja jadę do Zakopanego. Mogę panu wszystko pokazać, co mam w plecaku.

– A znasz ich?

Wskazał na Kasię i Marka.

– Nie znam tych ludzi, poza tym, że siedzieli w tym samym przedziale co ja. Z tego wiem, że też jadą do Zakopanego.

Esbek schylił się w stronę mojego plecaka. Był gruby, sapał strasznie i sprawiało mu to trudność. Powiedziałem wtedy:

– Wie pan co? Mnie się bardzo spieszy, a wy mnie wysadziliście z pociągu. Może jeszcze zdążę na następny? Będzie szybciej, jak będę panu wyciągał te rzeczy.

– Dobra.

Postawiłem mu plecak na biurku, a on się wziął za pisanie protokołu. Wyciągam gacie, inne przedmioty, a na dnie były te diapozytywy. Złapałem je przez materiał plecaka i odwróciłem go do góry nogami:

– Nic już nie ma.

– No dobra. Zabieraj się.

Kasia już tego nie wytrzymała (bo wiedziała, o co chodzi) i parsknęła śmiechem. A ten do niej:

– Czego się, suko, śmiejesz?

Wyszedłem i wsiadłem w pierwszy lepszy pociąg. Po drodze złapałem inny, do Krakowa. Jak dojechałem, to Wolna Europa podawała, że zatrzymali szefa VIII Obszaru KPN. Chciałbym zobaczyć minę tego grubego esbeka, kiedy się dowiedział, kogo wypuścił.

Gdańszczanie nie mieli takiego szczęścia, bo u nich w plecakach znaleźli resztki ulotek. Dostali tam ostry wpieprz. Mimo że był już 1988 rok, to w takich małych ośrodkach bili jak dawniej. Zamknęli ich na 48 godzin, więc dojechali na Kadrówkę z opóźnieniem. A 2-3 miesiące potem dostali jeszcze kolegia za to.

Na Marszu mieliśmy własny pluton – ja go prowadziłem. Nazywaliśmy go „toruńskim", ale tam byli także ludzie z Gdańska.

Katarzyna Dumanowska: Dla mnie – wtedy młodej studentki z grupy toruńskiej – znalezienie się w środowisku ludzi znacznie starszych stanowiło pewną nowość i ważne doświadczenie życiowe. „Starzy" patrzyli na nas często z dystansem, byliśmy zbyt hałaśliwi, nie dość poważni, jakby nierozumiejący powagi Marszu. Nie wstawaliśmy na „Kiedy ranne wsta-

ją zorze" (nad czym ubolewał szczególnie swoim operowym głosem pan Roman Hnatowicz), pod koniec dnia, żeby zapomnieć o zmęczeniu, zdarzało się nam śpiewać mniej oficjalnie, chłopcy żartowali o dobiciu rannych – spowalniaczy, którzy się wlekli na końcu, a nierzadko trzeba ich było nieść. Celował w tym „Bevo" – Dariusz Wojtowicz. Razem z Lechem Zielińskim, studentem z Torunia, często nosili „rannych", Była wśród nich też Apolonia Ptak. „Bevo" mimo bardzo młodego wieku – był wtedy uczniem technikum – wyrósł na łącznika między grupami wiekowymi. Miał dar niezrażania się niczym, potrafił rozładować napięcia. Rozbroił nawet pana Romana, choć wymagało to czasu.

Pamiętam, że najpierw miałam pewne trudności w byciu na „ty" ze wszystkimi „starymi". Wychowanie, kwestia okazywaniu szacunku itp. W pamięć zapadła mi sytuacja z początku pierwszego Marszu. Pobłądziliśmy wtedy, trzy razy szliśmy tą samą drogą – to nie był krótki odcinek – na miejscu zastaliśmy zmrok i resztki przypalonej grochówki. A ja spotkałam cudowną panią w średnim wieku, chyba pielęgniarkę z Warszawy, która zaproponowała mi masaż nóg... Pewnie sama była wykończona, a zajęła się zakwasami młodej dziewczyny. Przy okazji udzieliła mi świetnych rad dotyczących utrzymania higieny w trudnych warunkach. Do dziś je pamiętam. Jak zinterpretować to doświadczenie? Dystans, niepewność, nieśmiałość, po poczucie bliskości i zrozumienia.

Grupa trójmiejska

Krzysztof Nowakowski: W grupie gdańskiej ważnymi postaciami byli Wojciech Szczurek, Walery Tankiewicz i Anna Kurska, matka Jacka i Jarosława.

Pani Ania była spokojną, mądrą kobietą. Miała ponad 40 lat, była wysportowana i dobrze znosiła wszelkie trudy marszu. Była wesoła, śpiewająca. Na Kadrówki przyjeżdżała razem z koleżanką. Świetnie się z nią rozmawiało, była bardzo przystępna. Razem z Andrzejem Stawiarskim jeździliśmy z nią i z jej koleżanką w Bieszczady. Była sędzią, ale miała chyba dość świata prawniczego i próbowała się jakoś szerzej zrealizować. Pasjonowały ją tematy historyczne i krajoznawczo-turystyczne, wycieczek górskich. Na Kadrówkach trzymała się raczej w środowisku ludzi wiekowo zbliżonych do niej.



W 1981 roku, przez dużą część trasy, Marsz prowadził Piotr Maria Boroń.

Andrzej Fischer: Anna Kurska chodziła na Kadrówki w latach 1986-1990. Była bardzo zasadnicza. Wojtek Pęgiel lubił się z nią sprzeczać, bo bardzo lubiła dyscyplinę i była za przykręceniem trochę wszystkim śruby na Marszu. Ceniłem tę jej zasadniczość.

Kiedy w 1990 roku przed wejściem do Kielc część uczestników Kadrówki ubrała się w mundury, które dostarczyło wojsko, to obraziła się. Powiedziała:

– Jak mogliście sie ubrać w te bolszewickie szmaty!

Miała na myśli to, że było to ciągle Ludowe Wojsko Polskie.

Pani Kurska była zaprzyjaźniona z moją mamą, obie były zresztą z tego samego pokolenia.

Ludomir Olkuśnik [z zapisków marszowych, 1987]: Przy śniadaniu ktoś rzucił propozycję wysłania pozdrowień do przewodniczącego Solidarności Lecha Wałęsy. Propozycja spotyka się z ogólną aprobatą przy jednym, ale zdecydowanym sprzeciwie Anny Kurskiej. Pani mecenas z Gdańska twierdzi, że w przeszłości współpracowała z Wałęsą i wystarczająco dobrze poznała Przewodniczącego, aby być w opozycji do podobnych pomysłów. Jak większość uczestników oceniałem taką postawę jako, delikatnie mówiąc, niestosowne dziwactwo nadwrażliwej, starszej pani; dzisiaj jestem skłonny ją zrozumieć.

Krzysztof Nowakowski: Szczurek i Tankiewicz kończyli prawo na Uniwersytecie Gdańskim. Pierwszy pochodził z rodziny prawniczej, sędziowskiej, też robił później aplikację. Był zapamiętałym harcerzem. Brał udział w rajdach harcerskich, dobrze grał na gitarze i nie nadużywał, więc wszyscy się śmiali, że to nasz Borys Polewoj. Polewał nam, kiedy inni już mieli problem z trafieniem. Walery urodził się w Lidzie na Białorusi. Jego ojciec był taksówkarzem w Wilnie, a za Gierka przyjechał do Polski z matką i z dwoma synami, na zasadzie takiej dzikiej repatriacji. Dostał od władz część udziałów w domu w Gdyni. Walery liceum zaczął w Wilnie, a skończył je w Polsce. Pod koniec lat 80. wrócił tam i siedział dwa lata na Litwie. Był wtedy redaktorem w gazecie „Nad Wilią" i zakładał harcerstwo. Ożenił się tam z Polką i wrócili do Polski. Mieli chorego syna, a tutaj łatwiej było znaleźć opiekę lekarską niż w warunkach sowieckiego Sojuza. Był bardzo ideowym piłsudczykiem. Tam, na Litwie, autorytet Marszałka był mocny w wielu polskich rodzinach, przetrwał całą sowiecką okupację.

Walery Tankiewicz: Moja droga na Kadrówkę zaczęła się w Kolonii Wileńskiej w roku 1976 lub 1977. Miałem więc lat trzynaście lub czternaście i poznałem wówczas Marysię Mansfeld – licealistkę z Torunia, która odwiedziła z rodzicami Wilno. Tato poprosił mnie, żebym pokazał Marysi nasze okolice. Niewiele z tego wydarzenia sprzed ponad czterdziestu lat pamiętam poza ogólnym poczuciem spotkania człowieka z innego świata – kosmicznie innego niż mój szarawy świat osadzony w zamkniętej sowieckiej rzeczywistości ówczesnego Wilna. Poszliśmy pieszo ścieżką wzdłuż kolei petersburskiej z Kolonii na Markucie – pagórkowate przedmieście Wilna, wówczas już i dzisiaj zwane Puszkinówką. To jedno popołudnie i fakt, że nasi rodzice znali się i utrzymywali sporadyczne kontakty, spowodował, że kiedy już zamieszkałem w wymarzonej Polsce, odwiedziłem natychmiast Marysię w Toruniu.

Był rok 1983 – szczególny czas stanu wojennego. Jako student Uniwersytetu Gdańskiego zaczynałem się po trochu angażować w „wojnę polsko-jaruzelską". Jako urodzony w Lidzie, a wychowany w Wilnie kresowianin byłem wielbicielem Marszałka. Kiedy więc Marysia opowiedziała mi o Kadrówce, zgłosiłem chęć udziału w niej natychmiast. Miałem szczęście, że ją znałem, bo wówczas, żeby uczestniczyć w Marszu, trzeba było mieć osobę wprowadzającą spośród uczestników wcześniejszych Marszów. Tak więc 5 sierpnia tego samego roku byłem już z Marysią w Krakowie, a następnego dnia rano wyruszyliśmy na szlak.

Na kolejną Kadrówkę w 1984 roku mogłem już wprowadzić mojego przyjaciela z Gdyni Wojtka Szczurka. Wówczas jeszcze byliśmy jedynymi uczestnikami z Trójmiasta. Później zaczęły się pojawiać kolejne osoby, co skutkowało też nowymi kontaktami i współpracą u siebie na Pomorzu. Szczególnie bliski kontakt nawiązaliśmy ze śp. Leszkiem Byczkowskim – człowiekiem najzwyklejszym, najskromniejszym, a jednocześnie, nie tylko zresztą dla mnie, największym wzorem postawy w każdym aspekcie życia.

I tak kolejne Kadrówki, aż do 1988 roku, kiedy przyjechałem już tylko na część trasy, z dopiero co poślubioną Anią, dzięki której wróciłem jeszcze raz do Wilna i zacząłem kolejny etap życia, w który jednak zabrałem ze sobą kadrówkowe doświadczenia, emocje i przyjaźnie.

Przemysław Witek: Szczurek i Walery trzymali się razem. Pierwszy na Kadrówce pojawił się jako młody chłopak po maturze albo nawet przed maturą.



12 sierpnia 1981 r., Kielce. Pożegnanie uczestników Kadrówki przez Józefa Herzoga. W tle makieta „Czwórki" - pomnika zburzonego przez hitlerowców, odbudowanego dopiero w III RP.

Dionizy Krawczyński: W 1989 roku byliśmy w jednym plutonie (to był chyba drugi pluton) ze Sławomirem Cenckiewiczem, Mariuszem Romanem, Jarkiem Zdrojewskim.

Cenckiewicz miał wtedy długie włosy i kapelusz w kolorze piaskowym. Pierwsze wrażenie – anarchista. Mylne!

Sławomir Cenckiewicz: Gdy miałem 16-17 lat, byłem już związany z gdańską FMW, jednak jej działania wpisywały się w tym czasie raczej w klimat Pomarańczowej Alternatywy i to mnie raziło. Była to końcówka lat 80. Uważałem, że trzeba robić coś poważniejszego – protestować przeciwko zmowie z komunistami oraz postawić kwestię niepodległości Polski. Swoje miejsce znalazłem w grupie, która przyjęła nazwę FMW – Pomorze Wschodnie. Pamiętam wystąpienia Mariusza Romana, który bardzo ostro atakował Magdalenkę i Okrągły Stół. Do tego dochodziły sprawy ideowe: kwestia legalizmu i rządu polskiego na wychodźstwie. Krótko później poznałem Romualda Szeremietiewa i Wojciecha Ziembińskiego.

Konsekwencją tego mojego politycznego dojrzewania w bardzo krótkim czasie między jesienią 1988 roku a wiosną 1989 roku był udział w moim pierwszym Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej. To już był Marsz legalny. Do przyjazdu do Krakowa namówił mnie i mojego przyjaciela Wojciecha Plucińskiego Mariusz Roman. Najpierw była msza na Wawelu, potem spotkanie pod kopcem. Wtedy zapadła nasza decyzja o udziale w Marszu. Wprawdzie nie mieliśmy ze sobą żadnych przyborów, ale jakoś sobie poradziliśmy.

W tamtym czasie byłem zafascynowany Józefem Piłsudskiego i filozofią czynu. W domu miałem ołtarzyk z Piłsudskim i symbolami narodowymi. Wydawałem pismo „Piłsudczyk" (ukazały się dwa numery). Moje credo zawarte było w słowach Piłsudskiego: „Idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania". Z czasem nabrałem dystansu do Józefa Piłsudskiego i do tego całego obozu. Dziś uważam, że największe znaczenie dla odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 roku miała akcja dyplomatyczna Dmowskiego. Jednak rusza mnie dalej „I Brygada" i szanuję Czyn zbrojny 6 Sierpnia, ze względu na ideowość tych ludzi, którzy potrafili wszystko rzucić na stos i straceńczo walczyć o Polskę.

Marsz był dla mnie spotkaniem z ludźmi, o których nie wiedziałem, że oni istnieją. Roman poznał mnie na Marszu z różnymi ludźmi z ca-

łej Polski, głównie związanymi z radykalniejszą częścią FMW oraz z PPN (on działał w obu tych organizacjach). Jarosław Kiepura, Wiesław Gęsicki –wtedy zobaczyłem ich po raz pierwszy. Zauważyłem, że takich osób – myślących jak ja, tylko bardziej dojrzałych – jest więcej. Spotkałem ich w Krakowie.

W tym czasie byłem antykomunistą i heavymetalowcem, choć zaczynałem już słuchać punka. Religijnie byłem obojętny, nie chodziłem do kościoła. Po zasadniczej szkole zawodowej poszedłem do liceum dla pracujących, bo chcąc iść na studia, o czym marzyłem, musiałem zdać maturę. Inspiracją dla mnie był Jarosław Kiepura, który opowiadał na Marszu o tym, że chce zrobić doktorat.

6-12 sierpnia 1989 roku to była dla mnie wielka opowieść o historii. Słuchałem tych ludzi, ich opowieści, dyskusji o historii i o polityce. Ta grupa, w której ja się znalazłem na Marszu, stanowiła mniejszość i wyróżniała się radykalną kontestacją układu okrągłostołowego. Z tym były związane różne skecze, żarty, przyśpiewki. To było dla mnie tak fascynujące, że jak wróciłem z Kadrówki, to wiedziałem, że muszę działać! Uważałem też, że wróciłem z Kadrówki dorosły, a więc powinienem się angażować już nie w FMW, ale w PPN. Byłem zakochany w Romualdzie Szeremietiewie. Miałem idee fixe po powrocie z Marszu, że jedyną szansą dla Polski jest obrona legalizmu państwowego na wygnaniu i zrobienia wszystkiego, co w naszej mocy, aby prezydent RP Ryszard Kaczorowski nie przekazał insygniów władzy uzurpatorom z Jaruzelskim i Mazowieckim na czele. Bardzo istotną rolę formacyjną odegrał tutaj także Wojciech Ziembiński. Jeździłem do Warszawy na spotkania z nim w salkach katechetycznych.

Czy atmosfera na Marszach na przełomie lat 80. i 90. rzeczywiście była pełna tolerancji? Nie jestem przekonany. A na pewno kolejne przynosiły radykalizację nastrojów i głębokie podziały. Dotyczy to szczególnie Marszu w 1992 roku, po „nocy teczek". Wtedy już było na ostro – nie podawało się ręki pewnym osobom, publicznie z nich szydziło, trzymając mikrofon przy ustach tak, żeby wszyscy słyszeli...

Ja, ze swoją rozgrzaną, antyokrągłostołową głową, w roku 1989 (i później, bo chodziłem na Marsze do roku 1992 czy 1993) uważałem, że Kadrówka nie powinna być czymś w rodzaju świeckiej procesji Bożego Ciała raz na rok. Miałem pomysł na Marsz mniej więcej taki, jaki prezentowała grupa, w której się wówczas obracałem. To powinien być protest przeciwko jakości państwa, które kontestowaliśmy. Oczywiście oddanie hołdu



12 sierpnia 1981 r., Kielce. Pożegnanie uczestników Kadrówki. W prawym dolnym rogu o. Adam Studziński, kapelan Marszu, Piotr Maria Boroń (tyłem).



tym straceńcom, którzy na rozkaz Piłsudskiego w roku 1914 wyszli z Krakowa i poszli do Kielc, ale poza tym wymiarem historycznym, najważniejszy powinien być ten element doraźny. Z perspektywy czasu uważam, że to było kretyńskie, to był gruby błąd. Wygrała koncepcja, którą reprezentował Jan Kasprzyk i wielu innych, którzy uważali, że Marsz musi być wartością państwową, formacyjną, wychowawczą, a nie demonstracją przeciwko komuś, kto wówczas rządził. Dzięki nim ten Marsz przetrwał i stał się ważnym elementem pracy formacyjnej, także dla kadr polskiego wojska. My uważaliśmy, że to był błąd i to nas zabiło. Weszliśmy w dorosłość, zajęliśmy się nauką lub pracą zawodowa i tego wrzenia ideowego nie udało się nam utrzymać.

Śpiewy

Krystyna Jędras: Przed Kadrówką w 1983 roku przepisywałem śpiewnik marszowy. Dostałam teksty napisane ręcznie od Pawła Koźmińskiego albo od Piotra Boronia. Nie miałam w domu maszyny do pisania, więc zostawałam po godzinach w pracy (w urzędzie dzielnicowym) i nielegalnie to przepisywałam. Zszywaliśmy to potem prawie całą noc u Renaty Andrzejewskiej w mieszkaniu. Od tego Marszu wydawanie co roku nowego śpiewnika stało się tradycją.

Wojciech Frazik: Na Marszu w 1983 roku bardzo dużo śpiewaliśmy. Na postojach – po posiłkach czy późnym wieczorem, ale i na trasie. Jak tylko przechodziliśmy przez wieś, wybieraliśmy najmocniejsze, najbardziej antykomunistyczne kawałki, żeby ducha w narodzie poruszyć: „Nie chcemy komuny" albo „Bolszewika goń, goń, goń". Mieliśmy śpiewnik, wydany przez Wojtka Pęgiela, ale jak ktoś znał piosenki spoza śpiewnika, to też śpiewaliśmy – pełny repertuar od XIX wieku po II wojnę światową. Ze współczesnych tylko solidarnościowe.

Jacek Torbicz: Uczyliśmy się legionowych piosenek, a jako że grałem na gitarze, szybko nasza grupa stała się ważnym elementem marszowych ognisk. Piosenki jednoczyły nas jeszcze bardziej, nawet nagrywaliśmy niektóre z nich na dyktafon Maćka Gawlikowskiego i pomiędzy marszami szlifowaliśmy formę.

Pamiętam, jak w bazylice Cystersów w Jędrzejowie gospodarze pozwolili mi zagrać na kościelnych organach. Udało mi się ad hoc zaakompaniować do śpiewu „I Brygadę" i inne pieśni. Wszyscy wspaniale zaśpiewali, dając z siebie wszystko, a ja byłem dumny, że udało mi się dobrze zagrać bez żadnego przygotowania.

Jerzy Dobrowolski: Jacek Torbicz umiał grać na wszystkim. W bazylice, oczywiście za zgodą gospodarzy, dobraliśmy się do organów. Jacek grał, a ja pompowałem miech i czasem dodawałem jakieś basy. Ćwiczyliśmy „Pieśń konfederatów barskich" na wejście do Kielc. Brzmiała fantastycznie, wszyscy śpiewali pełnymi głosami. Po próbie zwykle Jacek grał wiązankę jazzowych tematów lub ragtime'ów.

Fajnie było wchodzić do Jędrzejowa – ludzie byli już zżyci, miasto przyjmowało Kadrówkę serdecznie, czekał też wygodny nocleg na terenie klasztoru Cystersów. Zwykle ojcowie podejmowali nas posiłkiem w refektarzu, udostępniali kuchnie polowe, stodołę i teren pod namioty. Nigdy nie lubiłem spać w stodole – rozbijaliśmy nieliczne namioty i tam skupiało się życie towarzyskie i marszowe do późnej nocy. W Jędrzejowie, w namiocie właśnie, siedzieliśmy w kilka osób, śpiewając, a nawet układając jakiegoś bluesa. W namiocie, przy świeczce ćwiczyliśmy cały repertuar.

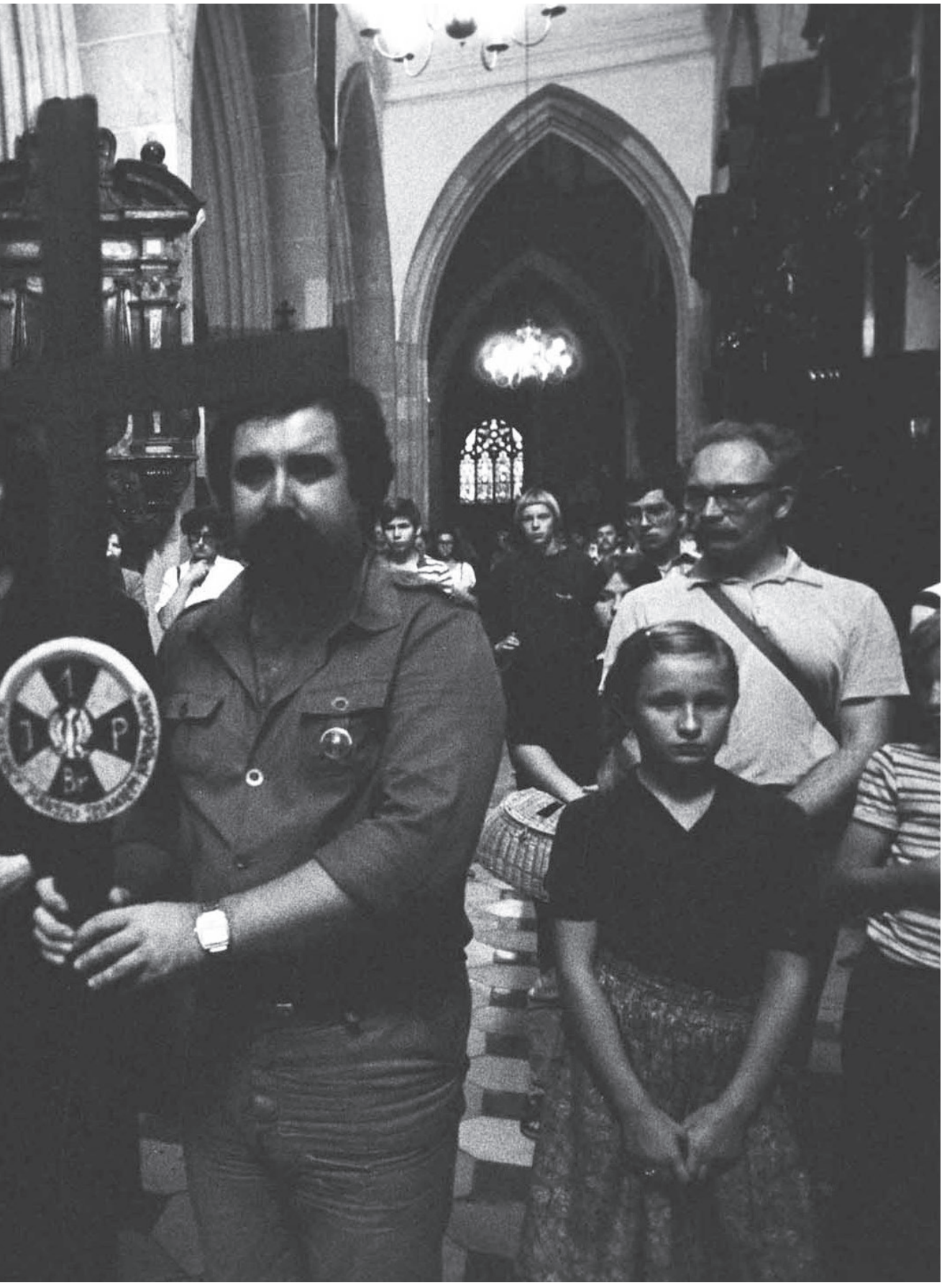
Nagraliśmy kiedyś na dyktafon naszą twórczość, ale nagranie zaginęło. Tekst naszego bluesa był wynikiem zbiorowej pracy Jacka Torbicza, Danuś – Kowackiej i Czechmanowskiej, Artura Thena, Darka Sidorczuka, Maćka Gawlikowskiego i mojej. Protest song z założenia miał częstochowskie rymy i był mocno surrealistyczny. Dotyczył zatrzymań, odsiadek itp. Starsi kadrówkowicze mieli problem z odbiorem, bo nie łapali, co jest na poważnie, a co „dla zwykłej draki".

Wojciech Frazik: Pamiętam taką mszę w Jędrzejowie. Na zakończenie Roman Hnatowicz pociągnął wszystkie zwrotki „Boże coś Polskę". Chyba kilkanaście, a po każdej refren. Marzyliśmy, żeby już ruszyć w trasę, a on ciągnął solo, bo przecież nikt inny nie znał tekstu.

Jerzy Dobrowolski: Marsz uczył ludzi śpiewu starych, patriotycznych piosenek. Nawet po kilkanaście zwrotek. To różni dawne Marsze od obecnych – oni dziś prawie nie śpiewają. Nie umieją.



Msza w katedrze wawelskiej 5 sierpnia 1982 r., w przeddzień rocznicy wymarszu I Kadrowej. Krzyż z symbolem Marszu trzymają (od prawej): Roman Strzębała i Piotr Maria Boroń. Pół kroku dalej Andrzej Izdebski.



Michałowice

1981

Maria Mansfeld: Orkiestra, przemówienia, delegacje, wieńce... Okropny upał. Nagrzany do lepkości asfalt. Pułkownik Herzog lekko zasłabł, nie był w stanie wygłosić przygotowanego przemówienia.

W imieniu legionistów przemówił ppor. Stanisław Leszczyc-Przywara:

„Dziś stoję przed wami, młodzieży, pełen wzruszenia i radości. Cieszę się, że mogę tutaj, na tym miejscu, w imieniu legionistów pozdrowić Was jako ciąg dalszy I Kadrowej Kompanii. (...) Nakaz, który my odchodzący przekazaliśmy wam, młodym (i jak widzimy wspaniale się spisujecie!), to aby do upadłego bronić honoru żołnierza polskiego. Nie łudźcie się, znajdujecie się w walce, która się toczy od czasów, kiedyśmy walczyli o Polskę wolną i niepodległą. Dziś mamy do obrony, do wywalczenia tę samą wolność, tę samą niepodległość, może nawet w szerszym zakresie. Dzisiaj musimy bronić nie tylko praw państwa polskiego, ale praw narodu polskiego. Musimy zdobyć się na wszystkie ofiary, jakie są potrzebne, ażeby przekazać naszym następcom ten najdroższy skarb, nienaruszony skarb honoru żołnierza polskiego. A żołnierzem polskim jesteście dzisiaj wszyscy, wszyscy, którzy poczuwają się do polskości, wszyscy, którzy uważają za swój święty obowiązek bronić honoru imienia polskiego, bronić godności narodu, bronić tożsamości narodowej.

Na tę drogę, niewątpliwie ciężką, życzymy wam wszystkim powodzenia. Szczęść wam Boże!”[355].

1982

Wojciech Słowik: W Michałowicach SB zorganizowała zasadzkę. Szliśmy w szóstkę – moje dwie siostry, Wojtek Pęgiel, ja i jeszcze jakieś dwie osoby – od przystanku autobusowego w stronę pomnika w Michałowicach. Jakiś kilometr przed celem drogę zagrodziły nam polonezy i dopadli nas tajniacy. Spisali, przeprowadzili rozmowę pouczającą, postraszyli kolegiami: „Macie pierwsze ostrzeżenie, drugiego już nie będzie” i wypuścili. Mnie udało się uniknąć spisania. Jak jeden esbek zażądał legity-

[355] R. Kulak, *Kronika I Marszu.*

macji, to powiedziałem, że już dałem drugiemu, a jak ten drugi żądał, to powiedziałem, że dałem pierwszemu. Spisywali nas bardzo długo – chyba z pół godziny. Jak już skończyli, to jeden z nich zaczął liczyć legitymacje. Wtedy pomyślałem: „No, niestety. Taki sprytny to ty nie jesteś!". Ale on policzył i okazało się, że liczba dokumentów zgadza się z liczbą zatrzymanych! I oddał jednej osobie wszystkie dokumenty do rozdania. Sprawa wyjaśniła się chwilę później. Wojtek Pęgiel dał esbekom dwa dokumenty: dowód osobisty i książeczkę wojskową. Mnie się udało, choć niestety, spisali siostry. Puścili nas wolno. Jeszcze tego samego dnia, ojciec – lekarz wojskowy – został wezwany przez WSW. Dzień później przyjechał nasz brat z misją, aby nas ściągnąć do domu. Ale poszliśmy dalej.

Małgorzata Słowik: Tuż po wypuszczeniu nas esbecy wrócili i nas szukali. Chyba nas chcieli zwinąć. Schowaliśmy się przed nimi w krzakach. Andrzej Izdebski wyszedł potem z tych krzaków, żeby sprawdzić, czy droga jest wolna. Zauważyli go i przymknęli.



Msza w katedrze wawelskiej 5 sierpnia 1982 r., w przeddzień rocznicy wymarszu I Kadrowej.
Legioniści (od lewej): Jan Helfer, Kazimierz Martyniak, Stefan Migdał.

Andrzej Izdebski: Dojechałem do Michałowic taksówką z Ludomirem Olkuśnikiem (...). Ponieważ przy pomniku widać już było milicję i zatrzymanych marszowiczów, pojechaliśmy trochę dalej i wysiedliśmy z samochodu, obserwując sytuację. Szedłem miedzą dość daleko od drogi, ale samochód MO skręcił w polną drogę i zatrzymał się przy mnie. Wysiadł z niego cywil (jak się okazało kpt. SB Wróbel) i milicjant. Zaczęli mnie legitymować.

Wpadłem we wściekłość i zacząłem ryczeć: „Jak wam nie wstyd?! Polskie orzełki na czapkach nosicie i Polaków po drogach ganiacie".

Kpt. Wróbel: „Przymknij się pan!".

Ja: „Przymknij się, to może pan mówić do psa, nie do mnie!".

Wsiedliśmy do samochodu, w którym już był jeden złapany (jak się okazało, kpt. Włodzimierz Olszewski z „czerwonych beretów"). Olszewski spytał sierżanta, kierowcę: „Co ja panu zrobiłem, że mnie pan wozi tym samochodem?".

Ja: „Sierżantowi pan nic nie zrobił, tylko Breżniewowi, bo pan żyje. Dlatego napuszcza na pana sierżanta, żeby się powtórzyły lata czterdzieste, kiedy w lesie siedział polski partyzant, a na niego szedł milicjant Polak, ubowiec Polak i żołnierz KBW, też Polak".



Kadrówka 1982. Idą (od lewej): Celina Kisiel, Małgorzata Słowik, Marta Hejduga, Iwona Warchał, Maria Mansfeld, Wojciech Słowik, za nim Paweł Koźmiński, na skraju po prawej Ludomir Olkuśnik.

Sierżant: „Myśmy zapobiegli wojnie domowej”.

Ja: „Pan żartuje! Z czego Solidarność miała do pana strzelać? A pan ma z czego strzelać!”.

Sierżant: „Ja nie będę do pana strzelał”. (...)

Oddano mi plecak i kazano wracać do Krakowa. Wróciłem jednak w pobliże pomnika, gdzie zbierali się znowu marszowicze.

Włodzimierz Olszewski: Andrzeja Izdebskiego i innych zwolnili po przesłuchaniu i oni wrócili na Marsz. Mnie zabrali na Wrocławską. Tam ustanowili mi dozór. Musiałem się codziennie meldować w WSW. Przez to nie mogłem opuścić Krakowa i kontynuować Marszu. Zrobili mi też kolejną rewizję. Przeprowadzał ją mjr Ryczek. W mieszkaniu nic nie znaleźli, chociaż bardzo się starali. Zarekwirowali mi np. oficjalnie wydaną książkę Terleckiego o gen. Sikorskim. I wtedy Ryczek powiedział: „To teraz, kurwa, piwnica i garaż!”. Garaż był na Czyżynach. A w nim kupa bibuły. Wystraszyłem się i powoli zacząłem symulować zawał serca. W końcu padłem. Ryczek się wystraszył, wezwał karetkę i wzięli mnie na Wrocławską. No i Ryczek już do garażu nie zajrzał. Błyskawicznie mnie z wojska zwolnili. Dostałem wilczy bilet. Nie mogłem znaleźć żadnej pracy aż do 1989 roku. Po 1989 roku zresztą także miałem kłopoty...

Wojciech Słowik: Po wypuszczeniu szliśmy dalej polami, starając się kluczyć, aby zgubić esbeków. To była taka zabawa w kotka i myszkę.

Maria Mansfeld: Dla mnie było to pierwsze zatrzymanie w życiu, ale chociaż oczywiście się bałam, byłam teoretycznie dobrze przygotowana – „Mały konspirator” i liczenie się z taką możliwością. Ale to gdzie indziej, w Toruniu. Tutaj byłam jakby na wakacjach. „Kolporter na wakacjach” to było jednak lżejsze gatunkowo, tak czułam. No i tu byłam przecież zupełnie nieznana. Dlatego strach był mniejszy. Po przesłuchaniu, gdzie zachowałam się zgodnie z zasadami konspiracji, oczywiście kazano się nam rozjechać do domów. A my oczywiście spotkaliśmy się w umówionym miejscu, pod jakimś mostem, i ruszyliśmy dalej w trasę.

1984

Witold Tukałło: 6 sierpnia 1984 roku, w pierwszym dniu Marszu, poszliśmy rano, jak zwykle, pod pomnik w Michałowicach. Zawsze składaliśmy tam kwiaty. Już był Waksmundzki, kręcił się koło ojca Studzińskiego i legionistów. To był czas, kiedy my się już poznaliśmy na nim, niestety, wieloma starszymi ludźmi manipulował skutecznie jeszcze długo potem. No to stanęliśmy naprzeciwko i zaczęliśmy śpiewać pieśni legionowe. A było nas ze sto osób, głównie młodzież. Ich była garstka. Legioniści zaczęli nas wtedy zapraszać: „Chodźcie do nas! Chodźcie do nas!". Waksmundzki zaczął nas odganiać. Ja jestem człowiek porywczy. Wziąłem go za klapy, odstawiłem na bok i powiedziałem: „Panie Waksmundzki. Spieprzaj pan, bo będzie źle!".

Ludomir Olkuśnik: Wyskoczył przed nich, rozpostarł ramiona i niczym kwoka pisklęta przed napastnikiem, własną piersią osłaniał swoich legionistów przed, jak wykrzykiwał „hołotą i nieodpowiedzialną bandą". Zdezorientowani, a jednocześnie sterroryzowani starsi panowie, najwidoczniej zaskoczeni tym nieoczekiwanym finałem, powoli wsiedli do autokaru i odjechali, a ja ostatecznie przejrzałem, wcześniej szczypiąc się dla sprawdzenia, czy to aby nie jakiś paranoiczny sen. (...)

Zniesmaczeni składamy kwiaty i w miarę szybko ruszamy w trasę, aby zapomnieć o owym bezsensownym incydencie. Skutecznie w tym pomaga Janusz Kotarba, uczestniczący w Marszu z kilkoma swymi przyjaciółmi, dwoma gitarami i niewyczerpanym jeszcze zapasem energii i chęci, intonując którąś z legionowych piosenek. W zamieszaniu nie zwróciłem nawet uwagi, czy przy obelisku byliśmy obserwowani przez odpowiednie służby. Myślę, że tak i na pewno byli zaistniałą sytuacją uradowani.

Witold Tukałło: Po tej awanturze Waksmundzki napisał na nas donos do władz, że jest organizowana nielegalna Kadrówka, a Komitet Opieki nad Kopcem nie ma z nią nic wspólnego. Na tej podstawie milicja i bezpieka zatrzymały nas pod Jędrzejowem. Wymachiwali tym pismem Waksmundzkiego i twierdzili, że jesteśmy nielegalni. Po tym donosie Waksmundzki był skończony. W 1985 roku Kadrówka zupełnie odcięła się od Komitetu. Później udało nam się go odzyskać.

Przemysław Witek: Jak nas zatrzymali w Jędrzejowie, to esbecy pokazywali mi to pismo Waksmundzkiego. Po takim donosie to oni w zasadzie nie mieli innego wyjścia, jak interweniować.

1986

Paweł Sabuda: Po doświadczeniach marszowiczów z 1984 roku – sprawa ewentualnego ataku milicji i zatrzymania uczestników – była tematem dość żywym. W pierwszym dniu rano mieliśmy uroczystość przed pomnikiem w Michałowicach. Ktoś nagle krzyknął: „Jadą!". Zobaczyliśmy pędzącego od strony Krakowa milicyjnego stara i jedną czy dwie nyski. Wszyscy w nogi! Pędem w rżyska za pomnikiem.



Kadrówka 1982. Idą (od lewej): Małgorzata Słowik, Iwona Warchał, Celina Kisiel.



Kadrówka 1982.
Przygotowanie posiłku. Maria Mansfeld.

Paweł Sabuda: Wróciliśmy na szosę jak niepyszni. Z zakłopotania wytrąciła nas na szczęście szybko bezpieka. Od Krakowa nadjechał duży fiat, zatrzymał się na poboczu, a jeden z pasażerów zaczął coś wykrzykiwać do stojących najbliżej uczestników Marszu. Wygrażał nam przy tym przez otwarte okno. Tajniacy zapowiedzieli, że kontynuowanie Marszu skończy się grzywnami po 50 tysięcy złotych. Wobec groźnych reakcji z naszej strony, szybko odjechali.

Goszyce

1981

Wojciech Słowik: Pierwszy Marsz miał bardzo podniosłą atmosferę. Już pierwszy dzień: rano wymarsz z Oleandrów, pomnik w Michałowicach, a potem wspaniałe spotkanie w Goszycach, w starym dworku, który miał niesamowitą historię. I tam opowieści legionistów...Wszystko to wprowadzało magiczną, niepowtarzalną atmosferę, która trwała do końca Marszu.

Marek Bik: To spotkanie z legionistami w mundurach, 6 sierpnia w Goszycach, to była jedna wielka lekcja historii. A wtedy nie było źródeł do historii legionowej... Oni to nam opowiadali wszystko. I to w sposób bardzo przystępny.

Maria Mansfeld: Wspomnienie z Goszyc, z tego 1981 roku. Była piękna, słoneczna pogoda, wspaniała zieleń wokół, pyszny bigos w garach i rozległa, drewniana, niepomalowana podłoga, odsłonięta może do tańca.

Tańce też były! Tańczyłam z płk. Herzogiem. Pamiętam to, bo byłam trochę zakłopotana i przejęta jego tanecznymi umiejętnościami. Młoda studentka, nie umiałam za bardzo tańczyć, a on, stary żołnierz, ku mojemu zawstydzeniu, świetnie, zamaszyście prowadził i zagadywał dowcipnie. Dwa lata później przyjechałam do Krakowa na pogrzeb Pułkownika. W uszach wciąż brzmiało mi to, co mówił w Goszycach...

Przemówienie Józefa Herzoga, 6 sierpnia 1981 roku, Goszyce (fragment)[356]:

„Rodacy, w tej chwili wrócę do momentu pod obeliskiem w Michałowicach, gdzie niestety osłabłem. Tam miałem kilka słów powiedzieć; słów upamiętniających historyczne wypadki.

W każdym narodzie ważne są momenty dziejowe – to jest tradycja. W narodzie polskim jest tradycja żołnierska, tradycja robotnicza, tradycja ludowców... Ja będę mówił tylko o tej tradycji niepodległościowej, legionowej.

Trzy lata temu, w gronie tu obecnych, odnowiliśmy postument w Michałowicach. Nie będę mówił, w jakich warunkach ówczesnych, bo to jeszcze były stalinowskie czasy. Przynieśliśmy kwiaty, znicze rozświetliliśmy. I naprzeciw nas z tych budynków – upał był tak jak dzisiaj – idzie niewiasta i niesie wiadro, niesie garnki. Przychodzi do nas, stawia je na tym postumencie, który tam widzieliście – i nalewa do tych garnków kwaśne mleko. Takie, że można by go krajać nożem. Z piwnicy wprost wyjęte. I po kolei nas częstuje. Ja patrzę na kolegów – który to zorganizował? Nikt. Była i młodzież. Całe to wiadro wypiliśmy. Ja do tej pani mówię: Proszę pani, skąd to? Ona odpowiada: – Mama moja, jak byłam mała, opowiadała mi, że tu stały słupy rosyjskie i austriackie i że przyszli rano legioniści. Słońce prażyło. Te słupy niszczyli, rozwalali, a mama widząc, że są zmęczeni, wyniosła z piwnicy do nich mleka i wszystkich ich częstowała tym zimnym mlekiem. Ja jak zobaczyłam, że panowie tu są, kwiatki składają i lampki świecą, no to muszą być legioniści! Przypomniałam sobie słowa mamy, pobiegłam do piwnicy i wszystko mleko co miałam przyniosłam wam. Na pamięć mojej mamy, dla tradycji!

Oto macie tradycję! 37 lat zniewag, 37 lat poniżenia, 37 lat zupełnie innego twierdzenia, a niewiasta wiejska przypomina sobie nieboszczki matki słowa, przypomina ten historyczny moment i przynosi mleko. Bo to są legioniści, bo to pewno tamci, co te słupy obalali. To jest tradycja. Tradycja mimo wszystko. Prawdziwa tradycja, chociaż dzisiaj ta sfałszowana jeszcze nie zanika".

[356] Na podstawie *Kroniki I Marszu* autorstwa R. Kulaka oraz notatek M. Mansfeld z 1981 r.

Prandocin

1982

Wojciech Słowik: W 1982 roku uciekliśmy w Michałowicach tropiącej nas milicji i bezpiece, idąc polami. Ale gdy tylko schodziliśmy z pola na drogę asfaltową, to już tam stał radiowóz i nas śledził. W końcu wskoczyliśmy do pociągu, który obok przejeżdżał i dojechaliśmy do Słomnik.

Było po południu, oddaliliśmy się od centrum, a po przejściu paru kilometrów, na chybił-trafił weszliśmy do pierwszej napotkanej parafii, aby poprosić o nocleg. Była to parafia w Prandocinie. Mieliśmy zamiar udawać, że jesteśmy pielgrzymką, ale gdy weszliśmy do pokoju, do którego ksiądz nas zaprosił, to na biurku zobaczyliśmy popiersie Piłsudskiego. Wiedzieliśmy, że jesteśmy w domu! Ksiądz okazał się piłsudczykiem i zapalonym antykomunistą.

Spaliśmy na podłodze na plebanii. Czekając na kolegów, którzy zostali dzień wcześniej zatrzymani w Krakowie, cały dzień u księdza politykowaliśmy i jedliśmy w jego sadzie pyszne jabłka.

Od tego czasu przy okazji każdej Kadrówki odwiedzaliśmy księdza w Prandocinie.

Małgorzata Słowik: Z Prandocina, kolejny odcinek Marszu w 1982 roku przeszliśmy nocą. Ruszyliśmy koło północy i do Książa doszliśmy o czwartej nad ranem. Szosą, ale jak jechało jakieś auto, to uciekaliśmy do rowu. Niektórzy kierowcy gwałtownie przyspieszali, bo myśleli, że to jakaś banda. W ten sposób zgubiliśmy esbeków.

1984

Jerzy Dobrowolski: 1984 rok. Było upalnie. W Prandocinie trochę zjedliśmy owoców z księżowskiego sadu. Porzucaliśmy też w siebie twardymi śliwkami i jabłkami, głównie spadami – mocno, żeby bolało.

W księżowskim sadzie rozstawiliśmy kilka namiotów. Reszta spała w stodole. Pary spały oczywiście razem, nie byliśmy pielgrzymką. Rano nie wszyscy wstali na mszę, ale ci, którzy wysłuchali kazania, szybko nam opowiedzieli – ksiądz był oburzony i grzmiał z ambony, że widział, jak ze śpiworów wystawały po cztery nogi, dołożył jeszcze te nieszczęsne drzewka, marnowanie owoców... Trochę sobie nagrabiliśmy.



Podczas Marszu w 1982 r. zdarzały się noclegi w stogach siana.
Maria Mansfeld i Paweł Koźmiński



Przemysław Witek: W Prandocinie był bardzo przyjemny ksiądz proboszcz. Parę razy tam nocowaliśmy. Ale potem zmienili proboszcza i ten nowy zauważył jakieś nogi wystające spod koca i do tego podwójne. Potem na mszy porannej mówił, że jedne nogi były damskie, drugie męskie. Mnie to bawiło, bo przecież to nie działo się w kościele, tylko w stodole. Spaliśmy razem, w kupie, obok siebie jak śledzie. On napisał potem pismo do ks. biskupa Jaworskiego w tej sprawie. Nie było z tego żadnych kłopotów, bo ja ks. biskupowi wytłumaczyłem, że tu nie chodziło o żaden seks pozamałżeński.

Miechów

1981

Robert Kulak (z Kroniki I Marszu): Około 2 kilometry przed Miechowem, do maszerującej z pieśnią „Pierwszej Kadrowej" kompanii, podeszła wracająca z zakupów kobieta. Właściwie to myśmy podeszli, gdyż owa pani zatrzymała się parę metrów przed kolumną, patrzyła na żołnierskie sztandary, półgłosem odczytywała z planszy, że to Kadrówka, rozpłakała się i ściskając nam ręce wręczyła najbliżej idącym pieczywo i mleko. Byliśmy wzruszeni o wiele bardziej niż podczas równie niemych pozdrowień (oklaski, podniesione dłonie ze znakiem Zwycięstwa-Wolności) towarzyszących nam w czasie Marszu.

Nasze wzruszenie jeszcze bardziej wzrosło, kiedy to przedstawiciele Miechowa wygłaszali do nas, zebranych przy murze cmentarnym, mieszane ze łzami słowa pozdrowienia. (...)

1988

Ludomir Olkuśnik: Decyzja o wchodzeniu do Miechowa zapadła dopiero na trasie, w związku z czym żadna informacja na ten temat wcześniej do miasta nie dotarła. Ponieważ do Miechowa dojdziemy w okolicach godz. 14, tj. w porze obiadowej, są szanse, że możemy przejść prawie niezauważeni przez mieszkańców. Chcąc przynajmniej częściowo temu zapobiec, a ponadto w samotności przełknąć gorycz kompromitacji, po uzgodnieniu z dowódcą plutonu „włączam dwójkę" i powoli zostawiam grupę zasadniczą z tyłu. (...)



Kadrówka 1982. Piotr Maria Boroń (z lewej) i Ludomir Olkuśnik.

Zaczynam od przebywającego w Miechowie na wakacjach mojego brata Jerzego z rodziną, a w drodze powrotnej zawiadamiam znajomych, państwo Osmendów, którzy będąc już po obiedzie, chcą uczestniczyć w tym historycznym wydarzeniu – pierwszym (jak się później okazało jedynym) Marszu przechodzącym przez Miechów w czasach, kiedy nie był akceptowany przez władzę.

Łukasz Osmenda[357]: Miechów, 7 sierpnia [1988 r.]; do miasta wchodzi Kadrówka, pieśń legionowa rozbrzmiewa na miechowskim rynku „... że nie będzie już Moskali na piastowskiej ziemi...".

W takich momentach serce bije szybciej i dla mnie, ówczesnego 14-latka, takie chwile są niezapomniane. W tym roku Kadrówka po raz drugi wchodzi do Miechowa. Dotychczas omijano miasto, mając na względzie wcześniejsze doświadczenia z milicją w Michałowicach czy Jędrzejowie, a przecież Miechów to jedna z ważniejszych historycznie miejscowości na trasie Kadrówki.

[357] Wypowiedź Łukasza Osmendy, cytujemy – za zgodą Wydawcy – z jego wspomnień „Marsze szlakiem I Kompanii Kadrowej" opublikowanych w piśmie „Sowiniec.

Płomienne przemówienie wygłoszone na Rynku przez p. Antoniego Lenkiewicza, przerywane na przemian okrzykami: „Precz z komuną!" i „Niepodległość!", zapada głęboko w serca słuchaczy.

Wtedy podejmuję postanowienie – w przyszłym Marszu uczestniczę.

Ludmiła Fastowicz: Pani Janina Bogacz, przesympatyczna staruszka, witała nas co roku z kwiatami w Miechowie. Od końca lat 80., wiele razy. Potem już się nie pojawiła. Próbowaliśmy się dowiedzieć czegoś, żeby choć kwiatki na jej grobie złożyć, ale się nie udało. Raz zamówiła nawet fotografa, aby zrobić nam wszystkim zdjęcia. To była taka prawdziwa przedwojenna dama – w kapeluszu, koronkach, w rękawiczkach. Było to bardzo wzruszające. Ona – jako mała dziewczynka – wręczała kwiaty Piłsudskiemu, gdy ten wkraczał do Miechowa. Jej tata był oficerem.



Kadrówka 1982. Posiłek na trasie. Od lewej: Ludomir Olkuśnik, Małgorzata Słowik, Wojciech Słowik.

Wodzisław

1984

Przemysław Witek: W Wodzisławiu jest duży staw. W 1984 roku stali tam panowie esbecy i udawali, że łowią ryby. Fotografowali, więc postanowiliśmy się pokazać z jak najlepszej strony. W cztery osoby zdjęliśmy portki, ustawiając się do nich tyłem. Te zdjęcia trafiły potem do ks. biskupa Jaworskiego, ale ten wcale się nie złościł, kiedy to potem opowiadał. Była tam też z nami jedna kobieta – Danusia Lecheńko z Dusznik-Zdroju. Twarda, nie pękała! Ja się nie wstydzę. Pośladki to jedyna część ciała, którą mogłem esbekom pokazywać, często nawet, byle z oddali, żeby przypadkiem nie zrobili nam krzywdy.

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): Do Wodzisławia, punktu etapowego, dochodzimy wczesnym popołudniem. (...) W czasie posiłku w miejscowym barze ktoś podaje informacje z lokalnej prasy, że właśnie został zwolniony z więzienia Leszek Moczulski, wysyłamy więc do niego telegram z pozdrowieniami od uczestników Marszu i życzeniami pomyślności w dalszym działaniu.

Do obiadu kilku marszowiczów zamówiło piwo, dwóch chyba więcej niż jedno, bo po upalnym, męczącym dniu podziałało na nich wyraźnie. Ich nazbyt swobodne zachowanie, nie przynoszące Marszowi chluby wywołało natychmiastową reakcję komendy w postaci rozkazu zakazującego w czasie marszu picia jakichkolwiek napojów wyskokowych (wymóg ten wszedł jako stały do regulaminu Marszów).

Na ognisko zorganizowane nieco za miastem, obok szosy warszawskiej, miejscowa ludność przyszła nadspodziewanie licznie. Niektórzy prawdopodobnie służbowo, co nie przeszkodziło, że ognisko było udane. Do dzisiaj pamiętam parodię piosenki żołnierskiej „Przyjedź mamo na przysięgę" czy „Chłopców z Golędzinowa" w wykonaniu J. Torbicza, M. Gawlikowskiego i J. Dobrowolskiego. Grupa Janusza Kotarby nie tylko sama śpiewała, ale przede wszystkim wpływała na wyraźne podniesienie poziomu ogólnego śpiewu piosenek legionowych, harcerskich i partyzanckich. Myślę, że mieszkańcy Wodzisławia wracając późnym wieczorem do domów, zabrali ze sobą patriotyczną i antyreżimową atmosferę panującą przy ognisku.

Książ Wielki

1988

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): Nocować będziemy tuż przed Książem Wielkim, w gospodarstwie po prawej stronie szosy warszawskiej, namioty rozbijamy na łączce po przeciwnej stronie. Gospodarz okazuje się być kolekcjonerem guzików, posiadającym jeden z większych, jeżeli nie największy w kraju zbiór guzików wojskowych.

W oczekiwaniu na kolację Przyjaciel [Roman Hnatowicz], dla zabicia czasu, wdaje się w dyskusję na temat Dmowskiego z Jarkiem Kiepurą z Warszawy, będącym świeżo po obronie pracy magisterskiej na ten temat. Dyskusja z początku spokojna, przerodziła się w burzliwą, bo Kiepura okazał się więcej niż umiarkowanym zwolennikiem endecji, czemu w przyszłych latach dawał wielokrotnie wyraz... Jego uczestniczenie jeszcze w kilku następnych Marszach dowodziłoby, że jest również piłsudczykiem – rzadki to myślę przypadek.

Lesław Dykacz: Na moim pierwszym Marszu zostałem przydzielony do pomocy Tolkowi Piekałkiewiczowi na odcinku do Książa Wielkiego. Pomagałem mu warzyć zupkę dla Marszu. To doświadczenie skutkowało potem wstrętem do wszelakiego jedzenia. Gdy byłem bliski torsji, mieszając tę breję, Tolek oznajmił mi, że ma dla mnie nowe zadanie. Najpierw się ucieszyłem. Mina mi zrzedła, gdy dowiedziałem się, że mam wyjść naprzeciw marszowiczom i po ich zlokalizowaniu przyprowadzić ich na nocleg. Moje obiekcje, że jestem pierwszy raz w życiu w Książu i nie znam terenu, Tolo zbył krótkim: „Szybko ci wytłumaczę, jak iść". Jakiś czas błąkałem się po lesie, krzakach i słynnych groblach, aż trafiłem na tak samo błąkających się marszowiczów. Udało mi się doprowadzić ich na popas, ale – delikatnie mówiąc – dość okrężną drogą, więc większość dotarła resztkami sił. Na szczęście ogół nie zorientował się, że byłem sprawcą ich dodatkowego wysiłku, więc lincz mi nie groził. Zorientował się Jurek Pachota i na głos zastanawiał się, czy należy zabić Tola za to, że wysłał po ludzi osobę zupełnie zieloną, czy też mnie, ponieważ na to przystałem. Przeżyłem i dzięki temu wiem, że czarna dziura wisząca nad Książem jest ponadczasowa – marszowicze tam błądzili w latach 80. i 90. ub. wieku i tak samo jest dziś. Ostatni raz mój pluton zabłądził w Książu w 2009 roku.



Kadrówka 1982. Gościna u gospodarzy. Wojciech Pęgiel, Małgorzata Słowik, Iwona Warchał i uśmiechnięty Piotr Maria Boroń.

Łączyn

1982

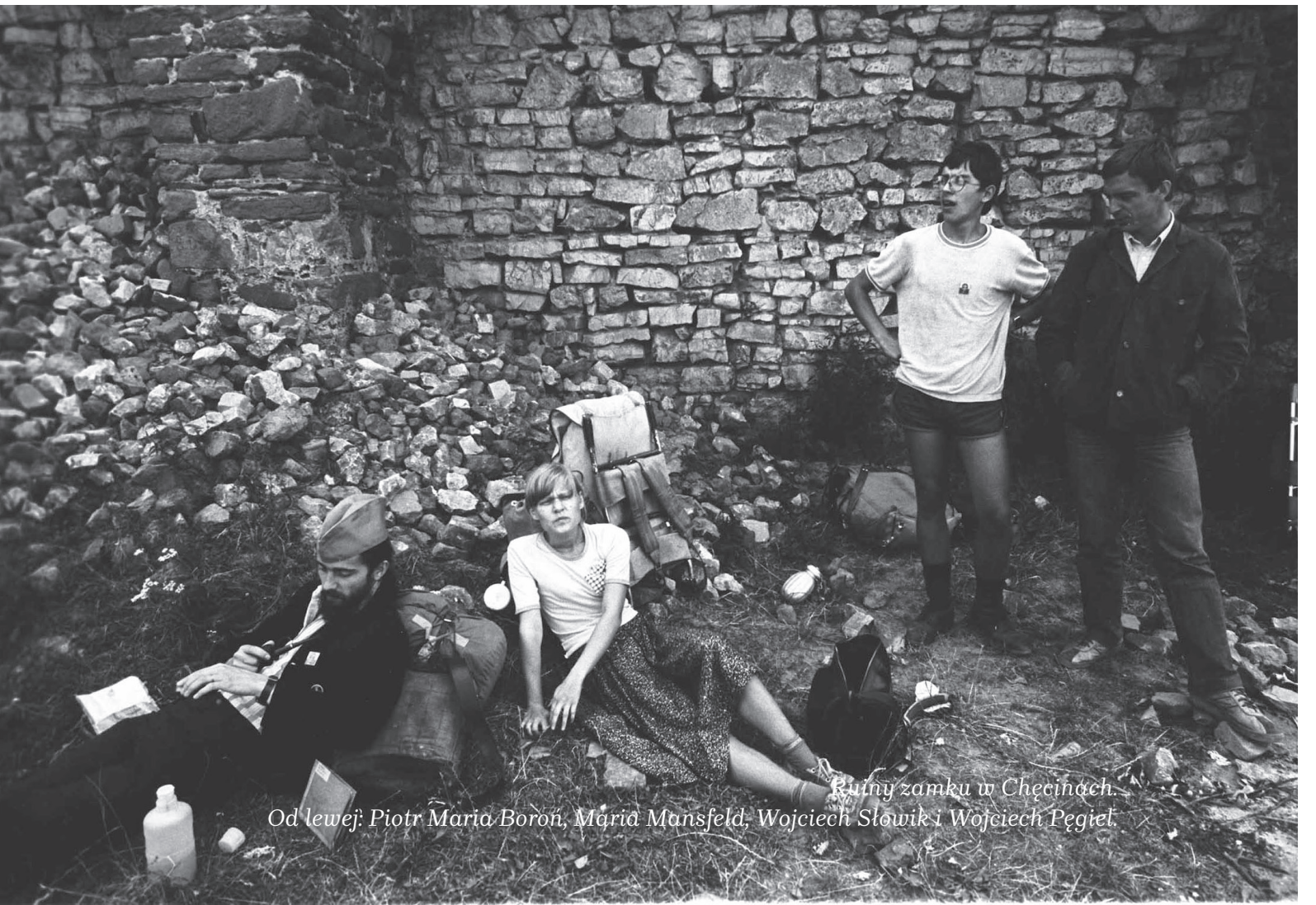
Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): Przed Jędrzejowem, chyba we wsi Łączyn zatrzymujemy się w zajeździe przy szosie warszawskiej. Sympatyczni właściciele pamiętają Kadrówkę z ubiegłego roku i fundują wszystkim fasolkę po bretońsku.

1984

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): Etap dzisiejszy jest niezbyt długi, więc w południe dochodzimy do leżącego tuż przed Jędrzejowem Łączyna, gdzie w przydrożnym zajeździe bezalkoholowym, u starych znajomych z poprzednich lat, zatrzymujemy się na obiad. Raczej prymitywny zajazd nie mieści wszystkich marszowiczów, więc dzielimy się na dwie grupy.

Jerzy Mohl: Już w drugim dniu Marszu, w miejscowości Moczydło, pokazała się esbecja, która bardzo dokładnie nas obfotografowała, kiedy piliśmy wodę ze studni głębinowej przy jednej z posesji. Początkowo nie przejmowaliśmy się tymi fotkami, ale kiedy trasa, którą podążaliśmy (drogi lokalne i polne) przecięła się z trasą E-7 na przedmieściach Jędrzejowa, staliśmy się niebezpieczną demonstracją antyrządową, którą należy rozpędzić i spacyfikować. Tak też się stało.

Jacek Torbicz: Widzieliśmy, że SB nas obserwuje. Robili to wyjątkowo nieudolnie. Najpierw zatrzymała się przy nas ciężarówka (taka jakaś przewożąca smołę) z dwoma facetami w szoferce. Od razu wiedzieliśmy, że to esbecy. Potem w lesie podjechała do nas milicyjna suka, a Wojtek Pęgiel rozmawiał z milicjantami. Chcieliśmy wybadać ich plany wobec nas. O braku strachu i słabości reżimu świadczy najlepiej to, że robiliśmy sobie zdjęcia na tle tej suki, traktując ją jako atrakcję. Najbardziej znane z nich zrobił Rafał Pączek, chłopak ode mnie z klasy z I LO w Krakowie, którego zaprosiłem na Marsz. Potem wywołaliśmy je sami i rozdawaliśmy wiele odbitek.



Ruiny zamku w Chęcinach.
Od lewej: Piotr Maria Boroń, Maria Mansfeld, Wojciech Słowik i Wojciech Pęgiel.

Konrad Zbrożek: Maszerujemy bez większych kłopotów, marząc permanentnie o kąpieli w Jędrzejowie. W najbliższym przydrożnym barze na „siódemce" mamy posiłek. Wreszcie coś gorącego i przy stole! Cała wiara wyraźnie rozanielona, rozśpiewana i zupełnie pozbawiona czujności. Zaskoczyli nas kompletnie.

Małgorzata Słowik: Weszliśmy do tego zajazdu ze śpiewem na ustach. Jedliśmy obiad. Część ludzi już zjadła i wyszła na zewnątrz, a część była w środku. I nagle ktoś krzyknął, że milicja. Zobaczyliśmy kilka suk i dużo milicjantów.

Artur Then: Dzień był słoneczny, ludzie chowali się w cieniu. Musieliśmy jeść partiami, bo lokal był za mały na naszą ponad 100-osobową grupę. Nagle przyjechało na sygnale pięć czy sześć nysek milicyjnych. Jakiś gazik wyjechał z lasu. Otoczyli nas. Nie było tam typowych zomowców, tylko milicjanci w mundurach z krótkimi pałkami. Gdyby w grę miało wejść rozwiązanie siłowe, nie mieliby żadnych szans. Ale nie to było naszym celem. Mieliśmy dojść do Kielc, a nie wdawać się z nimi w potyczkę. Poza tym nie wiedzieliśmy, jakie jeszcze siły mają w odwodzie.

Jacek Torbicz: Gdy koło zajazdu, w którym jedliśmy obiad, pojawiły się oddziały ZOMO, byliśmy akurat z Jurkiem Dobrowolskim na zewnątrz budynku. Zobaczyliśmy, co się dzieje, więc uciekliśmy do lasu i zza krzaków obserwowaliśmy sytuację. Kiedy niemal wszystkich zatrzymano, pojechaliśmy autostopem do pobliskiego Jędrzejowa, gdzie mieliśmy wyznaczony nocleg. Zaczęliśmy od razu rozpowiadać w miasteczku, że aresztowano uczestników pielgrzymki, co wzbudzało oczywiście żywe reakcje.

Jerzy Mohl: Na posiłek trzeba było długo czekać, więc poszliśmy z Markiem Bikiem oraz z moim bratem Arturem zaczerpnąć świeżego powietrza. Wokół tego zajazdu był niewielki lasek i kiedy skierowaliśmy się do niego, okazało się, że wśród drzew mniej więcej 50 metrów przed nami znajduje się tyraliera ZOMO. Początkowo wyglądało to jedynie na demonstrację siły. Po kilku minutach zomowcy ruszyli powoli do przodu i ich linia wygięła się w łuk, który „zgarniał" obecnych w lasku i przed zajazdem, spychając ich w stronę obiektu.



Kadrówka 1982. Od lewej: Ludomir Olkuśnik, Anna Słowik, Celina Kisiel.



Zadrzewiony teren wokół zajazdu miał coś w rodzaju podszytu, złożonego z krzewów malin czy ostrężnic i jakiś bliżej nieokreślonych chaszczy, na tyle gęstych, że mogła się pokusić o ukrycie w nim pojedyncza osoba. Zaproponowałem mojemu bratu, aby się położył w tych oczeretach, a my z Markiem zwrócimy na siebie uwagę zomowców. Byliśmy i tak już podpadnięci na maksa, więc jedno zatrzymanie więcej nie robiło nam już różnicy. Niestety mój brat nie dał się ponieść fali mojego zdrowego rozsądku i oświadczył, że równie bohatersko jak my da się złapać.

Cóż było robić wobec tak honorowo, acz mało rozsądnie postawionej sprawy... Trzeba było ratować, co się da, czyli zamówionego wcześniej przez nas kurczaka z rożna (wtedy był to luksus), więc postanowiliśmy go zjeść zanim ZOMO i SB wygarną nas z zajazdu. Wróciliśmy czym prędzej do środka. Trafiliśmy idealnie, więc oddaliśmy się konsumpcji. Do sali restauracyjnej chwilę potem wkroczyła władza ludowa ze wszystkimi możliwymi w tej sytuacji środkami przymusu bezpośredniego i jej przedstawiciel, jakiś esbek z Kielc, ogłosił nam, że bierzemy udział w nielegalny zgromadzeniu. Zostaliśmy zatrzymani. Na całe szczęście zdołałem spałaszować kurczaka i na posterunek MO w Jędrzejowie nie pojechałem o suchym pysku i na głodniaka, jak niektórzy.



Kadrówka 1983. Od lewej: Wojciech Frazik, Krzysztof Nowakowski, Katarzyna Schejbal, Józef Janowski, Iwona Warchał.

Wojciech Słowik: Na zewnątrz widzieliśmy konwój milicji, chyba ze siedem nysek jadących drugim pasem. Śmialiśmy się, że pewnie jadą na jakiś mecz. Tymczasem oni skręcili, wjechali na nasz parking. Było ich bardzo dużo – to była wielka akcja jędrzejowskiej milicji. Ponieważ byłem na zewnątrz, to znalazłem się w nysce natychmiast. Potem widziałem, jak z budynku wyprowadzali kolejne osoby. Nie byli agresywni. To byli tacy małomiasteczkowi milicjanci i małomiasteczkowi esbecy.

Konrad Zbrożek: Wokół baru robi się niebiesko, do środka wchodzą tajniacy i coś tam obwieszczają o zatrzymaniu. Kilkoro z nas pryska do lasu. Ci, którzy już rozsiedli się do obiadu, takich szans nie mają. Pod obrusy trafiają więc dziesiątki egzemplarzy wszelkiej maści bibuły. Jeszcze wtedy nie mieliśmy sztandaru, więc straty i konieczność podjęcia walki, nam nie groziły.

Małgorzata Słowik: Ustawili nas w dwuszereg. Jeżeli dobrze pamiętam, to Wiesiek Gęsicki zaczął uciekać, złapali go i przywlekli z powrotem. Milicjanci kazali stanąć osobno dziewczętom i chłopakom. A dziewcząt nie było wiele, może osiem. Chłopcy zaczęli się dopytywać, co z nami zro-



Kadrówka 1983. Walery Tankiewicz i Witold Tukałło

bią i dowódca milicyjny powiedział, że nas zostawią, bo kobiet nie biorą. Wtedy chłopcy przekazali nam mnóstwo swoich rzeczy, które mieli przy sobie (znaczki, bibuła). Najwięcej rzeczy miały chyba przy sobie Anka Fischer i moja siostra Anka. Jak odwieźli chłopaków, to na końcu oczywiście i nas władowali do suki.

Konrad Zbrożek: Zapraszają do suk. Trafia mi się zaszczyt niezmierny bycia zamkniętym razem z dziewczętami, więc duma mnie rozpiera. Nie byliśmy skuci kajdankami. Chyba im zabrakło. Było nas około siedemdziesięciu osób.

Maciej Gawlikowski: Najlepszy numer podczas tej akcji w zajeździe zrobił milicjantom Mietek Majdzik. Był człowiekiem wówczas dla nas – gówniarzy – sędziwym. Miał doświadczenia walki z Sowietami, stalinowskich śledztw, więzień, później długich lat konspiracji. W przeciwieństwie do nas, on im po prostu uciekł. Kiedy milicja otoczyła teren, on udając przerażonego tym najściem, podbiegł do kordonu, rozpinając spodnie i płaczliwym tonem powiedział:

– Puśćcie, panowie, ja muszę... już nie wytrzymam....

Wskoczył krzaki, spuszczając gacie, na co milicjanci taktownie obrócili głowy. I tyle go widzieli.

Jędrzejów

1982

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): Do Jędrzejowa, do klasztoru oo. Cystersów docieramy bez niespodzianek, ale już wieczorem, więc na grochówkę, którą tam w okrasie pielgrzymek na Jasną Górę serwują pątnikom zakonnicy, nie było co liczyć. Zatem kolacja raczej sucha, zapijana klasztorną herbatą, a potem spanie w jednej z klasztornych sal. Co zaradniejsi używają jako materacy znalezione jakieś stare dekoracje z płyt styropianowych.

Witold Tukałło: Kolejny nocleg miał być w Jędrzejowie, w klasztorze Cystersów, gdzie przeor był zdeklarowanym piłsudczykiem. Oczywiście nocleg nie był w budynku klasztoru, tylko w namiotach przy klasztorze. Ponieważ obtarłem nogi, to uzgodniliśmy, że pojadę samochodem do Jędrzejowa i tam będę czekał na resztę. Przez to nie byłem świadkiem zatrzymania.

Artur Then: To było chyba największe zatrzymanie w historii tej miejscowości od powstania tam jakiejkolwiek komórki policyjnej. Komisariat liczył kilkunastu milicjantów, a nas było kilkadziesiąt osób i nie byli w stanie nas upilnować.

Konrad Zbrożek: Przewieźli nas na komendę w Jędrzejowie. I tam błyskawicznie liczba aresztantów topnieje. Zamknęli nas, fujary, tymczasowo w jakiejś świetlicy na pierwszym piętrze. Okno otwarte, pod oknem daszek nad okapem wejściowym, więc błyskawicznie kilku chłopaków było na ulicy. Resztę spisują, nie próbują przesłuchiwać.

Małgorzata Słowik: Gdy przyjechaliśmy na komendę w Jędrzejowie, to chłopcy już byli zamknięci w jakiejś świetlicy. Wysiadaliśmy z milicyjnych nysek, a chłopaki przez okna na pełny regulator: „Bywaj dziewczę zdrowe, Ojczyzna mnie woła...". Cały dziedziniec aż huczał od śpiewu. Milicjanci byli zupełnie zdezorientowani i nie wiedzieli, co robić, tylko nas pospieszali.

Jerzy Mohl: Na posterunku milicja przystąpiła do nieudolnej próby spisywania naszych zeznań, a że znalazła się tam śmietanka różnych opozycyjnych indywiduów z Krakowa, i nie tylko, to te przesłuchania zamieniły się w istną komedię. Milicjanci z Jędrzejowa, w końcu niewielkiego miasta, nie bardzo wiedzieli, jak sobie poradzić z 70 takimi typami.

Małgorzata Ścisłowicz: Kiedy jeszcze byliśmy otoczeni w zajeździe, oficer milicji ogłosił, że zgadzają się na żądania naszych negocjatorów i zatrzymują tylko mężczyzn, więc odbyła się szybka i dyskretna akcja podawania nam przez kolegów cennych nielegalnych rzeczy. Przysunął się



Kadrówka 1983. Na podeście siedzą (od lewej): Artur Then, Walery Tankiewicz, Jacek Torbicz (flet prosty), Jerzy Dobrowolski (harmonijka ustna), Jacek Kurowski.



do mnie Wojtek Pęgiel i powiedział cicho, że wyglądałam bardzo młodo, i mnie na pewno nie ruszą, więc dostanę najcenniejsze fanty. Podał mi pod stołem jakieś metalowe matryce, które miałam uratować. Nie wiem, czy to były matryce pieczęci, czy odznaki marszowej, zmieściły mi się z trudem w dłoni.

Niestety, po zamknięciu chłopaków, wygarnęli i nas. Pojechałyśmy suką na komendę. Wystawili nas najpierw na jej dziedziniec. Pamiętam, że chodziły po nim puszczone wolno psy milicyjne. Szczerzyły kły i warczały, kiedy próbowało się je wołać. Nie wyglądało to bezpiecznie. Stamtąd sprowadzili nas do piwnic, na korytarz. Dzielili na czwórki i prowadzili kolejno schodami w górę na przesłuchania. Bałam się, że zrobią rewizję i wpadną te matryce. A skoro obiecałam Wojtkowi, to musiałam coś zrobić. Kiedy szłyśmy długim korytarzem, prowadzone przez idącego przodem mundurowego, zamiast pójść prosto, nagle skręciłam w krótki korytarzyk zakończony klatką schodową. Schody w dół i znalazłam się przy wyjściu. Blaszane drzwi, obok dzwonek i siedzący za szybą strażnik. Z wyrażającym spokój uśmiechem podeszłam do drzwi, starając się wyglądać na córkę komendanta. Udało się, usłyszałam brzęczek, otworzyłam i powoli, poprawiając sznurówkę w bucie, wyszłam na zewnątrz. Kiedy doszłam do rogu, zaczęłam biec jak najszybciej.

Anna Słowik: Mnie przypadło w udziale wyniesienie odznak i przypinek marszowych. Dostałam tego ponad 20. W toalecie w zajeździe poprzypinałam sobie to wszystko do majtek i na tył koszulki. Po zarzuceniu czegoś na wierzch, nawet nie było widać, choć komfortowe to nie było. Na szczęście nie miałam rewizji osobistej i wszystko grzecznie przyniosłam parę godzin później do klasztoru.

Przesłuchanie na komendzie wspominam źle. Milicjanci byli wobec nas chamscy. Mnie i tak potraktowali dość łagodnie, bo zobaczyli, że studiuję medycynę. Uznawali widać lekarzy za lepszy sort. Usłyszałam tylko tekst umoralniający: „To twoi rodzice ciężką kasę na łapówki wydali, żeby cię na lekarza wyuczyć, a ty się im tak odwdzięczasz? Głupich demonstracji ci się zachciewa? Polityki?".

Maciej Gawlikowski: Najpierw nas chcieli rozdzielić i odizolować. Esbek z Kielc przyciszonym głosem komenderował: „Na dołek ich!". Ale przerażony, gruby, miejscowy milicjant wymamrotał niepewnie:

– Mamy tylko trzy cele...

– Ile miejsc?

– Po cztery.... Jedna w remoncie.

A nas było ponad 70 osób.

Małgorzata Słowik: Zabrali stamtąd na dół mnie, Marka Bika i jeszcze ze dwie osoby. Chcieli nas zamknąć w celi. Kazali do niej wejść, ale nie zauważyli, że klucz był włożony od środka. Gdy tylko nas tam wprowadzili, to Marek zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz. Nie mogli otworzyć tych drzwi. Zaczęli kląć i grozić. Marek na to:

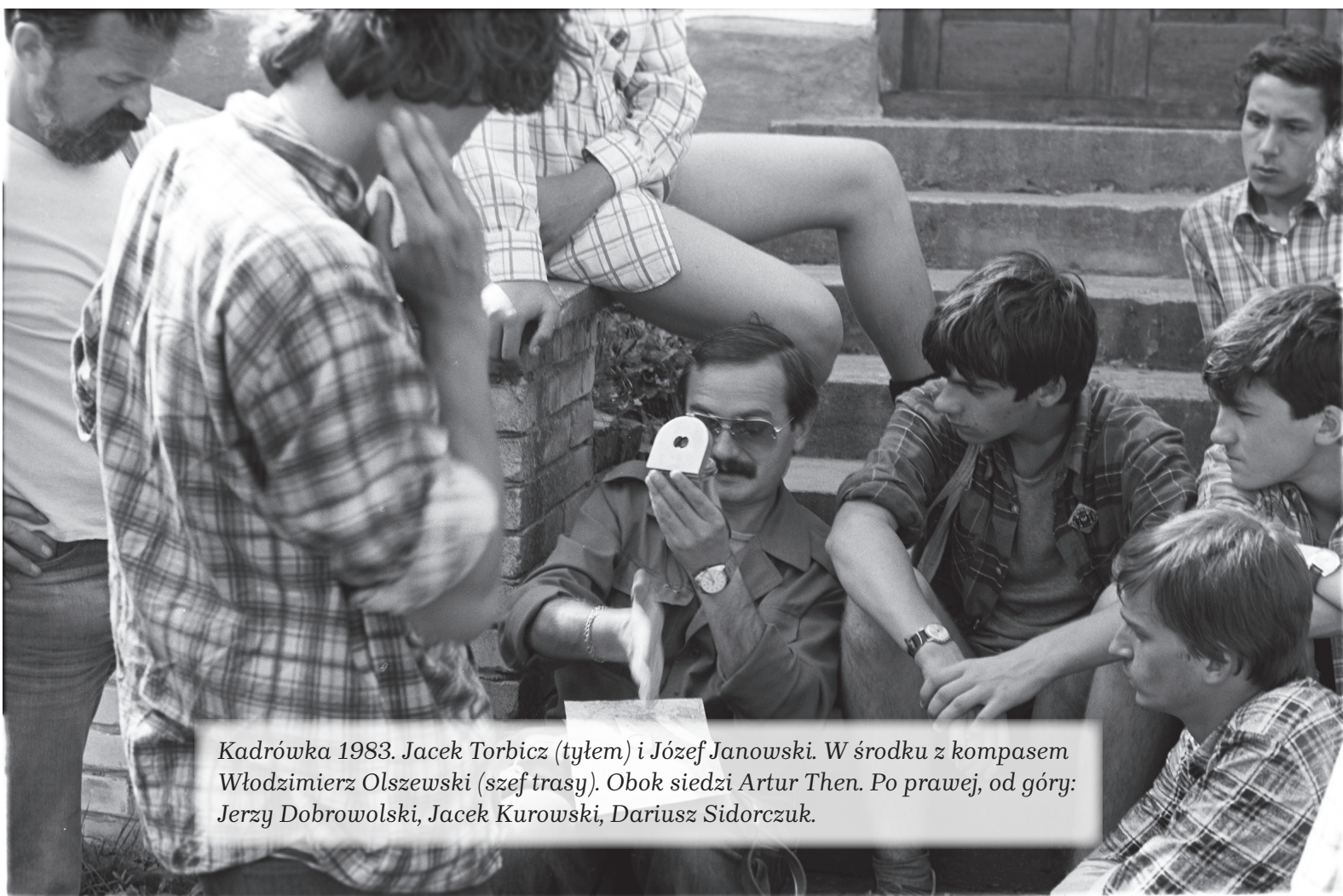
– Jak wy tak, to nie ma mowy. Albo grzecznie poprosicie, albo nie otworzymy.

W rezultacie milicjanci skamleli pod drzwiami celi i prosili nas:

– Otwórzcie! Wyjdźcie! Prosimy was, nie wygłupiajcie się już.

W końcu Marek otworzył, ale klucz zabrał ze sobą i mam do dziś w domu jako pamiątkę tej przygody.

Wojciech Słowik: To był kabaret. Nasi robili, co chcieli, a milicjanci byli wyraźnie zastraszeni.



Kadrówka 1983. Jacek Torbicz (tyłem) i Józef Janowski. W środku z kompasem Włodzimierz Olszewski (szef trasy). Obok siedzi Artur Then. Po prawej, od góry: Jerzy Dobrowolski, Jacek Kurowski, Dariusz Sidorczuk.



Kadrówka 1983. W rzędzie stoją: Katarzyna Schejbal, Artur Then, Krzysztof Nowakowski, Maciej Gawlikowski. Po prawej Dariusz Sidorczuk i Józef Janowski.

Maciej Gawlikowski: To była jedyna sala w komendzie, w jakiej mogli nas pomieścić. Stała tam mównica. Wychodzili na nią kolejni mówcy i wygłaszali przemówienia w stylu partyjnych agitacji. Zebrani reagowali brawami.

Małgorzata Słowik: Na tablicy milicyjnej szybko powstał napis „KPN".

Maciej Gawlikowski: Błyskawicznie zmieniliśmy całą milicyjną gazetkę ścienną – pozamienialiśmy literki, wyszły jakieś kosmiczne bzdury.

Artur Then: Jakiś chłopak wyszedł przez okno na dach i pukał stamtąd w okno pokoju esbeków.

Maciej Gawlikowski: To się samo nakręcało. Ktoś zaczął nawet rozbierać boazerię. Wchodził milicjant, zaczynał coś wrzeszczeć, na co ludzie wybuchali głośnym śmiechem. Milicjant krzyczał

– Zostaw to!

A wszyscy

– Cha, cha, cha!

Wojciech Słowik: Niektóre osoby otwierały okna i krzyczały coś do ludzi na ulicy. Wprawdzie komenda w Jędrzejowie nie była przy głównej drodze, ale jacyś ludzie tamtędy przechodzili.

Maciej Gawlikowski: Powoli nas wypuszczali pojedynczo, po spisaniu. Ci, którzy już wyszli, i ci, którzy się nie dali zamknąć, chodzili po miasteczku i opowiadali przechodniom, że milicja pielgrzymkę zamknęła. A akurat przechodziła przez Jędrzejów pielgrzymka do Częstochowy. W związku z tymi pogłoskami zmienili trasę i poszli koło komendy. Przez megafon krzyczeli:

- Pozdrawiamy siostry i braci pielgrzymów z Krakowa!

Małgorzata Słowik: Ci esbecy i milicjanci byli bardzo wybici z roli. Zdezorientowani naszym zabawowym podejściem do sprawy. Pamiętam, że w czasie mojego przesłuchania cywil dostał szału, zaczął krzyczeć:

– Jak pani mnie traktuje! Pani wie, kto ja jestem?



Zakończenie Marszu w 1983 roku. 12 sierpnia, Kielce, miejsce w którym stał pomnik „Czwórki”,





Poranek 6 sierpnia 1984 r. Przed pomnikiem w Michałowicach, legioniści z kapelanem, o. Adamem Studzińskim. Po drugiej stronie szosy uczestnicy Marszu.

Ja mu na to:

– Ubeczkiem z Jędrzejowa.

Wybiegł z pokoju, trzaskając drzwiami. Myślałam, że przesadziłam i za chwilę przyjdzie paru ubeków, żeby mi wlać. Tymczasem przyszedł milicjant i dokończył przesłuchanie, jakby nigdy nic.

Jerzy Mohl: Dochodziło do kuriozalnych sytuacji, gdy niektórzy z nas w chwili nieuwagi zabierali przesłuchującym ich funkcjonariuszom długopisy i potem ci nie mieli czym notować.

Wojciech Słowik: Trwało to do późnego popołudnia. Gdy było nas na podwórku coraz mniej, to oddaliłem się od grupy i stanąłem sam koło węgla, który leżał w jednym kącie podwórka. W końcu jeden z esbeków, którzy nas pilnowali, zapytał

– Co ty tu, kurwa, robisz?

Odpowiedziałem

– Czekam na kolegę.

– A byłeś już przesłuchiwany?

– Byłem.

– To spierdalaj!

I wyprowadził mnie przed komendę. Dzięki temu zarobiłem parędziesiąt tysięcy złotych, bo prawie wszyscy dostali potem grzywny za udział w Marszu, a ja nie. Moje obie siostry dostały wysokie kary na kolegium, ale połowę tej kwoty zapłaciła fundacja prymasowska, a drugą połowę nasz sąsiad – śp. płk Lubieniecki. Był to prawdziwy przedwojenny pułkownik, który – jak się dowiedział o całej historii –- oświadczył, że to dla niego będzie zaszczyt, jeżeli będzie mógł zapłacić pozostałą kwotę. Niestety, mieliśmy taką sytuację rodzinną, że musieliśmy płacić te kolegia.

Marek Bik: Nie radzili sobie, ale starali się nie być brutalni. Być może dlatego, że zobaczyli kilkudziesięciu młodych ludzi, którzy mogliby gwałtownie zareagować. Na zewnątrz była jeszcze reszta naszej ekipy. Na dodatek mieli w tym dniu przechodzącą przez miasto pielgrzymkę – potencjalne zagrożenie w razie jakiejś ruchawki. Dlatego rozeszło się to po kościach i mamy bardzo wesołe wspomnienia. W każdej chwili jednak mogło się to potoczyć inaczej – mogły tam przyjechać jakieś wzmocnienia i wspominalibyśmy to bardzo przykro. Wiemy, jak się kończyło przepuszczenie ludzi przez tzw. ścieżkę zdrowia.

***

Witold Tukałło: Siedziałem z uszkodzoną nogą u cystersów, czekając na maszerujących. Pierwszą informację o zatrzymaniach przyniósł Mietek Majdzik, który im uciekł z obławy. Od razu poszedłem z tą informacją do przeora. Zaczął interweniować kościelnymi kanałami.

Artur Then: Staliśmy się sławni, bo informacja o zamknięciu Kadrówki poszła następnego dnia w serwisach Radia Wolna Europa.

Zygmunt Pęksyk: Byłem w grupie, która przygotowywała biwak w klasztorze w Jędrzejowie. Tu była kuchnia, robiliśmy posiłek. Nagle łączniczka przybiegła z informacją:

– Uważajcie chłopaki, Kadrówka aresztowana!

Był z nami Przemek Witek i ze dwie dziewczyny. Podjęliśmy decyzje o wyciągnięciu wszystkich bagaży i ich przejrzeniu, żeby usunąć bibułę, ulotki, znaczki, na wypadek rewizji albo zabrania bagaży przez bezpiekę. Uzbierał się tego bardzo duży worek. Wziąłem go, przemknąłem się

bocznymi drogami na stację kolejową i pojechałem do Kielc. Do domu nie mogłem z nim pójść, bo mogli mieć obserwację. Wpadłem jednak na pomysł – zostawiłem go na dworcu PKP w przechowalni bagażu, poinformowałem, że to rzeczy hufca ZHP przygotowującego obóz, nawet taką dużą kartkę przyczepiłem. Wróciłem i zameldowałem komendantowi Marszu, gdzie rzeczy.

Jak Kadrówka weszła do Kielc, po mszy w katedrze przyniosłem ten worek i przekazałem wszystkim ich rzeczy. Musieli mnie przyuważyć albo ktoś zakapował, bo zaraz potem na ulicy zostałem zatrzymany. Trafiłem do aresztu na 48 godzin.

***

Konrad Zbrożek: Po kilka osób wychodzimy na ulicę z przykazaniem, że za uczestnictwo w nielegalnym zgromadzeniu grozi to i tamto. Na ulicy nasz łącznik informuje, że Marsz Szlakiem Kadrówki odbudowuje się w pobliskim klasztorze.

Małgorzata Słowik: Cystersi zachowali się świetnie, ale i tak zrobiła się niemiła sytuacja, bo nocowała tam też pielgrzymka idąca do Częstochowy. I niektórzy pielgrzymi przestraszyli się, że i ich milicja zamknie, bo stykają się tam z nami. Tak panikowali, że aż mnisi uspokajali ich przez megafon. W rezultacie część tych pielgrzymów traktowała nas jak trędowatych. Bali się zbliżać, nie chcieli rozmawiać.

Witold Tukałło: Zatrzymali niestety siedmioro naszych ludzi jako zakładników. Ultimatum postawili, że jeśli pójdziemy dalej jako Marsz, to ich nie wypuszczą.

Anna Fischer: Zatrzymano w areszcie oprócz mnie: Andrzeja Stawiarskiego, Andrzeja Kota, Janusza Kotarbę, Jarkę Maćkowiak, dziewczynę z Grona Przyjacielskiego (od Janusza Kotarby), której nazwiska nie znam, oraz najdzielniejszą z nas – Marysię Koczur. Marysia stawiała się milicjantom i nie zgodziła się na przeprowadzenie rewizji osobistej. Dlatego nie dano jej do naszej celi, tylko trzymano cały czas w tzw. Tygrysówce – celi oddzielonej od dyżurki milicyjnej jedynie kratą. Dla mnie, poza przeprowadzoną w wyjątkowo upokarzający sposób rewizją osobistą, najprzykrzejsze podczas tego zatrzymania było odebranie okularów. Przy mojej dużej wadzie wzroku było to bardzo uciążliwe.

Witold Tukałło: Zrobiliśmy zebranie koło klasztoru, żeby się zastanowić, co robić dalej. Hnatowicz, który był bardzo porywczy i apodyktyczny, zaczął krzyczeć:

– My jesteśmy Kadrówka, a nie jakieś dziady. Siłą weźmiemy ten posterunek! Uwolnimy naszych! Trzeba iść w miasto ludzi buntować i na nich!

W krzakach siedzieli esbecy i podsłuchiwali. Przeganialiśmy ich nawet parę razy kamieniami. Pan Roman miał jednak tak donośny głos, zwłaszcza kiedy był wzburzony, że pewnie wszystko słyszeli, co krzyczy. Powiedziałem mu wtedy na ucho:

– Panie Romanie, kurwa mać! Jakiś sierżant tam siedzi i ma broń. Przestraszy się czegoś nagle, pociągnie po ludziach i będziemy mieli trupy. Po cholerę nam to?

Przeforsowałem wtedy pomysł, że dopiero jak nie wypuszczą do określonej godziny tych siedmiorga ludzi, to robimy rozróbę – bierzemy krzyż z klasztoru, idziemy na rynek i będzie zadyma! Andrzej Marcinek z kimś jeszcze poszedł na komisariat i przedstawił im nasze ultimatum. Rano wypuścili tę siódemkę. Chcieli mieć u siebie spokój, wiedzieli, że problem sam odejdzie w stronę Kielc.



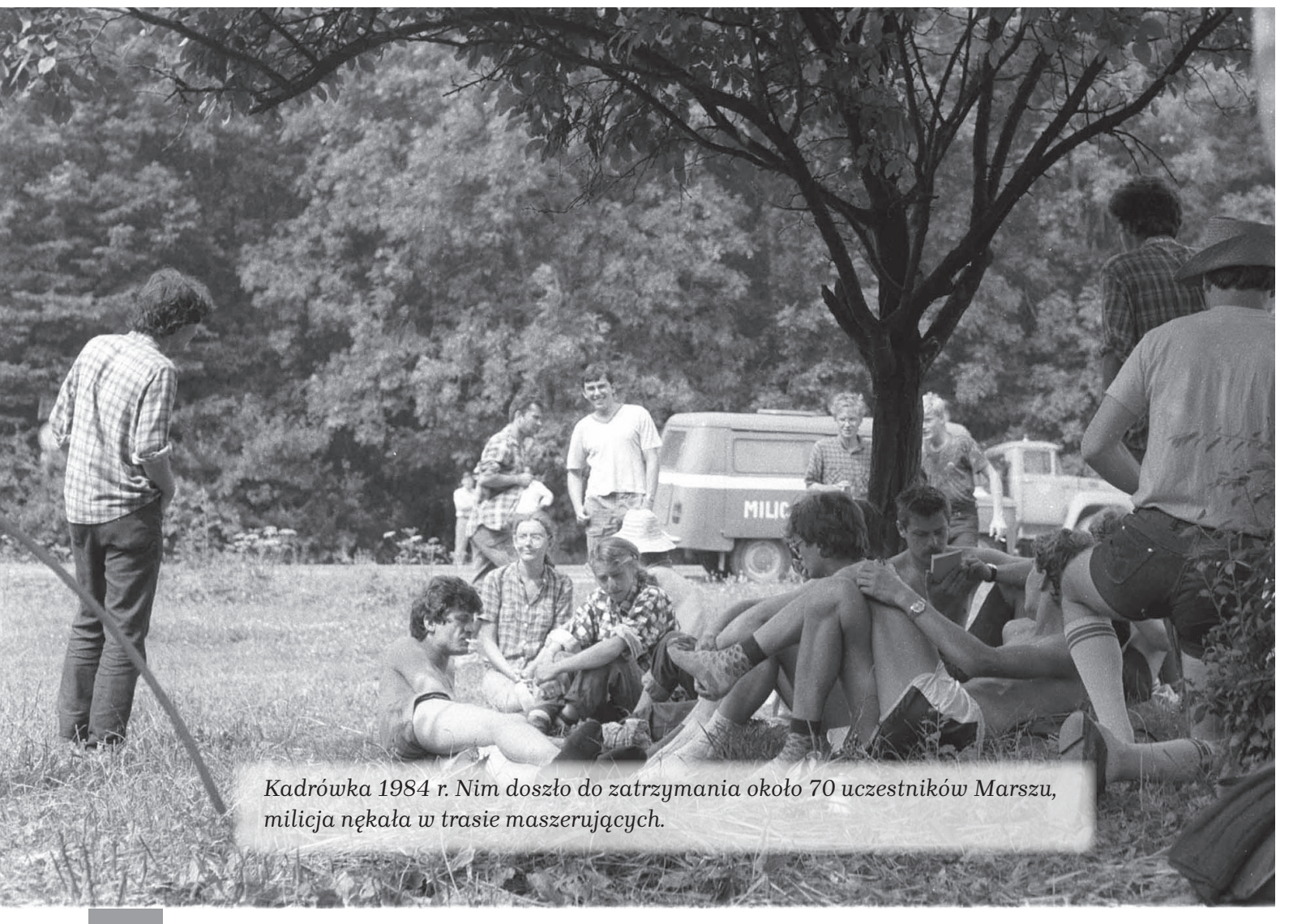
Poranek 6 sierpnia 1984 r., Michałowice. Na prośbę legionistów, Wojciech Pęgiel woła uczestników Marszu o podejście do pomnika.

Anna Fischer: Następnego dnia, kiedy zwalniali mnie z aresztu, oficer MO dowiedziawszy się, że pracuję jako nauczycielka historii, powiedział z szerokim uśmiechem: „O! No to już pani nie pracuje!". Jak się okazało, miał rację.

Jacek Torbicz: Charakterystyczne było to, że to jeden z najstarszych uczestników marszu, Roman Hnatowicz, chciał odbijać zakładników. Starsi byli czasem radykalniejsi.

Małgorzata Słowik: Na drugi dzień, jak tylko wypuścili te osoby, które noc spędziły w areszcie, poszliśmy na rynek w Jędrzejowie.

Konrad Zbrożek: Tutaj stacjonował komendant Piłsudski ze swym sztabem przed uderzeniem na Kielce. Pod poświęconą temu tablicą na kamienicy w rynku odśpiewujemy gromko „Pierwszą Brygadę". Milicji ani widu, ani słychu. Nasze patrole informują jednak o silnym zgrupowaniu ZOMO pod miastem i licznych tajniakach na ulicach Jędrzejowa.



Kadrówka 1984 r. Nim doszło do zatrzymania około 70 uczestników Marszu, milicja nękała w trasie maszerujących.

Małgorzata Słowik: Potem dowiedzieliśmy się, że krótko po naszym odejściu, milicja przyjechała na rynek. Sporo samochodów pełnych mundurowych. My już wtedy byliśmy przyjmowani z honorami w Muzeum Przypkowskich.

Konrad Zbrożek: Gościmy w kamienicy państwa Przypkowskich. Tej samej, gdzie kwaterował Marszałek ze swymi oficerami. Dotykamy z oczywistym nabożeństwem słynny „Parasol" Śmigłego-Rydza (odznakę ukończenia kursu oficerskiego w POW) i podziwiamy zbiory tej wielkiej polskiej rodziny, gromadzącej od pokoleń słoneczne zegary.

Witold Tukałło: Ludzie w Jędrzejowie zapamiętali te nasze boje. Kiedy rok później poszedłem do sklepu zrobić zakupy na obiad dla Marszu, a w klapie miałem znaczek, to pani w sklepie mi powiedziała: „Kadrówka nie płaci! Nie płaci i już, mowy nie ma". A to był państwowy sklep.

Małgorzata Słowik: Kilka lat później spotkałam osobę z Jędrzejowa, która mi powiedziała, że mieszkańcy tego miasta latami wspominali to zamknięcie Marszu:

– Takiej akcji to u nas od okupacji niemieckiej nie było!

***

Jerzy Mohl: Wokół naszego chwilowego azylu kręciła się bezpieka i wszystko wskazywało na to, że pod osłoną zapadającej nocy może dojść do drugiej rundy, w czasie której SB spróbuje wyrwać maruderów lub nieostrożnych. Sytuacja wydawała się patowa, ale około 21 zarządzono naradę wojenną, podczas której ścisłe dowództwo Marszu – Wojtek Pęgiel i Witek Tukałło, jeśli mnie pamięć nie myli – ustaliło, że zrobimy w konia esbecję i kiedy oni będą czekać na nas świtem od frontu klasztoru, my wymkniemy się wcześniej, pod osłoną nocy tyłem, podzieleni na grupy 4-osobowe, wychodzące na trasę w odstępie 10-minutowym, a ci, którzy nie czuli się na siłach, aby sprawnie przejść po ciemku 20 kilometrów, mieli zaczekać w jakimś miejscu na transport taborem, którym mieliśmy przewieźć plecaki.

Konrad Zbrożek: Ruszamy po kilkoro, gdzieś polami, zagajnikami, zaułkami z rozkazem zbiórki pod skocznią narciarską „tego i tego, o tej



Kadrówka 1984 r. była najliczniejszym z Marszów aż do 1988 roku. Brało w niej udział ponad 100 osób z 20 miejscowości.



i o tej". A czas goni, bo przecież idziemy trasą zgodną z kalendarzem Marszu tamtych z 1914 roku. Idziemy we dwóch i wraz z towarzyszem, gdzieś na leśnym dukcie, zupełnie jak ostatnie ofermy, włazimy na szarą wołgę ze śpiącymi czterema esbekami. Byliśmy już nieźle umundurowani. Na głowach nosiliśmy bordowe berety z prawidłowymi orzełkami. Zaspanych tajniaków zatkało. Pytają:

– A wy to kto?

Jak zwykle przytomny Wiesiek Gęsicki gromko rzuca: „Wojsko Polskie". Nawet nie wysiedli z samochodu.

Artur Then: Do końca już szliśmy bocznymi drogami, aby esbecja nas jak najpóźniej zauważyła i jak najmniej czasu miała na to, aby zareagować, gdy pojawiliśmy się na cmentarzu w Kielcach.

***

Ludomir Olkuśnik: Pierwszą osobą z Krakowa, przypuszczam, że w ogóle pierwszą, która już we wrześniu 1984 roku, a więc w około miesiąc po zajściach w Jędrzejowie przekonała się, że milicja nie puszcza słów na wiatr, była Ania Fischer. Pewnego dnia dyrektor szkoły, w której pracowała oświadczył, że jutro ma do pracy nie przychodzić, bo jest dyscyplinarnie zwolniona jako osoba niewłaściwa do powierzania jej wychowywania młodzieży. Zwolnienie dyscyplinarne pozwalało ominąć wymóg Karty nauczyciela, zakazujący zwolnienie nauczyciela w trybie normalnym, w trakcie roku szkolnego. Tak więc obiecanka przesłuchującego w Jędrzejowie milicjanta stała się faktem.

Andrzej Fischer: Ania straciła pracę za udział w Kadrówce. Została zwolniona dyscyplinarnie. Później odwoływała się do sądu pracy, bo była wtedy na urlopie, a nie w pracy, nie było więc podstaw do zwolnienia dyscyplinarnego. Sąd przyznał jej rację. Wróciła do pracy i została zwolniona w normalnym trybie, z 3-miesięcznym wypowiedzeniem.

Jerzy Mohl: Na koniec pobytu w komisariacie oświadczono nam, że staniemy przed kolegium ds. wykroczeń, co rzeczywiście się stało. W październiku 1984 roku dostałem 10 tys. zł grzywny, a mój brat 9 tys.

Konrad Zbrożek: Kilka miesięcy później dostałem wezwanie do Jędrzejowa na kolegium ds. wykroczeń. Miałem odpowiadać za udział

w nielegalnym zgromadzeniu. Na miejscu zastałem grupkę kadrówkowiczów. Karali wszystkich grzywnami z zamianą na areszt. Gdy przyszła moja kolej, odczytałem, żądając dołączenia do akt, manifest dotyczący tego, czym mym zdaniem jest PRL. Głównym filarem mej chwilami agresywnej przemowy było tzw. kłamstwo katyńskie. I, o zgrozo, dranie mnie ośmieszyli, udzielając jedynie upomnienia słownego. Koledzy mieli niezłą zabawę z mej wściekłości i rozczarowania, że nie zostałem ukrzyżowany na jędrzejowskim rynku.

Artur Then: Mieliśmy sprawnie przygotowaną obsługę prawną. Andrzej Marcinek siedział przez trzy miesiące w Jędrzejowie i dzielnie nas bronił. Dla tych biednych ławników w kolegium była to duża lekcja historii. Bo dotychczas ich jedynymi problemami były utarczki rodzinne lub jazdy koniem po pijanemu przez wieś, a tutaj nagle trafili na ludzi obeznanych z kodeksem karnym, z kodeksem wykroczeń, z rewizjami i Służbą Bezpieczeństwa, którzy nie dawali się łatwo nastraszyć.

Adam Roliński: Kwoty były bardzo wysokie. Dostałem karę w takiej wysokości, jak moja dwumiesięczna pensja.



Kadrówka 1984.

Jerzy Dobrowolski: Przed kolegium były generalnie trzy linie obrony uczestników Marszu. Jedni twardo mówili, że poszli na Marsz upamiętniający odzyskanie niepodległości, drudzy tłumaczyli, że byli na pielgrzymce i nagle okazało się, że to ma jakiś polityczny wymiar, a trzeci, że brali udział w zwykłym rajdzie turystycznym i nagle zostali wciągnięci w aferę polityczną.

Zygmunt Łenyk: To, co ludzie mówili przed tymi kolegiami, nie odpowiadało często ich prawdziwej motywacji. Po prostu bronili się na różne sposoby. Bali się iść na konfrontację, liczyli na mniej dotkliwą grzywnę. Oczywiście była to naiwność, kolegia równo waliły to, co im kazano. To była taśma.

Adam Ostoja-Owsiany: Na uczelni uhonorowano mój udział w Marszu, wszczynając przeciwko mnie procedurę dyscyplinarną – zakończoną, na szczęście, umorzeniem.

Andrzej Fischer: W 1984 roku w Jędrzejowie oboje z siostrą dostaliśmy po 10 tys. zł grzywny, które zapłaciliśmy. Ania pracowała, więc komornik



Kadrówka 1984. Mieczysław Majdzik i Jerzy Mohl.

mógł jej wejść na konto i z tego powodu musiała zapłacić. Ja zapłaciłem, kiedy komornik zajął konto mojego taty. Ludzie, którzy byli uczniami czy studentami, nie rozumieli tego. Oni nie płacili, bo im komornik nie mógł nic zrobić.

Przemysław Witek: Jak mieliśmy te kolegia w Jędrzejowie, to u nas, w Kielcach, nie dało się znaleźć prawników, którzy by nam pomogli. Każdy trząsł dupą, nawet Jurek Stępień, z którym rozmawiałem na ten temat. Znałem go od lat, poprosiłem o pomoc, nie dał żadnej odpowiedzi. Jedynie taka piłsudczykowska rodzina prawnicza z Kielc – trzech braci Klesysków, zadeklarowała pomoc, gdyby była sprawa sądowa (oni nie chodzili na Marsze, ale zwykle witali Kadrówkę w Kielcach, dowozili nam też jedzenie w termosach). Nikomu z Kielc nie zwrócono też ani jednej złotówki, gdy płacili grzywny.

Ludomir Olkuśnik: Moja kartoteka znalazła się jakimś sposobem na spodzie kupki i kiedy już wszystkich znajomych osądzono, a ja zacząłem przypuszczać, że moje akta gdzieś wsiąkły, wezwanie przyszło. Zostało przysłane na adres mojego miejsca pracy, szczęśliwie w okresie, kiedy sekretarka, która rodzinnie i chyba nie tylko rodzinnie, pozostawała w dobrych stosunkach z odpowiednimi służbami, była chora czy też na urlopie, a zastępowała ją osoba mi życzliwa. Kiedy zadzwoniła z informacją, że jest dla mnie jakieś wezwanie na kolegium i podała termin rozprawy, uzgodniliśmy, że odbiorę je w dniu rozprawy. Manewr ten udało się powtórzyć chyba trzykrotnie, ale kolejne wezwanie na 5 grudnia wręczył mi już wystarczająco wcześnie osobiście por. Palonka, opiekun zakładu z ramienia SB. Wziąłem więc okolicznościowy urlop na wyznaczony termin i udałem się do Jędrzejowa.

W drodze, dość długiej –- bo jechałem pociągiem z przesiadką w Tunelu, doszedłem do wniosku, że dobry skutek na przebieg i wynik rozprawy powinno mieć wzięcie członków kolegium na patriotyzm lokalny. Postanowiłem więc na początku rozprawy przypomnieć znane i znaczące w historii miasta fakty z czasów dawnych – istnienie od wieków klasztoru o.o. Cystersów, w którym pod koniec życia pisał swą kronikę Wincenty Kadłubek, zaś z historii już całkiem bliskiej – ważne dla państwa dni 1914 roku, kiedy to komendanta Piłsudskiego gościli w imieniu mieszkańców miasta Przypkowscy, przedstawiciele jednego z najstarszych rodów pol-



W 1984 roku widok ludzi maszerujących jawnie z flagami Solidarności i KPN-u, śpiewających przy tym antykomunistyczne pieśni, nie należał w Polsce do częstych.


Miechów
Wielki Dół
Kalina Redz.

skich, znanego współcześnie z unikalnego w skali światowej muzeum zegarów słonecznych. W zakończeniu miałem wyrazić przekonania, iż nie wierzę, aby członkowie kolegium – mieszkańcy Jędrzejowa, mogli naganie ocenić fakt przypominania najchlubniejszej karty historii ich miasta, będący jednocześnie formą oddania hołdu legionistom, a więc również ich przodkom – dziadom, a może ojcom.

Kiedy dotarłem na miejsce, w korytarzu przed salą rozpraw nie zastałem nikogo, a tuż przed godziną rozpoczęcia rozprawy zjawiło się dwóch młodych, nieznanych mi ludzi, wyglądających na miejscowych. Gdy ogłoszono moją rozprawę oni, ku mojemu zdziwieniu, również weszli na salę i usadowili się gdzieś w kącie. Za umieszczonym na podwyższeniu długim stołem rozpraw siedzieli przewodniczący w otoczeniu dwojga ławników, zaś za jednym z krótkich boków oficer MO.

Gdy po sprawdzeniu personaliów przewodniczący składu zapytał, czy uczestniczyłem w nielegalnym zgromadzeniu w Łączynie, rozpocząłem odpowiedź według zaplanowanego scenariusza. Po wypowiedzeniu zaledwie połowy zdania przewodniczący przerwał mi stwierdzeniem, że to, co mówię, nie ma związku z pytaniem.

– Ale ma ścisły związek ze sprawą – odparłem.



1984 r. Schronienie w klasztorze cystersów w Jędrzejowie. Kadrówka w oczekiwaniu na wypuszczenie siódemki zakładników. Małgorzata Ścisłowicz, Jacek Kurowski

Tu nastąpiła krótka wymiana zdań, w której przewodniczący domagał się krótkich odpowiedzi ściśle związanych z pytaniami, ja natomiast upierałem się, że sprawa ma znacznie szerszy aspekt i aby zespół orzekający mógł wydać sprawiedliwy werdykt, wymaga dłuższych odpowiedzi, aby spełnione były również wszystkie wymogi proceduralne. Na koniec oświadczyłem, że na odpowiedzi monosylabami się nie zgadzam i odmawiam odpowiedzi w ogóle.

Przystąpiono do przesłuchania świadka, którym okazał się jeden ze wspomnianych młodzieńców. Z jego odpowiedzi wynikało, że jest jednym ze zgarniających nas zomowców, dla pewności jednak zapytałem o to. Zanim przewodniczący zdążył uchylić pytanie, odpowiedział twierdząco, na co ja stanowczo zaprotestowałem, twierdząc, że przesłuchiwany jako służbowo podległy stronie oskarżającej, nie może być świadkiem, od którego wymaga się niezależności wypowiedzi. Gdy na koniec zapytano, czy mam coś do dodania przed ogłoszeniem wyroku, powiedziałem, że owszem przed rozpoczęciem rozprawy, kiedy myślałem, że zespół orzekający będzie złożony z obywateli starego grodu Jędrzejowa, mających własne zdanie i nieobawiających się to zdanie wypowiedzieć, miałem zamiar powołując się na chlubne tradycje miasta – tu wypowiedziałem obmyślony w drodze tekst – prosić o sprawiedliwą ocenę tego, co wydarzyło się przed kwartałem. Ponieważ jednak przebieg rozprawy wykazał, że sprawę osądzono już wcześniej, a orzekający dzisiaj są jedynie posłusznymi manekinami, o nic nie proszę.

Po ogłoszeniu wyroku – grzywna 10 tys. zł – poprosiłem o zaprotokołowanie, iż oczekuję przysłania uzasadnienia, gdyż będę się od tej niesprawiedliwej decyzji odwoływał.

Komenda Marszu apelowała, aby grzywien nie płacić, raczej zamieniać je na areszt, w praktyce jednak większość płaciła (w Krakowie, a myślę, że i w innych miastach, połowę przysądzonych sum pokrywał Komitet Pomocy, działający w tym czasie przy kurii biskupiej). Spora jednak grupa uczestników zajścia grzywien nie zapłaciła, uciekając się do różnego rodzaju wybiegów i forteli.

Ja na przykład postanowiłem kontynuować przyjętą od początku metodę uników i odwlekania, wyczekując na błędy popełnione przez przeciwnika. Rozpocząłem od bytności w punkcie porad prawnych, działającym przy Kurii Krakowskiej, gdzie mecenas Rozmarynowicz poinformował mnie, że jeżeli odwołanie do Kolegium Wojewódzkiego nie zmieni wyro-

ku, a wszystko na to wskazuje, przysługuje mi jeszcze prawo wniesienia na ręce wojewody zażalenia.

Już nie pamiętam, czy nie dostałem uzasadnienia orzeczenia, czy też, co jest bardziej prawdopodobne, dostałem je przesyłką zwyczajną, na co nie reagowałem. Gdy więc przyszedł nakaz płatniczy, napisałem do Kolegium Rejonowego ostre pismo, twierdząc, że ów nakaz jest nieprawomocny, bo nie dostałem uzasadnienia orzeczenia, przez co uniemożliwiono mi odwołanie się w przepisowym terminie do instancji wojewódzkiej.

Gdy w efekcie tego pisma dostałem wezwanie do stawienia się przed Kolegium Wojewódzkim w Kielcach, uznałem, że sytuacja wyraźnie zaczyna się klarować. Na rozprawę oczywiście nie pojechałem, a jedynie wysłałem kolejne pismo. W pierwszej jego części podważałem podstawę oskarżenia – rzekomą nielegalność Marszu, który w 1981 roku odbywał się z ochroną milicji drogowej na całej trasie, w 1982 roku w czasie trwania stanu wojennego wprawdzie część uczestników w Michałowicach zatrzymano, ale na wyrażony wtedy przeze mnie żal z powodu uniemożliwienia uczczenia najszczytniejszych tradycji oręża polskiego, przesłuchujący oficerowie stwierdzili, iż będę mógł to zrobić za rok i rzeczywiście w 1983 roku żadnych utrudnień ze strony władz nie było. W drugiej części, w założeniu ważniejszej, wyeksponowałem uchybienia formalne, tj. nieprzysłanie przez Kolegium Rejonowe uzasadnienia wyroku, a następnie potraktowanie pisma domagającego się przysłania uzasadnienia jako odwołanie, co nie tylko jest niezgodne z procedurą, ale przede wszystkim stawiało mnie od początku w sytuacji niekorzystnej.

Kiedy po tym piśmie otrzymałem decyzję Kolegium Wojewódzkiego podtrzymującą orzeczenie pierwszej instancji i powiększającą grzywnę o koszty procesowe, byłem już na tyle pewny wygranej, że nawet założyłem się z żoną, która uważała, że – jak to określiła – czas przestać się wygłupiać i zapłacić co trzeba. Moje rozumowanie było odmienne i proste – w panującym systemie, w którym nie kompetencje a „łaska pańska" decyduje o obsadzaniu stanowisk, niedobrze jest, jeżeli urzędnik wyższego szczebla ma na swym koncie jakiś, nawet niewielki haczyk, bo w momencie, kiedy np. pojawi się bardziej zasłużony konkurent, ów haczyk może stać się argumentem przesądzającym o karierze. System jest skuteczny dzięki temu, że wszyscy zdają sobie sprawę z tego mechanizmu działania. Dlatego w zażaleniu do wojewody na kolegia – rejonowe i wojewódzkie – uwypukliłem wszystkie uchybienia formalne, kończąc wyrażeniem

przekonania, iż wojewoda położy kres tym – jak to określiłem – „kpinom z praworządności". Za podpowiedzią Przyjaciela w P.S. dodałem coś w rodzaju: „Gdyby Pan Wojewoda był innego zdania, zmuszony będę zwrócić się z zażaleniem do Komisji Praworządności Sejmu PRL" – i to było to sedno sprawy – groźba możliwości wyjścia sprawy na szerszą wodę.

Zmiany werdyktu ani nawet odpowiedzi na zażalenie nie otrzymałem, na co zresztą od początku nie liczyłem, ale zgodnie z przewidywaniem nie dostałem również żadnego nakazu płatniczego, a o to właśnie chodziło. Nie doczekałem się zresztą również realizacji wygranego zakładu.

Marek Bik: Po tym zatrzymaniu w Jędrzejowie parę osób straciło pracę, inne były nękane przez SB, ci, którzy nie zapłacili kolegiów, albo za których kolegiów nie zapłaciła Solidarność, byli nękani przez komornika, ale w sumie wielka krzywda się tam nikomu nie stała.

Jedyna osoba, która poniosła naprawdę poważne konsekwencje, to był właściciel zajazdu w Łączynie. Usiłowali mu wlepić kolegium, co się udało umorzyć, ale odebrano mu po jakimś czasie koncesję. Musiał przenieść się w inne miejsce – z głównej drogi na boczną, gdzie już mu kiepsko szło. Nasyłali mu cały czas kontrole, potem go stamtąd też wyrzucili.



Kadrówka 1984. Blisko Kielc, Marsz ze względu na zagrożenie ponownym atakiem milicji, idzie podzielony na czteroosobowe grupki będące w kontakcie wzrokowym.





Był przez długi czas nękany, wpadł w jakieś stany załamania nerwowego. Pamiętam go, że przyjechał kiedyś do Krakowa po pomoc prawną i był tak zdenerwowany, że poprosił kogoś o papierosa. Tak mu się ręce trzęsły, że nie był w stanie go zapalić. Powiedział potem, że pięć lat nie palił... Ośmieszyliśmy tych jędrzejowskich milicjantów i poszliśmy dalej, ale on tam został. Na nim się odegrali. I zniszczyli go, złamali mu życie.

1987

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): W klasztorze czekają nas Leszek Moczulski ze swoim przyjacielem ks. Janem Umińskim, proboszczem z Sulejowa koło Piotrkowa, duszpasterzem AK, honorowym kapelanem 25 pp AK, a także kapelanem naszego Marszu. Jest także Ryszard Bocian, uczestnik jednego z wcześniejszych Marszów, późniejszy krakowski rajca.

Ksiądz ma dla nas odprawić mszę św., więc po szybkim ogarnięciu się idziemy do klasztornego kościoła. W czasie mszy wysłuchujemy głębokiego i refleksyjnego kazania o porażkach, nadziejach i konieczności konsekwentnego dążenia do wytyczonego celu. Odniosłem wrażenie, że w czasie przygotowywania homilii w myślach kaznodziei pobrzmiewała „Pierwsza Brygada", a głównie jej fragment: „O ile mąk, ile cierpienia (...), pomimo to nie ma zwątpienia (...)".

Fragment prelekcji Leszka Moczulskiego[358].

Spotykamy się w Marszu, który prowadzi z Polski uciemiężonej do Polski niepodległej. Myślę, że jesteście awangardą tego Marszu, że jesteście pierwszą kadrową kompanią, nie tylko dlatego że idziecie śladami dziadów, ale dlatego, że idziecie na szlaku do Polski niepodległej, która jest już bardzo blisko...

Ja wiem, jak ciężka jest dzisiaj sytuacja w Polsce. Jak zakrada się zwątpienie, jak wszyscy są zmęczeni. I społeczeństwo, i opozycja. I ludzie Konfederacji także... Widzę, jak jest ciężko. Ale po naszej stronie jest zwycięstwo! Trzeba je tylko zobaczyć! 8 lat istnieje KPN, 10 lat zorganizowana opozycja, od ponad 40 lat nie chcemy się pogodzić z narzuconym nam systemem, z podległością. Nie brakło przegranych bitew, ale po naszej stronie są coraz to nowe zwycięstwa!

Przed paroma chwilami widziałem tu, w klasztorze, portret ostatniego

[358] Tekst odtworzony z ręcznych zapisków Ryszarda Bociana i przez niego spisany.

marszałka Polski niepodległej Edwarda Śmigłego-Rydza. Ten portret, tak długo przechowywany, może teraz wyjść na światło dzienne. Czy mogłoby się to wydarzyć przed 10 laty? To jest symbol. Już możemy ujawniać, które osoby szanujemy. Tyle już zwyciężyliśmy w Polsce, że to jest możliwe. (...)

13 grudnia 1981 roku człowiek w mundurze zbliżonym krojem do polskiego podał cel, dla którego wyprowadzono czołgi na ulice. Tym celem była likwidacja opozycji. Więzienia, obozy internowanych (50 tysięcy ludzi), nie wiadomo ile śmierci (kiedyś to się obliczy), w tym jedna tak pamiętna – księdza Jerzego...

Kiszczak obliczył, że w ciągu 3,5 lat zlikwidowali 2,5 tysiąca grup podziemnych, 2 tysiące urządzeń drukarskich...

Po 5 latach walki władze komunistyczne musiały pogodzić się z własną klęską! Na jesieni 1986 roku władze de facto musiały uznać i uznały ten ruch oporu. Kiszczak w ubiegłym roku, w listopadzie, spotkał się z zastępcą sekretarza stanu Whiteheadem i podpisał zobowiązanie, że w Polsce nie będzie więźniów politycznych. Ta biedna, znękana Polska wygrała kolejną bitwę prowadzącą do niepodległości! Zadaliśmy uzurpatorskiej władzy kolejny cios! Nie zdołali dobić tego społeczeństwa!



5 sierpnia 1985 r. Uroczystości w Krypcie. Trumna Marszałka przykryta sztandarem Marszu.



Antoni Heda „Szary”, legendarny partyzant, wśród uczestników Marszu w 1985 r. Z tyłu, w jasnym swetrze, Kazimierz Michał Ujazdowski.

Po wielekroć wydawało się, że uda im się złamać ten ruch oporu. Także tu, w Jędrzejowie. Mogą znów wam zrobić 50 kolegiów [nawiązanie do wydarzeń, które miały miejsce w Jędrzejowie w sierpniu 1984], ale nawet tego nie zrobią, bo wiedzą, że przegrali, że ich działania są nieskuteczne. Wiedzą, że mogą aresztować 2-3 tysiące ludzi, ale na ich miejsce przyjdzie 6 tysięcy nowych! Dowód jest choćby tu, na tej sali, gdzie liczną grupę stanowią ci, którzy w 1980 roku byli dziećmi...

W tej chwili władze komunistyczne walczą już tylko o przedłużenie agonii [...] Policja, więzienia, czołgi (przestarzałe i z paliwem kłopot) – to nie wystarczy, by utrzymać 38-milionowy naród! Przez ostatnie 5 lat naszym kosztem zużywali środki na walkę z Polakami, zamiast odnawiać gospodarkę, chronić środowisko, rozwijać naukę, kulturę, opiekę zdrowotną [...]. Zmarnowali miliardy na walkę z nami! Tych pieniędzy nie ma, dług rośnie. Dlaczego gospodarka ma w 75 proc. zużyty park maszynowy? Ponieważ te wszystkie środki zostały zużyte na walkę ze społeczeństwem. Władza nie jest w stanie kontynuować tej walki, ponieważ zużyła już środki. Rządowi ekonomiści alarmują, że grozi zapaść gospodarcza. [...]

Pytanie z sali: – Jakie widzi pan metody walki o niepodległość?

Leszek Moczulski: – Naprzód, naprzód, naprzód!

Ksiądz Jan Umiński[359]: Pamiętam, jak ich skazywali [przywódców KPN w 1986], jak zakuto im ręce do tyłu, żeby nie mogli wyjść dumnie, z podniesionymi palcami. Wyprowadzono ich z sali sądowej bocznymi drzwiami. Matka Leszka szła z podniesionymi palcami przez długi korytarz zapełniony Służbą Bezpieczeństwa i głośno mówiła: „Dumna jestem, że mam takiego syna!". My wszyscy możemy powiedzieć, że dumni jesteśmy, że mamy takich ludzi, którzy nie liczą się z ofiarą i wskazują narodowi najsłuszniejszą drogę wiodąca do wolności.

A wam, młodzi przyjaciele, chcę powiedzieć – dlatego tu jesteście, bo mieliście dobrych rodziców! Podziękujcie rodzicom za tę lekcję historii, jaką wam przekazali!

[359] Ks. Jan Umiński (1930-1990) – kapelan AK; kapelan Solidarności oraz KPN, współpracownik ks. J. Popiełuszki; organizator mszy za ojczyznę w Sulejowie; w 1986 – aresztowany (na trzy miesiące) za organizowanie i prowadzenie modlitw w gmachu warszawskiego sądu w intencji więzionych przywódców KPN.



Podczas spotkania z „Szarym", Marsz 1985. Najbliżej Ewa Wrzesińska, w drugim rzędzie od prawej Przemysław Markiewicz, Anna Stawicka, Teresa Fischer, Wojciech Formański, Wojciech Szczurek.



Pierwsza z prawej Beata Pażucha. W ostatnim rzędzie od prawej Małgorzata Joachimiak, Wojciech Pęgiel, Bogusław Dziatko, Zygmunt Łenyk.



Jedni z gospodarzy, którzy mimo gróźb ze strony milicji i urzędników, ugościli uczestników Marszu 1985. W rozpiętej koszuli Wiesław Gęsicki, obok Lech Byczkowski, Robert Kulak, nn.

Brzegi

1982

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): Etap do Brzegów przechodzimy bez większych wrażeń. Nocleg w salce katechetycznej, niewygodny. Wstaję wcześnie z zamiarem wykąpania się w pobliskiej Nidzie. Ze trzy lata wcześniej kąpałem się w Nidzie, trochę poniżej Brzegów i wspominałem tę kąpiel z przyjemnością. Już w stroju kąpielowym pobiegłem przez otaczające pastwiska do rzeki, w którą bez namysłu wskoczyłem. Nagle poczułem jakiś dziwny zapach. Po wyjściu na brzeg i nałożeniu okularów, okazało się, że na wodzie unosi się tłusty, śmierdzący kożuch. Któryś z pobliskich zakładów przemysłowych załatwił kolejną rzekę.

1984

Ludomir Olkuśnik (z dziennika marszowego): Następny nocleg przewidziano w odległych o 15 km Brzegach. Wcześniej ustalono, że etap ten,

ze względów taktycznych, przejdziemy w małych grupach, wychodzących w kilkunastominutowych odstępach, jednak ponieważ zrobiło się późno, postanowiono, że kto chce, może podjechać pociągiem. Dojeżdżamy zatem do Sobkowa, skąd, ok. 2 km odcinek dzielący nas od Brzegów, przechodzimy w zapadającym już zmierzchu. Rozlokowujemy się w dwóch, trochę oddalonych od siebie gospodarstwach. Po kolacji i emocjach dwóch ostatnich dni udajemy się na spoczynek.

Rano namawiam Przyjaciela na krótką kąpiel w Nidzie. Pamiętając jednak przygodę sprzed dwóch lat, biegniemy trochę w górę rzeki, gdzie – nomen omen – brudna Czarna Nida łączy się z Białą, w której zażywamy porannej kąpieli, tym razem bez niespodzianek.

1985

Jerzy Mohl: W 1985 robiliśmy wszystko, by nie dać się zgarnąć. Przemykaliśmy się bokiem tras, chodziliśmy po nocy, podzieleni na kilkuosobowe grupy. Wtedy wyszedłem w pierwszej albo drugiej grupie wraz z Markiem Bikiem, Wojtkiem Słowikiem i Michałem Sieradzanem. Od razu narzuciliśmy ostre tempo marszu. Co prawda po wydostaniu się poza miasto musieliśmy od czasu do czasu uciekać na pobocze, kiedy zbliżał się jakiś samochód, ale mimo tych opóźnień, w ciągu 2 godzin i 15 minut dotarliśmy do Brzegów, czyli uśrednione tempo marszu wyniosło ponad 8 km/h. Parę minut po północy byliśmy już ogarnięci do snu i położyliśmy się w namiotach, które w czasie naszej nieobecności, przy udziale nielicznych przedstawicieli rodzaju męskiego, rozbiła piękniejsza część Kadrówki.

Obozowisko mieliśmy na terenie kościoła w Brzegach, którego proboszcz udzielił nam schronienia. Na terenie kościelnym mogliśmy się czuć w miarę bezpiecznie.

Muszę przyznać, że sukces tego, jak i pewnie innych Marszów z tamtych czasów, opierał się również na wsparciu księży z parafii, na których terenie wiodła nasza wędrówka. To Prandocin, Brzegi, gdzie udzielano nam noclegów, czy klasztor w Jędrzejowie, który był azylem.

Na drugi dzień, kiedy wstaliśmy, aby wyruszyć w dalszą drogę, zdarzył się nam wypadek. Kiedy myliśmy się przy studni jako ostatnia ekipa (pierwsze grupy już wyruszały, ale było wiadomo, że tacy zawodnicy jak my, dogonimy resztę na trasie), przez nieuwagę Michał Sieradzan,



Uczestnicy Marszu 1985 podczas mszy w kieleckiej katedrze.



nazywany Miśkiem, zrzucił do studni mydło, które położył wcześniej na cembrowinie. Dla całej naszej piątki (Wojtek Słowik, Misiek, Marek Bik, mój brat Artur i ja) stało się jasne, że nie możemy tego tak zostawić, bo ksiądz, który nas ugościł, zostanie bez wody. Mydło wcześniej czy później się rozpuści, nawet w tak zimnej wodzie, jak w tej głębokiej na około 10 metrów studni. Nie było chwili do stracenia. Ponieważ kościół znajdował się w trakcie jakiejś rozbudowy, zdjęliśmy linę budowlaną, która się tam znajdowała i po chwili sprawca wypadku został tą liną stosownie opasany, a następnie spuszczony głową w dół na dno studni. Niestety nie widziałem momentu, kiedy nurkował, bo wyznaczono mnie na balast, na którym zawiązano drugi koniec liny. Z całej naszej ekipy byłem wtedy najcięższy – ok. 86 kg – i koledzy słusznie zauważyli, że dla ważącego wówczas 60 kg Miśka mogę wystąpić jako główne zabezpieczenie. Reszta kolegów również trzymała linę z naszym nurkiem, ale ich zadanie polegało na utrzymaniu jej z dala od krawędzi studni, aby się nie przetarła. Kiedy Misiek znalazł się nad lustrem wody, zatrzymaliśmy go na chwilę, aby nabrał powietrza i aby uzyskać zapas na linie. Nie wiedzieliśmy, ile go dzieli od dna i na jaką głębokość będzie musiał zanurzyć się w tej lodowatej wodzie, aby sięgnąć dna. Że on wtedy nie wpadł w hipotermię, to cud! Pierwsza próba zanurzenia nie powiodła się. Na całe szczęście głębokość nurkowania nie przekraczała 1,2 m. Za drugim razem został osiągnięty sukces i kostka mydła była w naszych, a właściwie Miśka rękach. Rozpoczęła się najtrudniejsza część operacji, czyli wyciąganie naszej żywej sondy na światło dzienne. Kiedy byliśmy już w połowie naszego zadania, przybiegł ksiądz, którego chyba zawołała gospodyni, zaniepokojona naszym zbiegowiskiem przy ich studni i jak zobaczył, co wyprawiamy, o mało nie dostał zawału serca. Kiedy wyciągnęliśmy Miśka z tym mydłem i opowiedzieliśmy, co się nam przydarzyło, będąc pod nieodpartym wrażeniem naszej determinacji, popędził na plebanię i za chwilę wrócił z butelką koniaku i odpowiednim do takiej okazji szkłem. My z księdzem wypiliśmy po „kusztyczku", a w naszego nurka wlaliśmy całą resztę, bo tak się trząsł z zimna, że nie mógł utrzymać koniakówki w ręce. Po kilkunastu minutach, które spędziliśmy na rozmowie z księdzem, wyruszyliśmy w drogę, aby dogonić resztę Marszu.

Po Kadrówce obaj koledzy nie pojechali już z nami do Częstochowy. Misiek dostał zapalenia ucha, rozchorował się również Wojtek Słowik.



Zbigniew Romanowski, nazywany „Szalonym Zbyszkiem” – barwna marszowa postać, autor malowideł na dwóch kolejnych sztandarach Kadrówki.



Bilboardy czasów PRL w służbie polityki historycznej! Kadrówka 1985. Stoją (od lewej): Stanisław Florczyk, Zbigniew Ryba, Maria Mansfeld, Wojciech Formański. Siedzą (od lewej): Anna Fischer, Małgorzata Małorzewska, Zbigniew Szmiel, Mirosław Markiewicz, Maria Koczur.

Brzeziny

1985

Witold Tukałło: Przed Kadrówką objeżdżaliśmy trasę z Krzyśkiem Nowakowskim i umawialiśmy się po wsiach na noclegi. Mieliśmy papiery polecające od biskupów z Krakowa i z Kielc, więc dało się dogadać z proboszczami. Tak było też w tych Brzezinach, gdzieś przed Kielcami. A kiedy podczas Marszu kwatermistrz z oboźnym zajechali koło południa z bagażami, to tamtejszy proboszcz powiedział, że była u niego esbecja i że nas nie przyjmie. No i okazało się, że nie mamy gdzie spać, a tu lało jak z cebra.

Maciej Gawlikowski: Ciężarówkę mieliśmy już na miejscu z rzeczami, ale nie mieliśmy nawet gdzie jej rozładować. Kierowca ponaglał, bo miał zapłacone za kurs, a nie za stanie godzinami w polu. Byliśmy z Jurkiem Dobrowolskim i chyba jeszcze z kimś, kogo nie zapamiętałem. Chodzi-

liśmy od jednego gospodarstwa do drugiego... Chłopi w ogóle nie chcieli z nami rozmawiać, zatrzaskiwali drzwi i okiennice jak przed trędowatymi. Okazało się, że bezpieka nas uprzedziła. Chodzili – jak nam potem opowiedzieli miejscowi – od chałupy do chałupy. Trójką: sołtys, milicjant i urzędnik z gminy (kręcili się przy nich jacyś cywile, ale nie zbliżali się do domostw). Mówili: „Tu będzie jutro przechodziła taka banda. Jak im dacie wodę i wpuścicie do siebie, to się policzymy". A prawie każdy rolnik był uzależniony od urzędów – dostawał przydział na nawozy, na blachę, cegły, zawoził do skupu liście tytoniu, który był tam masowo uprawiany. Każdy z nich miał więcej do stracenia niż człowiek z miasta pracujący na uczelni czy w fabryce. Tu, na wsi, mogli każdego wykończyć domiarami, kontrolami. I nawet nikt by się nie ujął za represjonowanym chłopem, nikt by nie wiedział o tych represjach. A bieda tam była duża.

Akurat w tym dniu mieliśmy zaplanowane spotkanie z Antonim Hedą „Szarym", legendarnym przywódcą partyzantki na tych terenach. W rozpaczy pomyśleliśmy: „Może on jakoś pomoże?". Ludzie już przychodzili z trasy, przemoczeni, sytuacja robiła się niewesoła. Heda przyjechał maluchem, chyba z Robertem Kulakiem. Starszy człowiek, z dużą charyzmą. Powiedział spokojnie: „Nie ma problemu. Stodoła? Coś załatwimy". Mówię: „Panie majorze, myśmy już obeszli wszystkie chałupy. Ludzie nie chcą rozmawiać, tak się boją!". Podeszliśmy do pierwszego domostwa. Od płotu Heda krzyknął: „Szczęść Boże, gospodarzu! Jestem Antoni Heda »Szary«. Pokój temu domowi. Pogadać z wami chcemy". Drzwi natychmiast odskoczyły, starszy człowiek prawie wybiegł, kłaniając się w pas. Po chwili rozmowy: „Nocleg chcecie? Chodźcie! Stodoła wasza, syn zaraz sąsiadów ściągnie, to i oni pomogą. My nie wiedzieli, co wy za jedni".

Robert Kulak: „Szary" słynął z tego, że jego oddział dbał o ludność. Rozprawiał się z bandami rabunkowymi. Dbał bardzo o swoich żołnierzy. Jeśli dostali się do niewoli, próbował ich odbić z więzienia. Tak było w Starachowicach czy w Końskich i oczywiście w Kielcach, tych rozbitych więzień trochę miał na swoim koncie. Stąd taki szacunek miał wśród miejscowych.

Zygmunt Łenyk: Przyszliśmy zmęczeni i kompletnie przemoczeni. Była realna groźba, że będziemy musieli w tym deszczu spędzić całą noc. Na ziemi, pod jakimiś drzewami. „Szary" spowodował, że po kilkudziesięciu minutach każdy z nas miał nocleg.

Przemysław Witek: Ludzie prawie bili się między sobą, bo każdy chciał gościć kogoś u siebie. Niestety nie znaliśmy wszystkich modlitw, ale staraliśmy się dotrzymywać kroku gospodarzom i zmówiliśmy razem z nimi chyba półgodzinny pacierz. Spałem wtedy w jednym łóżku z Januszem Kozą. Rodzina, która nas przyjęła, była bardzo przejęta i poszła spać do stodoły, a nam odstąpili swoje łóżko małżeńskie.

Maria Mansfeld: Szybko zjawili się jacyś ludzie i nas sprawnie rozparcelowali pomiędzy siebie. Nikt nikogo o nic nie pytał. Nocowałam razem z Małgosią Małorzewską u jakiejś pani. To były bardzo skromne warunki, ale spałyśmy w każdym razie w łóżku, w cieple, miałyśmy gdzie wysuszyć rzeczy. To było wtedy marzenie! Część Marszu nocowała w tej stodole, gdzie potem było spotkanie z „Szarym". Oni mieli trochę gorzej,

Do naszej gospodyni wpadła na herbatę jej sąsiadka. Opowiadała nam, jak jako dziecko, mieszkając w Sancygniowie, przyjaźniła się z młodymi Deskurami i bawiła z nimi w parku, w ich majątku. Różnica pochodzenia, społecznego statusu nie miała znaczenia. Był tam też przyszły kardynał Andrzej Deskur, przyjaciel papieża. Ta pani opowiedziała, że przez całe dorosłe życie nie wyjeżdżała nigdzie poza swoją wieś i sąsiednie miasteczko, gdzie bywała na jarmarkach. Była zaskoczona naszym wielkim zdziwieniem tym faktem.

Maciej Gawlikowski: Zeszli się ludzie ze wsi i popłynęły wspomnienia. Okazywało się, że ktoś tam miał ojca, który służył u „Szarego". Inny wuja, którego oddział Hedy uwolnił z więzienia w Kielcach... Obcym by tego wszystkiego pewnie nie opowiadali. Znaleźli się nawet we wsi jacyś dwaj starsi ludzie, którzy byli w miejscowym oddziale pośrednio podlegającym Hedzie. Natychmiast wszystkie bariery znikły. Nikt tam o żadnej opozycji w latach 80. nie słyszał i żadnej bibuły wtedy nie czytał, ale wspomnienie partyzantki było żywe, mimo upływu 40 lat od zakończenia wojny.

Choiny

1986

Artur Then: W 1986 roku po raz pierwszy pojawiliśmy się w Choinach. Potem był to stały punkt programu Marszu. Miejsce nie tylko urokliwe, ale też bezpieczne. Żeby nas tam wyłapać, musieliby robić desant ze śmigłowców – dojazd wąską, piaszczystą drogą, zupełne zadupie. Ale Choiny to przede wszystkim kąpiele i wrzucanie się w ubraniach (lub bez) do wody. Każdy marszowy nowicjusz musiał odtąd zaliczyć wrzucenie do Nidy.

Była tam także stadnina i kto umiał jeździć konno, to miał okazję.

1987

Ludomir Olkuśnik (z zapisków marszowych): Metą jest przepięknie położone, właściwie już w lesie iglastym, gospodarstwo, obok którego przepływa Biała Nida, z czystą i wystarczająco głęboką wodą, aby można w niej przyzwoicie pływać.



Kadrówka 1985.



Po zakończeniu Marszu, dalsza część trasy do Częstochowy jako pielgrzymka w intencji odzyskania niepodległości. Stoją (od lewej): Witold Tukałło, Stanisław Florczyk, Zygmunt Pęksyk. Poniżej (od lewej):Przemysław Markiewicz,



Wiesław Gęsicki (trzyma krzyż), z książką Wojciech Formański i Robert Kulak, Małgorzata Małorzewska.

Na podwórzu gospodarstwa zamieszkanego przez starsze małżeństwo, leży sterta porąbanego drewna, prawdopodobnie przygotowany zapas na zimę. W czasie, gdy pluton służbowy przygotowuje jedzenie, męska część pozostałego towarzystwa, w ramach rewanżu za gościnę szybko i sprawnie przenosi drewno do przeznaczonej na nie szopy.

Po kolacji w czasie ogniska następuje zakończenie konkursu historycznego.

1988

Ludomir Olkuśnik: Wczesnym popołudniem docieramy do Choin, gdzie będziemy spędzać noc w tym samym co rok wcześniej, pięknie położonym gospodarstwie. Ponieważ jest to jedyne miejsce na trasie położone nad rzeką, nie tylko czystą, ale i odpowiednio dużą (Biała Nida), umożliwiającą swobodną kąpiel i prawdziwe pływanie, niemal wszyscy z niej korzystają.

Chęciny

Artur Then: W Chęcinach była tradycja robienia zbiorowego zdjęcia pamiątkowego. W tym samym miejscu, w ruinach. Najpierw wszystkim uczestnikom danego Marszu, a potem tym, którzy byli na dwóch Marszach, na trzech Marszach i tak dalej, aż zostawał chyba sam Pęgiel, który szedł we wszystkich Marszach od 1981 roku.

1989

Dionizy Krawczyński: W 1989 roku 12 sierpnia ekipa Mariusza Romana (chłopaki z PPN-u) chciała jak najszybciej dostać się do Kielc, bo wracała już do domów. Bardzo wcześnie wyszli więc z Brzegów i o świcie – zanim wsiedli do autobusu – pomalowali Chęciny. Jak myśmy rano weszli do Chęcin, to całe miasteczko było wymalowane znakami Polski Walczącej i napisami „PPN"". Po wyjściu z miasta rozeszła się wiadomość, że jednej osoby brakuje. Obawialiśmy się, że kogoś zatrzymano w Chęcinach za te napisy. Zbiegło się to z widokiem jadących od strony Kielc kilku samochodów milicyjnych. Dziewczyny zostawiliśmy w krzakach z cięższymi

rzeczami, a my wróciliśmy do Chęcin. Szybka decyzja – nie zostawimy nikogo z naszych! Wróciliśmy z przytupem – nie szliśmy już chodnikiem, tylko środkiem ulicy, czwórkami. Nie śpiewaliśmy, więc było słychać tylko łomot butów. Weszliśmy na rynek, stanęliśmy tyłem do urzędu miasta i czekaliśmy na rozwój sytuacji. W ramach niezadowolenia pozdejmowaliśmy tablice z napisami na magistracie. Wtedy okazało się, że nikogo nie brakuje, bo ktoś sobie przypomniał, że nieobecny odmeldował się wcześniej. Ale to wspólne wejście do Chęcin uświadomiło nam, że mimo różnic w poglądach, potrafimy stanąć wspólnie w jednym szeregu.

Szewce

Ludmiła Fastowicz: Żyło wtedy jeszcze wielu akowców. Ci z Kielecczyzny, którzy spotykali się z uczestnikami Marszu w Szewcach, wykorzystywali tę okazję do spotkań w swoim gronie. Według regulaminu Kadrówki obowiązywała prohibicja. Ale przecież nie gości! Jak się zjechali, zapraszali do siebie. Wspominki, gawędy do późnej nocy. I oczywiście wyciągali wtedy buteleczki. To były najczęściej wyroby własnej produkcji, różne nalewki i destylaty. Wyjątkowo smaczne.

1986

Anna Fischer: W Szewcach, w stodole na sianie, odbyły się na koniec Marszu w 1986 roku wybory komendanta Kadrówki 1987. Było dwóch kandydatów: dotychczasowy komendant Wojtek Pęgiel oraz Witek Tukałło. Mimo że byli bliskimi współpracownikami i kolegami, razem działali w KPN-ie, to stoczyli ze sobą wyjątkowo zaciętą walkę. Wybory były jawne, wyczytywano kolejno osoby uprawnione do głosowania i wtedy każdy podawał nazwisko swego faworyta. Trudna towarzysko sprawa...

Rodzina Fischerów wybrnęła z kłopotliwej sytuacji w ten sposób, że Teresa poparła Tukałłę, Anka – Wojtka, a Andrzej wstrzymał się od głosu. Wywołało to ogólną wesołość.



Kolumna marszowa na trasie E7. Z tabliczką Władysław Grodecki, Pierwsi od prawej Adam Słupek i Jacek Smagowicz. 1989 r.

1989

Ludomir Olkuśnik: Wyruszamy, jak w poprzednich Marszach, do Szewc. Nocować będziemy u tych samych co w poprzednich latach gospodarzy, a ponieważ zbliżamy się do końca wędrówki, czeka nas dzisiaj wybór komendanta przyszłorocznego Marszu.

Po kolacji i ostatecznym rozlokowaniu udajemy się na sąsiadującą z gospodarstwem łąkę, którą na jakiś czas zamieniamy w swoiste „pole elekcyjne". Jednym z kandydatów jest Wojtek Pęgiel, obecny komendant. Grupa z Pomorza Gdańskiego, skąd od wielu lat wywodzi się znaczący procent uczestników, w tym roku szczególnie liczna, dochodzi do wniosku, iż nadszedł czas, aby ktoś z nich kierował przyszłym Marszem i zgłasza kandydaturę Lecha Byczkowskiego, który zalicza już czwarty Marsz, w tym roku z synem Kiejstutem (2. Marsz) i chyba bratem Andrzejem (1. Marsz). W burzliwej kampanii wyborczej podkreślają, że kierowanie Marszem przez tych samych ludzi prowadzi do szkodliwego rutyniarstwa i dopuszczenie świeżej krwi na pewno wyszłoby Marszowi na korzyść. Krytykując nadmiar wojskowego drylu, z pewnością liczą na poparcie młodych. W głosowaniu wyraźną jednak przewagę uzyskuje Wojtek i on będzie ponownie przewodził kolejnemu Marszowi. Na taki wynik wyborów bez wątpienia niemały wpływ ma sytuacja polityczna, niesprzyjająca, żeby nie powiedzieć wroga idei Marszu. W takich warunkach miejsce zamieszkania przyszłego komendanta, bliskie terenom, przez które przemierza Marsz, stanowi wyraźny handicap.

12 sierpnia (piątek). Dzisiaj ostatni dzień Marszu, więc Marszowa Poczta Polowa funkcjonuje intensywnie od samego rana. W tym roku ma dwa stemple – z orłem strzeleckim i odznaką Pierwszej Strzeleckiej Szkoły Oficerskiej – zwanej Parasolem– więc procedura stemplowania kartek, kopert, śpiewników itp. jest dłuższa niż zwykle.

Po śniadaniu żegnamy miłych, już zaprzyjaźnionych gospodarzy i wyruszamy w ostatni etap.

Kielce

Artur Then: Dla Kielc, które – delikatnie mówiąc – nie były najbardziej wojowniczym miastem na opozycyjnej mapie Polski, było to duże wyda-

rzenie. Przychodzili akowcy, w tym duża grupa ze zgrupowania „Ponurego", przychodzili działacze Solidarności, na przykład Jerzy Stępień czy Michał Chałoński. Ten 12 sierpnia każdego roku był kieleckim świętem wolności.

Danuta Czechmanowska: Byliśmy już zawsze zmęczeni, też słabo odżywieni przez te sześć dni, a do tego dochodziła różnica temperatur między polem a kamiennym wnętrzem świątyni. Raz zdarzyło mi się zemdleć w katedrze, przy sztandarze i co roku takie przypadki były.

1981

Robert Kulak: Na powitanie Kadrówki w Kielcach w 1981 roku wyległ tłum ludzi. Na krakowskiej rogatce kielczanie ustawili makietę pomnika „Czwórki" i wmurowali kamień z tabliczką, że w tym miejscu stał pomnik zburzony przez Niemców w 1939 roku. Wśród znamienitych gości byli: płk Józef Herzog (wygłosił bardzo emocjonalne przemówienie i zasłabł), rtm. Michał Brzęk-Osiński – jedyny żyjący w Polsce żołnierz I Kompanii Kadrowej oraz kieleccy legioniści w maciejówkach Henryk Kadera oraz Seweryn Biernacki.

Maria Mansfeld: Zapisałam w zeszycie w 1981 roku: „Bijące dzwony. Powitanie przez biskupa na progu świątyni. Wkroczyliśmy w ordynku środkową nawą do rzęsiście oświetlonej i przepięknej katedry. Usiedliśmy przy stallach, blisko ołtarza. W stallach też trzej legioniści, z płk. Herzogiem". Kazanie o oddawaniu życia za społeczność, za przyjaciół. Zapisałam z niego jedno zdanie: „Polską można rządzić tylko miłością". Potem rozwiązanie Marszu: „Pod katedrą stanęliśmy w szeregu, wspólnieśmy odśpiewali hymn, »Legiony...«, »Hej, strzelcy wraz...«. Wielu ludzi śpiewało razem z nami. Łzy. Każdemu z osobna płk Herzog podziękował uściśnięciem ręki".

1984

Witold Tukałło: Kościół w Kielcach początkowo był do nas źle nastawiony. Nie lubili Piłsudskiego. Jak zamawiałem msze, to proboszcz mi mówił o tym, że Piłsudski się rozwodził, nie był dobrym katolikiem. Ja się łatwo wkurzam i powiedziałem mu krótko:



Kadrówka 1989.

– Albo ksiądz odprawia tę mszę, albo nie!

Na to akurat przyszedł ojciec Adam Studziński, nasz kapelan z Krakowa, dominikanin. Słysząc tę wymianę zdań, zaproponował:

– To, jeśli ksiądz pozwoli, ja odprawię tę mszę.

Temu księdzu z Kielc chyba zrobiło się trochę głupio. Potem już nie mieliśmy z nim żadnych problemów.

Danuta Kowacka: W 1984 roku rozeszła się w Kielcach wiadomość, że zostaliśmy zatrzymani po drodze. Do katedry przyszło bardzo dużo ludzi. Kiedy wychodziliśmy z kościoła w zwartym szyku i śpiewaliśmy „Pieśń konfederatów barskich" tak, że aż echo niosło, zerwały się brawa, niektórzy płakali.

1987

Ludmiła Fastowicz: Kiedy wchodziliśmy do Kielc w 1987 roku, wyglądaliśmy koszmarnie. Tam, gdzie jest skocznia, przy wyjściu z lasu, były takie koleiny po traktorze, że szliśmy w gliniastym błocie po kolana.

Komendantem był Witek Tukałło. Już na asfaltowym odcinku drogi, na początku Kielc, czekała na nas milicja. Krążyły suki i samochody z tajniakami. Szliśmy długą kolumną poboczem szosy w stronę cmentarza z kwaterą legionową. Kiedy zajechali nam drogę, ktoś rzucił hasło:

– Panie do środka, panowie na zewnątrz, najwięksi na przód!

Wyskoczyli mundurowi z suki i prawdopodobnie usiłowali wyciągnąć z naszego szyku Witka Tukałłę. Ruszyli w jego stronę, ale chłopaki przepchnęli ich i szliśmy dalej. Wiesiek Gęsicki, który szedł akurat z tyłu kolumny, podbiegł do przodu, widząc zamieszanie:

– Co się dzieje?

– Komendanta zwijają!

Wiesiek podwinął rękawy, zacisnął pięści i ruszył w kierunku milicjantów. Wyglądał tak groźnie, że pani Maria z Kielc wykrzyknęła:

– Dziecko, spokojnie! Tylko ich nie zabij!

Ludomir Olkuśnik: Nie zatrzymując się, przechodzimy dalej, nie reagując zupełnie na tę bez wątpienia zamierzoną prowokację. Nasze spokojne i zdecydowane zachowanie wybiło z uderzenia patrol milicji, który już nie poszedł za nami na cmentarz i cała sprawa rozeszła się po kościach.

Jan Kasprzyk: W roku 1987 byłem z rodzicami w Kielcach, moja mama jest kielczanką. 12 sierpnia, niedziela. Byłem z rodzicami w katedrze na mszy świętej, na którą weszło, czwórkami – jak w „Hubalu" – częściowo umundurowane, a częściowo cywilne wojsko, a organista zagrał „I Brygadę". Na mnie, wtedy bardzo młodym człowieku, wywarło to wrażenie niesamowite. Rodzice wytłumaczyli mi, że to rocznica wejścia I Kadrowej. A kiedy głębiej zacząłem o to pytać, to mama powiedziała: „Przed wojną były takie marsze z Krakowa do Kielc – wiem to od mojej mamy, a twojej babci – i ci młodzi ludzie starają się to jakoś kultywować". Kiedy wychodziliśmy z katedry, pamiętam rzędy suk milicyjnych. Szybko poszliśmy do domu.

Częstochowa

1982

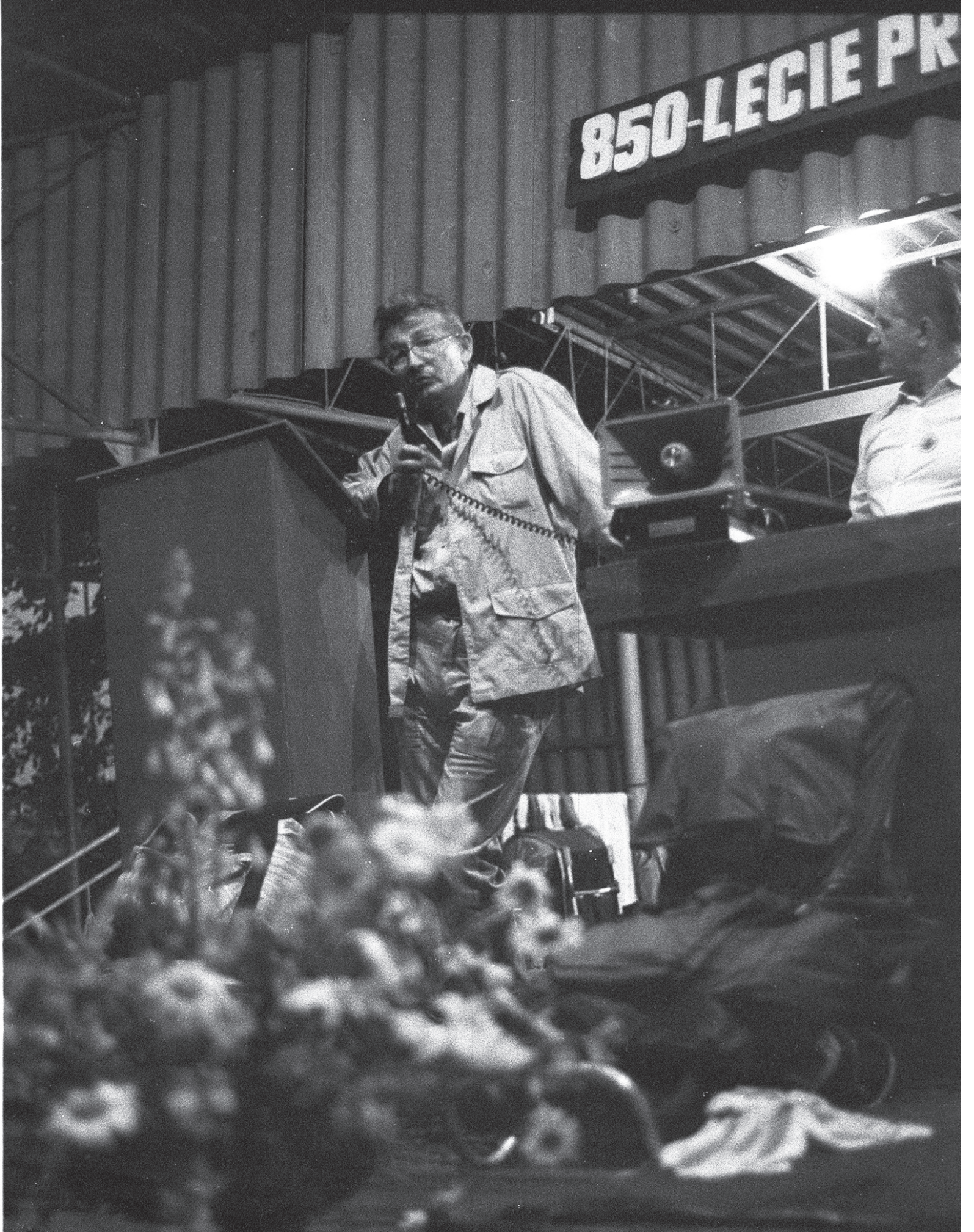
Ludomir Olkuśnik: Jest sierpień 1982 roku – obowiązują jeszcze przepisy stanu wojennego, a zatem zakaz wszelkich objawów życia społecznego. Nie można jednak przerywać ledwo odrodzonej tradycji. Marsz idzie tym razem jako pielgrzymka do Częstochowy przez Kielce. Jest więc krzyż pątniczy z odznaką marszową i napisem, o ile się nie mylę, „Pielgrzymka w intencji odzyskania niepodległości, szlakiem I Kompanii Kadrowej".

Maria Mansfeld: W 1982 roku w Kielcach uczestnicy Marszu postanowili pojechać jeszcze na Jasną Górę, na wejście pielgrzymek i wielkie uroczystości 15 sierpnia. Ktoś rzucił pomysł, nawet nie było dyskusji, było to oczywiste! Czy już wówczas mieliśmy jakieś transparenty – nie pamiętam. Nie jechałam wtedy z nimi, musiałam wracać do Torunia. Przedłużanie Marszu o tę część jasnogórską stało się tradycją, podobnie, jak malowanie przedtem po drodze transparentów. Nie zawsze udawało się bezkolizyjnie włączyć w jakąś pielgrzymkę, służby porządkowe pilnowały, by nie było politycznych akcentów. Pamiętam narady, w jakim miejscu wskoczyć, jak taktycznie rozwinąć hasła, by nie było za późno i nie za wcześnie.



1989 r. Pierwszy legalny Marsz od ośmiu lat.





Jak co roku od wyjścia z więzienia – Leszek Moczulski na Kadrówce. 1989 r.

1983

Małgorzata Słowik: Po Marszu w 1983 roku pojechaliśmy do Częstochowy i tam milicja usiłowała złapać Marka Bika. Zwrócił ich uwagę, bo miał na sobie kurtkę moro. Wtedy była w naszym kręgu moda na wojskowe elementy stroju. Pielgrzymi raczej preferowali inne stroje, więc rzucał się w oczy.

1984

Krzysztof Nowakowski: Po Kadrówce w 1984 roku pojechaliśmy z Kielc do Włoszczowy, gdzie Robert Kulak miał dom i zorganizował miejsce na plebanii, gdzie wikarymi byli ks. Andrzej Wilczyński i ks. Marek Łabuda. Tam spaliśmy. Rano poszliśmy z Włodkiem Olszewskim na targ, żeby kupić coś na śniadanie. Jak mijaliśmy Dom Partii, to wyszło zza kolumn dwóch facetów w prochowcach, jeden nadawał, a drugi zaczął nas legitymować. Usłyszałem w radiotelefonie:

– To ci, to ci. Brać ich!

Z piskiem podjechały z dwóch stron nysy i odkryty gazik z miejscowym komendantem milicji. Przewieźli nas na SB i tam przesłuchiwali. Powiedzieliśmy, że nie będziemy prowadzić żadnych dialogów. Po paru godzinach nas wypuścili i wrzucili nam ogon. Wiedzieliśmy, gdzie mamy się udać, ale nie pojechaliśmy tam wprost, tylko zmienialiśmy pociągi, gubiąc ogon.

Tymczasem nasi koledzy przemieścili się z pielgrzymką lubelską do Olsztyna pod Częstochowę, gdzie rozbili obóz poza pielgrzymką, pod zamkiem. Dotarliśmy tam z Włodkiem w nocy.

Małgorzata Słowik: W 1984 roku, kiedy stanęliśmy na ostatnim postoju w miejscowości Słowik na przedmieściach Kielc, od wieczora przez całą noc namalowaliśmy transparenty, z którymi po zakończeniu Marszu mieliśmy pojechać na Jasną Górę, aby zameldować się tam w samo święto 15 sierpnia. Jeden z nich nawiązywał do naszych przejść w Jędrzejowie i brzmiał, o ile dobrze pamiętam: „Maryjo, niesiemy Ci w darze 67 kolegiów".

W ostatnią noc przed wejściem do Częstochowy spaliśmy w stodole i rano przyjechały nyski milicyjne – chcieli nas zamknąć. Uciekliśmy

przez jakiś cmentarz i chyba nikogo wtedy nie zatrzymali. W samej Częstochowie doszło u bram Jasnej Góry do przykrego incydentu, bo zakonnicy przez megafony ostrzegali wiernych przed nami. Odmówili też podania komunikatu o wejściu pielgrzymki, która szła szlakiem I Kompanii Kadrowej w intencji niepodległości Polski, a każda wchodząca grupa była anonsowana przez megafony i witana wtedy oklaskami przez zgromadzone tysiące ludzi.

Konrad Zbrożek: W pociągu do Częstochowy wzbudzamy niezłą sensację. Nie tylko z powodu „partyzanckiego" wyglądu, ale i repertuaru piosenek, całkowicie nasz wygląd potwierdzających. Część z nas podróżuje w sposób poufny. Oni przewożą ogromny transparent i nade wszystko sztandar Kadrówki. Ale przeciwnik nie wykazuje większej aktywności. Do czasu. Chyba nie wierzyli agentom, którzy zapewne nas śledzili, że mamy zamiar wmaszerować na Jasną Górę w takiej intencji. Uwierzyli, gdy było już za późno. Zorganizowali zasadzkę w alei Najświętszej Marii Panny, tuż przed klasztorem. Byliśmy w kłopocie. Zgrupowaliśmy się w pobliskim kościele. Nasi informatorzy mówili o około 50 esbekach i nieznanej liczbie milicjantów, bo przecież wokół było ich multum. Właśnie wchodzenie na Jasną Górę rozpoczęły dziesiątki tysięcy pątników. Także obcokrajowców. Wysłany pospiesznie patrol uzyskał zgodę księży prowadzących pielgrzymkę, abyśmy włączyli się w ich grupę. Wmaszerowujemy w ich kilkutysięcznej rzeszy. Kilku z nas słyszy groźby doskakujących z chodników esbeków. Odpowiadamy spokojem na ich ujadanie. Już pod figurą MB jesteśmy samodzielną pielgrzymką. Paulini odmawiają nam zgody na wejście do klasztoru. Prawdopodobnie mieli nas za prowokatorów albo, co pewniejsze, nie podzielali naszych poglądów.

Krzysztof Nowakowski: Wylądowaliśmy pod murem klasztoru, gdzie rozwiesiliśmy transparent. Wejść do klasztoru paulini nam nie pozwolili:

– Tu nie będzie żadnej polityki!

– Nie o politykę nam chodzi, tylko o niepodległość!

– Odejdźcie z Bogiem!

Witold Tukałło: Oj, księżom nie spodobał się ten nasz transparent, z którym wchodziliśmy do Częstochowy. Ale ludziom się podobało i zawsze, jak wchodziliśmy, to oddźwięk był – wielkie brawa, palce w symbolu zwycięstwa, pozdrawianie nas.

1988

Jacek Lewandowski: W 1988 roku po Kadrówce wsiedliśmy do pociągu, który jechał do Częstochowy. Na peronie stali esbecy. Jak tylko pociąg ruszył, nastąpiła wymiana „uprzejmości" – bluzgaliśmy na nich, a oni na nas. Jak to na pielgrzymce! A potem pociąg był nasz: od śpiewania patriotycznych piosenek po rozdawanie ludziom ulotek.

W Częstochowie spaliśmy w jakichś salkach domu katechetycznego otwartych dla pielgrzymów. Chcieli nas stamtąd wywalić, ale powiedzieliśmy, że nie wyjdziemy, bo od lat tam śpimy. Któryś z księży wyłączył wobec tego światło i wodę w całym budynku. Zostaliśmy tam, zamknęliśmy się od środka. Kiedy rano wchodziliśmy z transparentami na plac poniżej wałów, paulin wywołujący kolejne wchodzące grupy, nie powitał nas. Była zupełna cisza, jak wchodziliśmy.

***

Danuta Kowacka: Marsz – to była taka siła przyciągania, że jak raz się poszło, poznało tych ludzi, to już nie było odwrotu. Czekało się z utęsknieniem na ten 6 sierpnia każdego roku. Pamiętam, jak chyba w 1987 roku



Komendant Pęgiel na czele. Kapelmistrz Hnatowicz ćwiczy śpiew kompanii. 1989 r.



Marsz w 1989 r. - erupcja radykalizmu najmłodszych uczestników. Następowała szybka dekomunizacja przestrzeni publicznej w mijanych miejscowościach – znikały komunistyczne tablice, symbole, tabliczki z nazwami ulic.



dojechałam dopiero na trasę, do Choin z Jackiem Torbiczem. Powitaniom nie było końca. Czułam się, jakbym wróciła po długiej nieobecności do wspaniałej rodziny.

Walery Tankiewicz: Czekało się każdej kolejnej Kadrówki jak najlepszych wakacji i ożywczego święta – radości spotkania przyjaciół, z którymi łączyły nas tak wspaniałe emocje i tyle wspólnych spraw. Przez cały rok miałem normalne życie – studia, kolportaż podziemnej prasy i książek, później nadawanie audycji Radia Solidarność i podobne „podszczypywanie" komunistów – ale w atmosferze coraz większej apatii i zniechęcenia dokoła. Taki trochę klimat beznadziei, jak z „Małej apokalipsy". Za to w sierpniu – feeria wolności! Tydzień funkcjonowania poza rzeczywistością komunistycznego państwa, tydzień prześpiewanych dni i przegadanych nocy...

Danuta Czechmanowska: Znajomości zawierane na Kadrówce były z reguły trwałe. Tydzień obcowania z kimś w trudnych warunkach, dzień i noc, pozwala się dobrze poznać. To cementuje. Widywaliśmy się także po Kadrówce. Jechało się do Warszawy, do Poznania, do Gdańska – już do przyjaciół.



Kadrówka 1989. Tadeusz Zyzik, żołnierz Armii Krajowej.

Witold Tukałło: Kadrówka w latach 80. była da mnie przede wszystkim związkiem przyjacielskim. To najważniejsze. Poza tym Kadrówka była narzędziem do wpajania ludziom, że musimy walczyć o niepodległość. Teraz to wszyscy rżną bohaterów i radykałów, ale wtedy większość uważała, że niepodległość jest – może kulawa, trochę wypaczona, ale jest. Słychać to było, kiedy śpiewaliśmy w kościołach „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie", a większość jednak „Pobłogosław Panie".

Zygmunt Pęksyk: Marsz budził w nas marzenia o niepodległej Polsce. I umacniał nas.

Walery Tankiewicz: To było niezwykłe przeżycie, jakiego życzyłbym każdemu młodemu człowiekowi przy wejściu w dorosłość – coś, co kształtuje osobowość na całe życie, a równocześnie jest wspaniałą przygodą.

Marek Bik: Przykład takich ludzi jak Heda, Majdzik, Florczyk, Izdebski były dla mnie motorem do dalszego działania. Ten pierwszy Marsz przerodził się w jakieś wskazanie drogi życia. Zetknięcie z takimi ludźmi w jednym czasie spowodowało to, że łatwiej było obrać drogę w życiu. Mówienie o niepodległości w tym czasie nie było ani popularne, ani akceptowane. A tutaj nasz radykalizm spotkał się z pełną akceptację. Ci ludzie nas utwierdzili w tym przekonaniu i nauczyli, żeby się nigdy nie poddawać. Gdybym nie znalazł się w tym miejscu i w tym czasie, to bym tych ludzi nie poznał i moje życie wiele by straciło.

Wojciech Frazik: Ranga Kadrówek była wielka. One były jednoznaczne ideowo i większość ludzi, którzy się tam pojawiali, poddawała się sile tej idei. Poza tym następowała integracja ludzi z całej Polski, którzy byli potem gotowi wspólnie działać.

Jacek Lewandowski: Kiedyś na postoju w Szewcach Zygmunt Łenyk usiadł i – jak to miał w zwyczaju – troszkę ględził, pozytywnie nas motywując. I nagle powiedział, że my sobie nie zdajemy sprawy z tego, ale w przyszłej Polsce niektórzy z nas będą odgrywali wielką rolę. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. A te słowa były prorocze: Sławek Skrzypek, Sławek Cenckiewicz, Wojtek Szczurek, Ujazdowski, sporo posłów, paru ważnych ludzi ze służb...

Marsz to nie była forma rajdu. To było coś głębszego. To było spotkanie ludzi, którzy chcieli zmieniać świat wokół siebie i działali czynnie w tym kierunku. To była też kuźnia patriotyzmu, coś, co kształtowało naszą osobowość. Taka zakaźna choroba, z której nie da się wyleczyć.

Przemysław Witek: Znaczenie Kadrówek było olbrzymie. Nie podejrzewałem nawet, że to się tak uda. To było spotkanie ludzi z całej Polski, którzy chcieli coś robić patriotycznie. To była wymiana bibuły, wiedzy, poglądów, tego, co można i czego nie można. Ktokolwiek z nas gdzieś się wybierał w inne miejsce Polski, to miał bazę – noclegi, kontakty, pomoc. Była to wspaniała szkoła patriotyzmu na skalę ogólnokrajową.

Adam Ostoja-Owsiany: Dla mnie ten Marsz był i jest żywym pomnikiem, który każdego 6 sierpnia kolejne pokolenia stawiają strzelcom I Kompanii Kadrowej i ich Komendantowi. Myślałem tak wtedy i dzisiaj myślę tak samo.

Po każdym Marszu szczegółowo opowiadałem wujkowi Rutkowskiemu – legioniście, jak było tym razem. W tych rozmowach sam po raz kolejny przechodziłem jego etapy, niejako przeżywałem je raz jeszcze. Pewnie także dlatego w mojej pamięci obrazy z Kadrówki przez te lata wcale nie wyblakły. Zresztą, oprócz tego bym opowiedział o Marszu, wuj Rutkowski oczekiwał także ode mnie pisemnych sprawozdań.

Dionizy Krawczyński: Ponieważ brałem udział w Kadrówkach końcówki lat 80. i w Kadrówkach późniejszych (dziś jestem komendantem Marszu), więc mogę je porównać. Czasy się zmieniły. Tamten rozdział jest zamknięty. Nie możemy wrócić już do wspólnego robienia jedzenia, bo nikt tego nie będzie robił (nie mówię nawet o reakcji sanepidu w razie kontroli). Czas wspólnego robienia kanapek to był czas wspólnych rozmów o całkowicie prywatnych sprawach, o których dzisiaj ludzie boją się mówić. Nie wiem dlaczego. Wtedy uczestnicy Kadrówek to była grupa znajomych z całego kraju, która mimo że widywała się raz czy kilka razy w roku, wiedziała o sobie prywatnie bardzo dużo. Dzisiaj ludzie widują się na Kadrówce raz w roku, potem popiszą ze sobą na fejsie, ale jest to całkowicie inny klimat. Jak pada na Kadrówce dzisiaj jakiś trudny temat, to ludzie boją się o tym rozmawiać. Odnoszę wrażenie, że boją się z kimś pokłócić czy nawet wejść w spór. Widać strach przed rozmową. A ja wte-

dy mogłem się z Wieśkiem Gęsickim nie zgadzać na wiele tematów, ale przychodził wieczór, siadaliśmy wspólnie przy ognisku i rozmawialiśmy. Szanowaliśmy się za to, co robimy. Byliśmy po tej samej stronie. Cel był wspólny – niepodległość, a różnice dotyczyły tylko sposobów.

Jacek Torbicz: Współczesne Marsze podobają mi się. Nie jestem z tego gatunku ludzi, którzy wybrzydzają na współczesną młodzież. Fajnie, że ktoś podtrzymuje tradycję. Dobrze, że młodym ludziom chce się iść, w końcu to jest ciężka harówa – przejść te 30 km dziennie. Dziś mają pecha, że nikt ich nie zamyka, nie goni. Nie ma tej adrenaliny. Nie mają tych emocji, co my kiedyś.

Dionizy Krawczyński: Z ludzi, którzy chodzili na Kadrówki w latach 80., zostało na Marszu jakieś 10 osób: Wojtek Formański (jako jedyny chodzi od pierwszego Marszu!), Zbyszek Szmiel, Andrzej Fischer, Lusia Fastowicz, Danka Jasińska, Zygmunt Pęksyk, Tolek Piekałkiewicz, ja... Kilka osób pokazuje się jeszcze na Marszu regularnie, ale już nie chodzi, jak Przemek Witek. W zeszłym roku mieliśmy osiem pogrzebów...

Czas zadbać o pamięć o Marszach.



Uroczystość zakończenia Marszu w Kielcach w 1989 roku.



Uroczystość zakończenia Marszu w Kielcach w 1989 roku.


1 PLUTON

Dariusz Wojtowicz
Jerzy Woźniak
Ewa Wrzesińska.

Indeks nazwisk

A
Abraham Roman: 37, 42, 47, 48, 50, 53, 62, 78, 102, 361
Albiniak Andrzej: 180, 207, 217, 358, 366
Alf-Tarczyński Tadeusz: 175
Anders Ryszard: 179
Andrusikiewicz Tomasz: 176, 233, 240, 243
Andrzejewska Renata: 136, 140, 260
Arczyński Wojciech: 122
Augustowski Zygmunt: 51, 53-55, 99

B
Barański Władysław: 153
Bąk Adam: 181
Bednarczyk Tadeusz: 99, 189
Belina-Prażmowski Władysław: 130, 201, 225,
Beria Ławrientij (Wawrzyniec): 187, 189
Bezeg Henryk: 33-34, 67, 74, 79, 88-89, 91, 94, 98-99, 106
Bieda Franciszek: 122
ks. Bielański Janusz: 180
Bielecka Małgorzata: 124
Biernacki Seweryn: 129, 148, 175, 340
Bigaj Marian: 144
Bigaj Zofia: 180
Bik Marek: 131, 134, 140-141, 145-146, 149, 151, 157, 162, 165, 176, 187, 189, 191, 195, 197, 200, 220, 222, 224, 225-226, 228, 271, 283, 293, 299, 315, 325, 328, 347, 353, 366
Bittner Ludwik: 26
Bocian Ryszard: 157, 162, 235, 243, 244, 318, 363, 366
Bogacz Janina: 278
Borkiewiczowa: 72

Boroń Piotr: 206
Boroń Piotr Maria: 111, 119, 122-126, 130, 134-135, 140-141, 144, 177, 186, 206, 211, 252, 258, 260, 262, 277, 281, 282
Boruta-Spiechowicz Mieczysław: 37, 38, 41-43, 45-48, 52-53, 59-60, 62-65, 67-72, 79-82, 89-90, 94, 96, 99, 102, 110-111, 122, 124, 126, 130, 145, 176, 186-187, 200, 361-362, 369
Borzęcki Andrzej:122
Bukowski Jerzy: 160, 232, 366
Bukowski Jerzy: 161, 363
Breżniew Leonid: 266
Bruliński Władysław: 58
Brykowicz-Waksmundzka Katarzyna: 122
Brzęk-Osiński Michał Tadeusz: 126, 129-130, 176, 340
Burchardt-Bukacki Stanisław: 152
Byczkowski Andrzej: 339
Byczkowski Kiejstut: 179, 339
Byczkowski Lech: 164, 170, 179, 254, 324, 339

C
Cenckiewicz Sławomir: 171, 181, 256, 353, 366
Chałoński Michał: 122, 130, 161, 176, 233, 340
Chlebowski Cezary: 194
Chmielewski Zenon: 176
ks. Chojnacki Adolf: 171
bp Choromański Zygmunt: 51
Chudziak Andrzej: 179
Chrząszczewski Wincenty: 51
Cohn Ludwik: 101
Cybulski Andrzej: 169, 179
Czajkowski Władydaw: 175
Czarnecki Zygmunt Jerzy: 156, 175
Czechmanowska Danuta: 165, 179, 213, 226, 261, 340, 352, 367
Czerniewski Kazimierz, ps. „Korebko": 194, 197
Czuma Andrzej: 92, 94, 98, 101
Czyżewski Ludwik: 175
Czyżowski Kazimierz Andrzej: 41, 74, 79, 88

D
Dalewski Tadeusz: 64, 67-68, 74
Daniszewska Zofia: 180
Darowski Tadeusz Karol: 190, 192
Daszuta Katarzyna: 180, 247
Dąbrowa-Kostka Stanisław: 81
bp Dąbrowski Bronisław: 59, 100
Dąbrowski Jan Henryk: 18
Dąbrowski Tadeusz: 122
Denhoff-Czarnocki Wacław: 118
Degórska-Czybowska Danuta: 163
ks. Deskur Andrzej: 332
Dębicki Stanisław: 175
Dębosz Jan: 60, 63, 68-71, 73, 79, 81-82
Dobrowolski Jerzy: 137, 147-148, 153, 156-157, 162, 165, 169, 174, 178, 186, 203, 206, 208-209, 213, 225-226, 234-235, 246, 261, 273, 279, 283, 290, 293, 308, 330, 367
Dobrowolski Stefan: 149
Dobrzański Jan: 163, 175
Domińczyk Mirosław: 125, 238
Dorembowicz Bolesław: 72
Dronicz Stanisław: 171
Duch Bronisław Bolesław: 30
Dumanowska Katarzyna, patrz Staniszewska Katarzyna
Dymacz Edward: 144
Dykacz Lesław: 170, 207, 229, 244, 280, 367
Dziarmaga-Działyński Zygmunt: 40, 49, 53-54, 78
Dziatko Bogusław: 153, 179, 322-323

F
Fastowicz Ludmiła: 165, 179, 200, 207, 217, 234, 246, 278, 337, 342, 355, 367
Feill Małgorzata: 181
Ferczyk Zbigniew: 122
Ferster: 56
ks. Figlewicz Kazimierz: 28, 79, 110, 127
Fischer Andrzej: 11, 122, 124, 134, 146, 147-149, 164, 169, 171, 179, 195, 200, 253, 308, 337, 355, 367

Fischer Andrzej: 144, 160-161, 364
Fischer Anna: 11, 147, 149, 178, 288, 300, 302, 306, 330, 337, 367
Fischer Iwona: 119
Fischer Teresa: 147, 179, 195, 322-323, 337
Florczyk Stanisław: 178, 198, 330, 334, 353
Formański Wojciech: 11, 124, 177, 245, 322-323, 330, 334, 355, 367
Frazik Wojciech: 140, 141, 144, 184, 206, 216-217, 220, 229, 234, 260-261, 286, 353, 367
Friszke Andrzej: 101, 362

G
Gaczoł Andrzej: 122, 364
Gawlikowski Maciej: 137, 156, 157, 162-163, 178, 189, 203, 206, 208-210, 212, 226, 235, 244, 260-261, 279, 288, 292, 294-295, 330, 332, 367
Gawlikowski Maciej: 79, 99, 125-126, 145, 165, 362, 364, 365
Gardy Stanisław: 177
Gąsiorek Marian: 68-69, 71
Gąsiorowski Krzysztof: 112
Gemser Andrzej: 131, 363
Gęsicki Wiesław: 12, 146, 156, 171, 178, 215, 241-243, 257, 287, 306, 324, 334, 342, 355, 358
Gilewski Włodzimierz: 54
Głowiński Marian: 175
Godecki Stanisław: 74
Gołębiewski Marian: 40, 94
Góra Tadeusz: 62, 69, 86
Grabowski Roman: 176
Gren Jerzy zob. Ziółkowski Henryk
bp Groblicki Julian: 111
Grodecki Władysław: 163-164, 179, 338
„Grot", zob. Rowecki Stefan
Gruca Kazimierz: 176
Grzędziński January: 39, 74

H
Hall Aleksander: 112
Heda Antoni, ps. „Szary": 12, 153, 163, 175, 191, 194-197, 320, 331-332, 353,

Hejduga Marta: 178, 266
Helfer Jan: 114, 127, 174, 192, 256
Hempel Stanisław: 39
Henisz Emil: 74
Herwin-Piątek Kazimierz: 152
Herzog Józef: 28, 34, 35, 41, 53, 64, 68, 69, 72, 74-75, 79, 80-83, 86-89, 94, 108-109, 119, 122, 127, 130-131, 176, 184, 186,188, 191, 201, 204, 238, 255, 264, 271-272, 340, 361
Herzog Józef: 28, 34, 41, 54, 64, 72, 86, 362
Hnatowicz Roman: 12, 140, 156, 157, 162-165, 178, 200, 234-235, 242, 251, 261, 280, 301-302, 349,
Hudzicki Antoni: 80, 127, 174
Hyc Jan: 74

I
Ike-Duninowski Karol: 246
Iranek - Osmecki Kazimierz: 175
Izdebski Andrzej: 12, 128, 131, 134, 140-141, 151, 153, 176, 194, 199, 204, 211, 216, 262, 265-267, 353
Izdebski Andrzej: 131, 363, 366

J
Jagmin-Sadowski Jan: 48
Jakubowski Stanisław: 177
Janke Zygmunt: 33
ks. Jankowski Henryk: 202
Jankowski Roman: 169, 179
Janowski Józef: 178, 286, 293, 294
Jarnuszkiewicz Czesław: 169, 175
Jarosz Janusz: 112
Jarzembowski Aleksander: 176
Jasińska Danuta: 171, 180, 355
ks. Jaskółowski Józef: 35
Jaworski Marian: 122, 125, 238, 240
bp Jaworski Mieczysław: 152, 210, 276, 279
Jellenta Stefan: 51, 72, 74, 174
Jędras Andrzej: 146, 178

Jędras Krystyna, zob. Klima Krystyna
Jędras Krystyna: 144, 160 , 161, 364
Jędrzejewicz Wacław: 174
Joachimiak Małgorzata: 153, 157, 178, 225, 228, 322-323
Józewski Henryk: 33-34
Jóźwik Sławomir: 177
Jurczak Stefan: 122
Justa Zbigniew: 181

K
Kaczyński Mirosław: 165, 179
Kadera Henryk: 129, 148, 175, 340
Kalas Maria, patrz Mansfeld Maria
Kalisz Jakub Edward: 135, 365
Kalisz Piotr Andrzej: 141, 364
Kałka Adam: 149
Kamiński Franciszek: 26
Kamiński Mieczysław: 175
Kamiński Olimpiusz Jan: 50, 78-79
Kamirski Władysław: 74
Kamocki Janusz: 122
Kantor Lucjan: 119
Kasprzyk Jan Józef: 171, 260, 343, 360, 367
Kasprzyk Jan Józef: 10, 118, 125, 135, 365
Kasprzyk Teresa Maria: 135, 365
Kaszubski Alojzy: 147, 175
Kawalec Anna: 122
Kąkol Kazimierz: 100
Kęcki J.: 149
Kiepura Jarosław: 164, 178, 241, 243, 257, 280
Kinaszewska Danuta, patrz Kowacka Danuta
Kisiel Celina: 177, 240, 266, 269, 284
Klama Krzysztof: 181
Kleszczyński Edward: 175
Klima Krystyna: 136, 178, 202, 260, 367
Kluba Irena: 180
Kluba Joanna: 180

Klucznik Kazimierz: 177
Klucznik Kazimierz: 122-123, 125-126, 129, 364
Kłobucka Danuta: 180
Koczur Maria: 12, 151, 300, 330
Koczwara Józef: 55
Kołodziejczyk Stanisław: 74
Komarnicki Tytus: 89
abp. Kominek Bolesław: 59
Konik Janusz: 177, 233
Konstantynowicz Bogdan: 246
Koprowski Eugeniusz: 177
Korczyński Stanisław: 28, 35, 61, 65, 68, 72-73, 79
„Korebko", patrz Czerniewski Kazimierz
Korkozowicz Jan: 39
Korpas Joanna: 122, 123, 125, 140, 177, 211
Kot Andrzej: 179, 300
Kotarba Janusz: 12, 268-279, 300
Kotarba Katarzyna: 226
Kowacka Danuta: 137, 140, 157, 178, 215-216, 226, 228, 261, 342, 349, 367
Kowalski Wincenty: 130, 174
Koza Janusz: 157, 170, 177, 238, 332, 367
Koźmiński Paweł: 136, 141, 176, 211, 220, 243, 260, 266, 274
Krawczak Tadeusz: 38, 47, 362
Krawczyk Tadeusz: 62
Krawczyński Dionizy: 170-171, 174, 181, 256, 336, 354-355, 367
Krawczyński Rafał: 246
Krcha Miłosz: 180
Krok-Paszkowski Henryk: 152
Król Krzysztof: 153
Królikiewicz Mieczysław: 73, 122, 174
Kruk-Kruszewski Jan: 152
Krzyczkowski Józef, ps. ,'Szymon": 40, 48
Krzymowski Bolesław: 33
Krzysztoporski Adam: 107
Ksel Marianna: 176
Kubicki Michał: 74
Kuczalski Andrzej: 81-82

Kudła Andrzej: 177
Kudła Dariusz: 177
Kulak Robert: 119, 122-126, 130, 137, 141, 146, 148, 151-152, 156-157, 161-162, 176, 186, 190, 199, 212, 222, 241, 264, 272, 276, 324, 331, 334, 340, 347, 363, 366
Kulikowski Julian: 50
Kuliński Henryk: 122
Kułakowski Stanisław: 177
Kummant Leopold: 94, 95
Kuroń Jacek: 66, 100-101, 361-362
Kurowski Jacek: 178, 290, 293, 312
Kurska Anna: 12, 179, 251, 253
Kurzyniec Marek: 168
Kuś Stanisław: 122, 153
Kwiatkowski Eugeniusz: 83, 86
Kwasiborski Józef: 56
Kwiecień Józef: 81
Kwiecień Stefan: 128

L
Lamers Jan: 27
Lange Krzysztof: 180
Lange Patryk: 179, 246
Laskowski Wincenty: 180
Laskus Małgorzata: 181
Lasoń Józef: 31, 32
Laubner Wilhelm: 105
Leszczyc-Przywara Stanisław: 96, 102, 122, 127, 174, 184, 188, 204, 264
Lewandowski Jacek: 165, 169, 215, 218, 228, 235, 242, 246, 349, 353, 367
Lewandowski Mirosław: 9, 79, 99, 125-126, 145, 165, 362, 364-365
Lewicki Adam: 74
Lidwin Tadeusz: 175
„Lin", patrz Żółkiewski Antoni
Lipiński Edward: 101
Lipiński Wacław: 124
Lipka Jacek: 246
Liszko Stefan: 175

Ł
ks. Łabuda Marek: 148, 347
Łakomiec Krzysztof: 122, 131, 177
Łenyk Szymon: 181
Łenyk Zygmunt: 146, 151, 160, 174, 178, 215, 223, 227, 308, 322-323, 331, 353, 367
Łobodziński Jan: 80, 122, 127, 131, 174
Łoś Marek: 137, 206

M
kard. Macharski Franciszek: 206, 210
Mackiewicz Józef: 58
Maczek Stanisław: 175
Maćkowiak Jarosława: 179, 241, 243, 300
Madejski Eugeniusz: 128
Majchrowicz Edmund: 180
Majchrowski Jacek: 130, 365
Majdzik Mieczysław: 12,131, 151, 176, 194, 197-198, 288, 299, 308, 353,
Majski Iwan: 30
Makowska L.: 149
Malaga Andrzej: 177
Malewski Adam: 99-100, 104-105, 361
Malik Andrzej: 122
Małachowski Grzegorz: 119, 122, 124, 206
Małachowski Grzegorz: 122, 124, 126, 134, 363-364
Małorzewska Małgorzata: 222, 330, 332, 334
bp Małysiak Albin: 152, 175
Mansfeld Maria: 124, 135, 165, 177, 197, 199, 210, 216-218, 220, 222, 225, 227, 240, 246, 254, 264, 266-267, 270-272, 274, 282, 330, 332, 340, 343, 367
Maxymowicz-Raczyńska Jadwiga: 174
Marcinek Andrzej: 137, 141, 144, 146-147, 151, 162-163, 178, 186, 301, 307
Marcinek Małgorzata: 137, 147, 178
Marcinek Zofia: 137, 147, 179
Marcinkiewicz Zygmunt: 180
Markiewicz Mirosław: 146, 178, 322, 330, 334
Markiewicz Przemysław: 146, 151, 178, 198, 215, 241, 367

Markowski Marian: 74
Martyniak Kazimierz: 73, 80, 109, 122, 127, 174, 188, 265
Mazurczyk Michał: 246
Mazurkiewicz Aleksander: 74
Mazurkiewicz Jan, ps. „Radosław": 39, 78, 95
Mączka Krzysztof: 177
Melak Stefan: 204
Michalak Elżbieta: 180
Michałek Agata: 162
Mierzwa Janusz: 122, 365
Migdał Stefan: 64, 114, 127, 174, 184, 265
Mikołajczyk Jarosław: 177
Milner D.: 149
Mirek Stanisław: 175
Moczar Mieczysław: 36
Moczulska Maria: 244
Moczulski Leszek: 10, 92, 93-95, 98, 101, 125, 129, 148, 151, 153, 157, 160, 163, 169, 171, 175, 244-245, 279, 318, 321, 346, 363
Moczulski Leszek: 6, 10, 21, 130, 366
Mohl Artur: 283-284, 306, 328
Mohl Jerzy: 131, 145, 148, 176, 191, 202, 225-226, 232, 282, 283, 289, 298, 303, 306, 308, 325, 367
Molęda Jan: 128
Moskalik Witold: 82
Mrowiec Władysław: 177
Murań Maciej: 181
ks. Musiał Tadeusz: 135, 147, 152
Muszkiet-Królikowski Henryk: 118
Muszyński Wojciech: 181
Muzyczka Ludwik: 9, 25, 30-32, 33, 36, 40, 43, 46-48, 53, 59, 65-67, 74, 80-82, 86, 361

N
Nakonieczna Maria: 179
Nawrocka Janina: 179
Nawrocka Janina: 144, 160-161, 364
Niepokólczycki Franciszek: 27, 40, 50, 53-55, 361

Niepokulczycki Hipolit: 40
Nowak Edward: 180
Nowak Juliusz: 128
Nowak Tadeusz: 28
Nowak Tadeusz Janusz: 11, 113
Nowakowski Krzysztof Z.: 11, 131, 137, 141, 144-149, 151-152, 157, 178, 184, 186, 194, 197-199, 209, 232, 234, 241, 243, 251, 253, 286, 294, 330, 347-348, 367
Nowakowski Krzysztof Z.: 118-119, 123, 134-135, 141, 145-146, 148-149, 152-153, 157, 160, 168, 365
Nowakowski Ludwik: 60, 64, 80, 108, 109, 122, 141, 174
Nowiński Dariusz: 123-125, 130, 364, 366

O
Olkuśnik Ludomir: 164, 169, 178, 200, 220, 235, 253, 266, 268, 276-281, 284, 288, 306, 309, 318, 324, 333, 336, 339, 342-343
Olkuśnik Ludomir: 122-123, 125-126, 129, 134-136, 141, 144-149, 162-163, 170, 364, 366
Olpeter Anna: 180, 215, 246
Olszewski Jan: 66
Olszewski Włodzimierz: 134, 141, 146, 148, 171, 178, 266-267, 293, 347
Orlik-Rückemann Wilhelm: 26, 175
Orzeł Marta: 177
Osmenda Łukasz: 174, 277, 364, 366
Osmenda Stanisław: 169, 277
Osmenda Zofia: 169, 277
Ostoja-Owsiany Adam: 147, 149, 178, 245, 308, 354, 367

P
Pachota Jerzy: 164, 179, 280
Pajdak Antoni: 66, 101, 175
Papee Adam: 175
Pasiecznik Ferdynand: 176
Patyna Jacek: 179
Pawlak Waldemar: 180
Pawłowicz Jacek: 162, 164
Pawłowska Krystyna: 11

Pawłowski Ferdynand: 86, 174, 189
Pażucha Beata: 179, 322-323
Pełczyński Tadeusz: 175
Pęgiel Wojciech: 5, 11, 12, 86, 113, 119, 122, 124-125, 130-131, 134-137, 141, 144, 146-147, 151-152, 156-157, 161-164, 168-170, 174, 176, 186, 189, 196, 200, 203, 206, 212, 216, 218, 226, 229, 240, 253, 260, 264-265, 281-282, 292, 301, 303, 322-323, 336-337, 339, 349, 363, 366
Pęksyk Zygmunt: 170, 196, 223, 299, 334, 353, 355, 367
Piątkowski Hipolit: 74
Piekałkiewicz Antoni: 162, 164, 169, 179, 203, 206-207, 217, 280, 355, 367
Piekałkiewicz Antoni: 135, 365
Piekarz Tadeusz: 122
Piłsudska Wanda: 169, 175
Piłsudski Józef: 12, 14, 16, 17, 19, 20, 27, 29, 30, 33, 38-40, 42-43, 53, 70, 72, 74, 78, 80-83, 87- 89, 91, 93, 98, 104, 118-119, 123, 125-129, 131, 134, 137, 144, 168, 191, 216, 223, 228, 238, 246, 256, 260, 273, 278, 302, 309, 340
Piotrowska Bożena: 177
Piskozub Paweł: 31, 32
Piwowarski Marek: 176
Pluciński Wojciech: 256
Pluta-Czachowski Kazimierz: 9, 25-27, 31-35, 38-43, 48, 50-51, 53-58, 62, 72, 74, 78, 83, 88-89, 91, 94-95, 98-101, 106, 194, 361
Podlewski Stanisław: 32
Podlewski Stanisław: 62
Polak Wojciech: 165, 169, 365
Polański Józef: 122
Posemkiewicz Władysław: 74
Potocka Halina: 163
Przecławski: 51
Przeradowska Joanna: 177
Ptak Apolonia: 181, 251
Pycak Grzegorz: 181

R
„Radosław", zob. Mazurkiewicz Jan
Radwan-Pfeiffer Edward: 30
o. Rakoczy Eustachy (właśc. Bolesław): 52

Raszka Jan: 225
Ratajski Cyryl: 42
Reszka Marek: 180, 247
Rogoziński T.: 149
Roman Mariusz: 171, 174, 181, 256, 336
Romaniuk P. Marian: 46, 362
Romanowski Zbigniew: 147, 162, 209, 243, 328
Roliński Adam: 148, 176, 186, 225, 239, 307, 367
Rosen-Zawadzki Kazimierz: 176
Rowecki Stefan, ps. „Grot": 25, 33, 42, 95
Rozpondek Krzysztof: 181
Rożnowski Jan: 163, 176
Rudnicki Klemens: 169, 175
Rutkowski Stanisław Bożywoj: 91, 106, 147, 174, 245, 354
Ryba Małgorzata, patrz Małorzewska Małgorzata
Ryba Zbigniew: 177, 330
Rybak Józef: 16-17, 18,
Rybarczyk Sebastian: 162, 246
Rybicki Józef: 39, 66, 94
Rychlik Emil: 176
Ryczek Bronisław: 267
Rzepecki Jan: 25, 50, 72
Rzepecki Władysław: 122

S
Sabat Zdzisław: 156, 240
Sabbat Kazimierz: 169, 175
Sabuda Paweł: 157, 162, 186, 202, 235, 269, 271, 367
Sanojca Antoni: 26, 55, 175
Sanojcowa patrz Włodek-Sanojcowa Jadwiga:
Salmonowicz Stanisław: 65, 361
Sarnat Marzena: 177
Sawicki-Sawa Kazimierz: 30, 39
Schejbal Katarzyna: 286, 294
Sidorczuk Dariusz: 261, 293, 294
Siedlecki Andrzej: 181
Sieradzan Michał: 325

Sikora Wacław: 122
Sikorski Antoni: 33-34, 39, 51, 99, 147, 175
Sikorski Władysław: 30, 42, 186, 267
Skotnicki Adam: 67, 127, 174
Skotnicki Stanisław: 130
Skórzyński Jan: 66, 101, 362
Skrobot Ryszard: 149
Skroczyński Albin: 50
Skupin Krzysztof: 181
Skrzypek Sławomir: 146, 157, 164, 179, 353
Skwarczyński Stanisław: 2, 30, 39
Sławek Walery: 130, 153
Słomka Adam: 153
Słomski Jacek, patrz Lewadowski Jacek
Słowik Anna: 176, 227, 243, 284, 292, 367
Słowik Małgorzata: 134, 135, 140, 148, 176, 227, 242-243, 265-266, 269, 273, 278, 281, 283, 287, 289, 293, 295, 300, 302-303, 347, 367
Słowik Wojciech: 135, 137, 145, 148, 177, 194, 196, 202, 224-225, 227, 233, 243, 264, 266-267, 271, 273, 278, 282, 287, 293, 295, 298, 325, 328, 367
Słupek Adam: 147, 151, 178, 338
Smagowicz Jacek: 162, 169, 180, 338
Smagowicz Miłosz: 181
Smolar Aleksander: 100
Smolarski Władysław: 61
Sobejko Stanisław: 73, 114
Sonik Bogusław: 122
Sosabowski Stanisław: 78
Sosnkowski Kazimierz: 29
Sosnowski Krzysztof: 179
Stachiewicz Mieczysław: 176
Staniec Marian: 147, 177, 241
Staniewicz Restytut: 129
Staniewicz Witold: 129
Staniszewska Katarzyna: 180, 247, 367
Stański Tadeusz: 152
Starzyński Stefan: 42
Stawiarski Andrzej: 10, 134, 141, 151, 177, 221, 243, 251, 300

Stawicka Anna: 146, 322-323
Steckiewicz Włodzimierz: 122-123, 125, 130, 140-141, 144, 160, 177, 211
Steinsberg Aniela: 101
Stępień Jerzy: 122, 309, 340
Stępień Radosław: 246
Stolarski Dariusz: 162, 164
Strojny Tadeusz: 175
Strugowa Nelly: 74
Strzelewicz Łukasz: 181
Strzębała Roman: 11, 130, 135, 146, 157, 161-162, 176, 233, 262
ks. Studziński Adam (właśc. Franciszek): 62, 69-70, 80, 111, 122, 125-129, 148, 168, 175, 184, 210, 244, 258, 268, 298, 342
Suliński Józef: 175
Surgot Mieczysław: 181
„Szary", zob. Heda Antoni
Szczurek Wojciech: 146, 178, 251, 253-254, 322-323, 353
Szczypiorski Andrzej: 101
Szeremietiew Romuald: 92, 152, 171, 245, 256-257
Szewczuk Zdzisław: 181
Szkutejski Zygmunt: 74
Szmiel Zbigniew: 11, 178, 196, 330, 355, 367
Szomański Andrzej: 153, 241-242
Szpakowski Zdzisław: 128
Szwarc Janina: 179, 246

Ś
Ścisłowicz Małgorzata: 178, 289, 312, 367
Śliwa Bogusław: 221
Śliwczyński Włodzimierz: 232
Śliwczyński Włodzimierz: 118, 365
Śmiech Marek: 177
Śmigły-Rydz Edward: 39, 40, 42, 118, 131, 303, 319
Świątek Małgorzata: 181
Świątek Maciej: 181

T
Tankiewicz Walery: 137, 140, 146, 157, 162, 178, 222, 228, 251, 253-254, 287, 290, 352-353, 367
Tatar Stanisław: 26, 49-50, 72, 95
Tatara Stanisław: 177
Teliga Józef: 122, 124-125, 177, 191, 365
Then Artur: 137, 148-149, 152, 156-157, 162, 169-170, 178, 186, 189, 194, 197, 214, 217, 222, 226, 228, 233, 261, 283, 289-290, 293-295, 299, 306-307, 333, 336, 339, 367
Torbicz Jacek: 137, 140, 148, 151, 157, 178, 213, 216, 225-226, 260-261, 279, 282-283, 290, 293, 302, 352, 355, 367
Toś Witold: 146, 151, 157, 226
Trzeciecki Florian: 80, 114
Tukałło Witold: 122, 137, 141, 144-145, 146, 148, 151, 156-157, 160-163, 177, 194-196, 199, 203, 208-209, 220, 232-233, 246, 268, 287, 289, 299-301, 303, 330, 334, 337, 340, 342, 348, 353, 367
Twardo Stanisław: 74

U
Ujazdowski Kazimierz Michał: 246, 320, 353,
ks. Umiński Jan: 163, 175, 318, 321
Urbańczyk Franciszek: 181

W
Wachowiak Maciej:181
Waluś Artur: 180
Wałęsa Lech: 122, 146, 175, 200, 202, 253
Warchał Iwona: 177, 227, 243, 266, 269, 281, 286
Weiss Przemysław: 50-51, 57, 75, 79, 361
Wejnerowski Mieczysław: 176
Wenklar Michał: 165, 365
Wereszycki Henryk: 174
Wesołowski Jerzy: 128, 191, 208
Węglarski Jerzy: 119, 122, 130
Wiatr Marcin: 179
Wicher Andrzej: 180
Wieczorek Janusz: 43

Wierzbicki Jan: 124, 177, 199-200
Wierzbicki Sebastian: 181
Więcek Artur: 180
ks. Wilczyński Andrzej: 148, 347
Winiarski Władysław: 74
Witek Grażyna: 123, 365
Witek Przemysław J.: 119, 122, 124-125, 130, 135, 136, 141, 145-149, 151-152, 157, 161-162, 171, 174, 176, 198, 200, 210, 212, 222, 238, 241-243, 246, 254, 269, 276, 279, 299, 309, 332, 354-355, 363, 367
Witek Przemysław J.: 123, 125, 365
Włodarczyk Zygmunt: 180
Włodek Henryk: 80, 109, 174
Włodek-Sanojcowa Jadwiga: 72
Wnuk Artur: 180
Wnuk Michał: 157, 162, 165, 169, 171, 179, 241
Wodzik Agnieszka: 180
Wojciechowski Adam: 92, 94, 110
Wojtanowski Stanisław: 67
Wojtczak Halina: 180
Wojtkowiak Tadeusz: 180
Wojtkowicz Tomasz: 181
Wojtowicz Dariusz: 180, 235, 251, 368
Wołoszyk Anna: 179
Woźniak Jerzy: 169, 179, 215, 368
Woźniak Marek: 246
Woźniak Marian: 65, 361
Wójcik Dariusz: 153
Wrona Jan: 122
Wróbel Edward: 266
Wrzesińska Ewa: 11, 124, 177, 218, 221, 322, 368
Wujcik Janusz: 181
Wyrozumski Jerzy: 180
Wysocki Wiesław Jan: 63, 365
kard. Wyszyński Stefan: 24, 37, 38, 41, 44-46, 48-49, 52, 56-58, 66, 90, 100, 110, 362
Wywiał Przemysław: 28, 64, 74-75, 79, 86, 119, 171, 362, 364-365

Z
Zając Józef: 180, 198
Zakrzewski Bernard: 26
Załuski Ignacy: 175
Zamorski Józef Kordian: 175
Zaręba Andrzej: 73, 108, 114, 127, 174
Zastawniak Stanisław: 73, 80, 114, 122, 127, 174, 188, 192
Zator-Przytocki Józef: 62, 112
Zbrożek Konrad: 147, 148, 164, 179, 209, 241-242, 283, 287-289, 300, 302-303, 306, 348, 366
Zdrojewski Jarosław: 256
Zgodzińska Jadwiga: 180
Zieleniewski Tadeusz: 48
Zieliński Andrzej: 127
Zieliński Lech: 251
Zieliński Stanisław: 63, 365
Zielski Władysław: 122, 141
Ziembiński Wojciech: 66, 92, 94, 99, 101, 104, 122, 126, 160, 256-257
Ziembiński Wojciech: 27, 88
Ziemiański Bolesław: 33-34
Zientarski Jan: 40, 72, 78
Ziółkowski Henryk: 105
Zmorska Anna: 177
Zomer Józef: 174
Zych Ludwik: 33
Zyzik Tadeusz: 181, 352

Ż
Żakowski Wiesław: 128, 208
Żebrowski Jerzy: 177, 194, 196, 240
Żółkiewski Antoni, ps. „Lin": 195
Żygliński: 34

Spis treści

Od autorów 7

Znaczenie 6 Sierpnia - Leszek Moczulski 14

Część 1. Zanim ruszyła znów Kadrówka 23
Pierwsze obchody rocznic narodowych (1956-1957) 24
W Krypcie Marszałka w latach 50. 27
50. rocznica Kadrówki (6 sierpnia 1964) 29
Zjazd legionistów w Częstochowie (6 sierpnia 1966) 34
Zbliżenie Starej Wiary z Kościołem 36
Stulecie urodzin Marszałka (5 grudnia 1967) 38
50-lecie niepodległości (11 listopada 1968) 41
Opłatek u prymasa (28 grudnia 1968) 54
Krakowskie opłatki legionowe 59
Związek Legionistów w Krakowie 65
Wystąpienie Boruty na opłatku (10 stycznia 1976) 65
6 sierpnia w Warszawie i w Krakowie w l. 70. 71
60-lecie niepodległości (11 listopada 1978) 88

Część 2. 117
Kadrówki w II RP 118
Kadrówki w PRL 119
XVI (1) Marsz - 1981 119
XVII (2) Marsz - 1982 130
XVIII (3) Marsz - 1983 136
XIX (4) Marsz - 1984 141
XX (5) Marsz - 1985 149
XXI (6) Marsz - 1986 153
XXII (7) Marsz - 1987 157
XXIII (8) Marsz - 1988 165
XXIV (9) Marsz - 1989 170
Lista osób, którym przyznano Odznakę „Uczestnikowi Marszu Szlakiem Kadrówki" w latach 1981-1991. 174

Część 3. Strzępy wspomnień ... 183
Legioniści i akowcy ... 184
Antoni Heda ... 194
Mieczysław Majdzik ... 197
Andrzej Izdebski ... 199
Powrót po 50 latach ... 199
Komendant Wałęsa ... 200
Logistyka ... 202
Sztandar ... 209
Kościół i „namiotowcy" ... 210
Z widłami na Kadrówkę ... 216
Demonstracja i pielgrzymka ... 218
Przerwy w marszowym życiorysie ... 223
Grupa krakowska ... 224
Wojciech Pęgiel ... 226
Witold Tukałło ... 232
Roman Hnatowicz ... 234
Grupa kielecka ... 238
Grupa warszawska ... 241
Grupa łódzka ... 245
Grupa toruńska ... 246
Grupa trójmiejska ... 251
Śpiewy ... 260
Michałowice ... 264
Goszyce ... 271
Prandocin ... 273
Miechów ... 276
Wodzisław ... 279
Książ Wielki ... 280
Łączyn ... 281
Jędrzejów ... 288
Brzegi ... 324
Brzeziny ... 330
Choiny ... 333
Chęciny ... 336
Szewce ... 337
Kielce ... 339
Częstochowa ... 343

Wielka przygoda i narodowe święto. Kadrówki w XXI wieku
- Jan Kasprzyk 358

Bibliografia 361

Indeks nazwisk 368